

**Claude Aveline**

**Pierścionek z kocim oczkiem**

Przełożyła Romana Szczepkowska

„KB”

## I

### *Trzy akcenty*

#### 1

Nocna ulewa w Palmową Niedzielę roku 1930 zmieniła w potok ulicę Bonapartego od placu Saint-Germain-des-Pres aż po ulicę du Four. To samo dzieje się od strony Sekwany, ale nas interesują dwie samotne postacie, stojące nieruchomo w tę paskudną pogodę między placem Saint-Germain-des-Pres a ulicą du Four - reszta świata nas nie obchodzi. Osłania je daszek, który choć mały, użycza schronienia nie tylko im, ale i świetlistej kuli nad ich głowami, na której widnieje napis: „Hotel Marsylia”. Ulewa uwzięła się na jego solidnie oprawione szyby, czyniąc z nich hałaśliwy bęben. Na chodniku i jezdni utworzył się wijący strumień, w którym załamywały się światła latarni ulicznych, wyglądających, jakby były zalane łzami. Od czasu do czasu błyskawica i grzmot zapierały dech w piersiach. Nie było zimno.

Dwie nieruchome postacie to dwóch mężczyzn: pan Bedat, właściciel hotelu, krępy, o usługowym uśmiechu, chytrym spojrzeniu pod niebieskim beretem, jaki nosili dawni kombatanci podczas parad wojskowych; nie zdejmuje go nigdy, być może tylko na noc, i jego młody gość Jean-Marc Berger, w zimowym palcie, kaloszach, kapeluszu nasuniętym na oczy, szaliku osłaniającym usta, który nie tłumi jednak gorączkowego oddechu i westchnień podobnych do cichej skargi. Bedat spogląda na niego zaniepokojony i znudzony. Pięćdziesiąt lat doświadczenia nauczyło go, że najlepszym sposobem na odwrócenie czyjejś uwagi od rzeczywistości jest nie tyle rozmowa, co monolog, zabiera się więc do dzieła:

- Ach ten mój nieszczęsny akcent nicejski! Gdybym zechciał opowiedzieć wydarzenia dzisiejszej nocy, orzeczone by, że oczywiście przesadzam. Paryżanie zawsze urabiają opinię prowincji! A jednak mogę świadczyć honorem, że podobnej ulewy nie widziałem od czasu Verdun. Żeby to jeszcze padał tam tylko deszcz! Granaty, pociski, szrapnele! I to były prawdziwe noce - bez światła latarni gazowych. Nasze szynele Intendentury, mimo że uszyte z najlepszego sukna, wyglądały pod koniec jak z bibuły! - zaśmiał się. - Chce pan wiedzieć, czemu się śmieję? Wyobraziłem sobie siebie tam, pod Verdun, pod takim jak ten daszkiem! Nawet gdyby był z blachy, a nie ze szkła witrażowego! Szkło witrażowe pod takim obstrzałem! A nawet i cała katedra! - Przestał się śmiać. - Pamięta pan katedrę w Reims? Ten cud architektury? Zrównana z ziemią! No, w każdym razie mocno nadszarpnięta. Mówię:

„pamięta pan”, a przecież pan jest za młody. No, ale każdy uczciwy Francuz słyszał o tym, jak ucierpiała, he?

Głosem stłumionym przez szal i zdławionym gorączką, Jean - Marc odpowiedział:

- Oczywiście, panie Bedat.

Rozejrzał się wokoło. O, gdyby tak ukazała się taksówka - pusta! Pech chciał, że akurat dziś ten potop uczynił z Paryża pustynię, odnowiło się biblijne przekleństwo. Pan Bedat nie przerywał sobie:

- Poczciwy daszek! Zeszłego roku o tej samej porze padał pewnego dnia grad tej wielkości - podsunął Jean-Markowi pięść pod sam nos, aż tamten podskoczył - pani Bedat mówi: „teraz to już diabli wezmą ten twój daszek”. No i popatrz pan, śladu pęknięcia, najmniejszego znaku, nie tknięty. Nie znaczy to, żeby pani Bedat tego chciała nie, ale uważa, że ten daszek jest nienowoczesny. Drażni ją w dodatku, że w taką pluchę jak dziś chronią się pod niego obcy, nie nasi goście, nie może tego ścierpieć. Zresztą zna pan ją przecież sam... Nie mogę sobie pozwolić na milsze stworzonko, nie mam środków. Zwłaszcza że ten dom należy do niej. Ja jestem biedak...

- Hop! - krzyknął nagle Jean-Marc.

Jedną ręką zerwał - szybko szalik, a drugą zaczął wymachiwać. Taksówka minęła ich na pełnym gazie, jakby zespolona z jezdnią. Jean-Marc zaczął pojękiwać:

- Spóźnię się na pociąg, spóźnię się na pociąg. Co za pech! - Niech się pan nie denerwuje. Odjazd jest o jedenastej trzydzieści, a dopiero co słyszeliśmy, jak na Saint-Sulpice biło piętnaście po dziesiątej. Prawdę mówiąc, na pana miejscu podszedłbym te parę kroków do Saint-Germain-des-Pres. Tam miałby pan większe szanse.

- Z dwiema walizkami? Sam pan wie, że nie są lekkie.

- Wróci pan po nie taksówką. Dopilnuję ich. Zresztą, w środku, za drzwiami będą bezpieczne.

- Taki spacer może mnie dobić. Dopiero co miałem trzydzieści osiem i cztery. Tego by tylko brakowało, żeby się po przyjeździe rozłożył.

- Me wygląda pan najlepiej, to fakt - powiedział Bedat marszcząc brwi. - Tak, zamiast się tam kurować, powinien pan jak najlepiej wykorzystać pobyt w tej krainie jedwabników i wrócić wypoczęty. No, ale jak wszystko pójdzie dobrze, ma pan zawsze pokój w hotelu „Marsylia”! W razie czego nawet komuś wymówimy, żeby zwolnić pokój dla pana. Pani Bedat przepada za panem. To nadzwyczajne! Ma pan sposoby i na stare, i na młode. Zapyta pan o jej zdrówko, wyświadczy jakąś drobną przysługę, uda pan, że słucha z zainteresowaniem jej wiecznie tych samych opowieści. W dzisiejszych czasach dobrze

wychowany młody człowiek to rzadkość, może mi pan wierzyć. Hotel w tej dzielnicy to niezła szkoła życia. Młodzież... Chuligani to zbyt delikatne określenie; to nieokrzesane chamy, dla których nie ma nic świętego. A do tego jeszcze to, co o panu wiemy... Jean-Marc znów poruszył się niespokojnie.

- Żeby pan się nie przeziębził. Proszę wracać, panie Beaat Bedat o niczym innym nie marzył, mimo to powiedział:

- Przykro mi pana tu zostawiać.

Jezdnią sunął wspaniały samochód, przypominający luksusową łódź.

- Hop! - krzyknął mimo woli Jean-Marc.

- Usiłuje pan zatrzymać nawet rolls royce'a - rzekł Bedat z szacunkiem. - A co by było, gdyby się zatrzymał i w środku siedziała piękna dziewczyna? Nic by nie pomogło, że jest pan zaręczony. Takie rzeczy zdarzały się młodym ludziom w tym rozwiązłym mieście. - Westchnął. - Za późno do tego doszedłem... No dobrze, wracam. Jeśli moja małżonka usnęła nad gazetą, przyjdę z powrotem. Jeśli nie... - potrząsnął mocno bezwładną ręką Jean-Marca - szczęśliwej podróży i szczęśliwego powrotu! Jeśli w ciągu najbliższych dziesięciu minut nie złapie pan taksówki, proszę się nie namyślać i iść do metra na Saint-Germaindes Pres. Zdąży pan i nawet walizki powolutku pan sobie zanieś.

- Dziękuję, panie Bedat, do widzenia. Dziękuję za grog i za wszystko.

- Nie ma za co! Przeciwnie, to ja dziękuję. Moja uprzejmość jest obowiązkowa, a klienta dobrowolna. Pojednał mnie pan z lionczykami mimo pana żalosego akcentu! Do zobaczenia!

## 2

Jean-Marc odprowadzał wzrokiem pana Bedat, póki ten nie zniknął za oszklonymi drzwiami. Z oddali dobiegł go odgłos silnika przykuwając jego uwagę. Taksówka! Zatrzymuje się! Bardzo daleko, przy placu Saint-Sulpice, ale-wokół panuje cisza zakłócona tylko ulewą, a on pod świetlistą kulą jest widoczny... Krzyczy więc co sił:

- Hop! Hop!

Drzwiczki otwierają się, jakiś mężczyzna i kobieta jednym susem przeskakują przez jezdnię i znikają w kamienicy. Widać rękę szofera podnoszącą chorągiewkę. Zagrzmiało tak blisko, że Jean-Marc aż jęknął, kierowca nie mógł usłyszeć jego wołania. Taksówka jednak zbliża się...

...i skręca w ulicę du Four.

- Och nie - jęknął Jean-Marc - nie!

Grzmot też się oddala, za to deszcz lunął ze zdwojoną siłą. Dwa uderzenia zegara na merostwie przy Saint-Sulpice zabrzmiały jak podzwonne. Wpół do jedenastej. Jean-Marc sprawdził na swoim zegarku: tak, wpół do jedenastej. Nałożył rękawiczkę, którą zdjął przy pożegnaniu z panem Bedat, spojrzął z obrzydzeniem na swoje dwie walizki, stojące za oszklonymi drzwiami, na których widniał skąpo oświetlony półkolisty napis: WEJŚCIE DO HOTELU. Jeszcze raz rozejrzał się na wszystkie strony. Widok bodaj jednego przechodnia dodałby mu odwagi i pomógł dojść do metra. Ale nigdzie żywego ducha. Mimo to otworzył drzwi i wyciągnął najpierw jedną, potem drugą walizkę. Postawił je natychmiast. - Hop!

Nie, to znowu samochód prywatny. Najnowszy model. Jean-Marca zmyliło to, że auto jechało bardzo powoli. Wzruszył ramionami i powrócił do swoich walizek, nie spuszczać jednak wzroku z dziwnej limuzyny, która coraz bardziej zwalniając zbliżała się do chodnika. Przez zalane deszczem szyby trudno było zobaczyć cokolwiek wewnątrz. Ale kierowca zatrzymał się i opuścił szybę, Jean-Marc zdumiał się. Zupełnie obca twarz. Kierowca zapytał:

- Help?

Jean-Marc nie zrozumiał. Zza swego szala powtórzył:

- Help?

- Ya - odpowiedział właściciel samochodu ze wspaniałym amerykańskim akcentem. - Wołał pan „help”?

Podniósł na Jean-Marca bardzo czarne i bardzo błyszczące oczy, raczej włoskie, neapolitańskie, niż amerykańskie, i bardzo, bardzo badawcze. Przerazające. Jean-Marc pośpieszył z wyjaśnieniem.

- Nie, proszę pana, nie wiem, co to znaczy, ja krzychałem „hop”, po prostu... chciałem zawołać... wziąłem pański samochód za taksówkę, bardzo przepraszam, tak długo już tu czekam... - jego głos był nabrzmiały rozpaczą. Kierowca wybuchnął śmiechem.

- A to heca! „hop”, a ja zrozumiałem „help”. Po angielsku to znaczy „pomoc”, „na pomoc” - roześmiał się hałaśliwie - „ratunku!”

Jean-Marc miał już tego dość.

- No właśnie, pomoc... tak, to zabawne, do widzenia panu, dziękuję bardzo.

Mężczyzna przestał się śmiać i spojrzał na walizki.

- Czy pan gdzieś wyjeżdża? Spiesz się pan na pociąg? Jean-Marc odzyskał swój ponagląjący ton.

- Tak, tak, śpieszę się na pociąg. Wyjeżdżam z Paryża. Nie, nie na długo, jadę do rodziny. No i do tego jestem chory, przeziębienie. A w dodatku ten deszcz i te walizki, po prostu nie mam sił, żeby dojść do metra.

Amerykanin znów zaczął mu się przyglądać. Oczy miał tak samo błyszczące, tak samo badawcze, ale już mniej przerazające. Jean-Marc zdołał tymczasem zauważyć, że w samochodzie nikogo więcej nie ma.

- Może mimo wszystko mógłbym panu pomóc? Skąd pan odjeżdża?

- Dosłownie dwa kroki stąd, z Saint-Germain-des-Pres.

- Ależ ja mówię o dworcu kolejowym. Z którego dworca? Tonem, jakim gracz ruletki podaje numer, na który postawił cały swój majątek, Jean-Marc oznajmił:

- Z Dworca Liońskiego. Jadę do Lionu.

- O! To w moją stronę. Nie Lion, ale Dworzec Lioński. Doskonale!

Otworzył drzwiczki i nie podnosząc się nawet z miejsca wyciągnął lewą rękę po walizki. Jean-Marc nie mógł uwierzyć swemu szczęściu.

- Pan jest tak uprzejmy...

- Drobiazg, nie ma o czym mówić. Niech pan nie przesadza. Proszę podać mi walizki, postawię je z tyłu.

- Naprawdę... - powtórzył raz jeszcze Jean-Marc.

Ale już podawał najcięższą walizkę, a Amerykanin przerzucił ją bez najmniejszego wysiłku przez oparcie. Potem drugą.

- A teraz - powiedział nieznajomy - niech pan obejdzie samochód i usiądzie koło mnie.

Zamknął jedno drzwiczki, a otworzył drugie. Jean-Marc pośpiesznie obszedł samochód i usiadł. Amerykanin odetchnął i z nutą zadowolenia powiedział:

- Gotowe?

Samochód ruszył. Ulewa dziurawiła dach samochodu, jak rzeszoto.

### 3

Zakręt przy ulicy du Four to zaledwie zgrzyt opon i za chwilę był już drugi zakręt na rogu ulicy de Rennes. Amerykanin prowadził jak szaleniec. Jean-Marc zahipnotyzowany regularnym rytmem wycieraczek trzymał się kurczowo siedzenia. Na skrzyżowaniu światła dały znak ostrzegawczy, ale kto by zdążył zahamować na tak śliskiej nawierzchni. Kim jest ten człowiek? Jean-Marc bada ukradkiem jego profil. Nieznajomy już się nie uśmiechał. Miał w sobie coś z gwiazdora pod czterdziestkę, jednego z tych, którzy grają zakochanych w młodzieńskich dziewczętach i w końcu je zdobywają. W niczym natomiast nie przypominał Amerykanina. Samochód, nie zachowując najmniejszej ostrożności, przeciął, plac Saint-Germain-des-Pres. Jean-Marc odważył się zapytać:

- Nie lepiej było skrócić w prawo? Nieznajomy obruszył się.

- Też coś! - zaśmiał się. - Brzegi Sekwany są piękne nawet w tak paskudną pogodę.

Limuzyna zagłębiła się w ulicę Bonapartego. Kilka sekund później byli na bulwarach.

- Przeziębienie? - spytał nagle. - Może choroba płuc? Gruźlica?

Jean-Marc, przestraszony, rozluźnił szalik i zakaszłał.

- Mam nadzieję, że nie. Zwykły bronchit.

- Mimo wszystko niedobrze - powiedział Amerykanin - i klimat Lionu też niedobry.

Jean-Marca chwycił atak kaszlu. Z trudem złapał oddech i powiedział:

- Zaraz wracam. Chcę tylko powiadomić rodzinę o moim ślubie.

Zachrypnął. Amerykanin nie przestawał się śmiać. Jego śmiech był suchy i ostry. Wyglądało na to, że sobie pokpiwa.

- O! Ślub! Rodzina! Dobry chłopiec! Dobry syn! Dobry obywatel! A przede wszystkim dobry akcent lionński!

Samochód dojechał już do placu Saint-Michel. W deszczu katedra Notre Dame wyglądała jak widmo katedry Notre Dame. Marc opanował wreszcie kaszel. Spojrzał znów badawczo na profil nieznajomego i ośmielił się zagadnąć:

- A gdyby nie pański akcent, nigdy bym nie wziął pana za Amerykanina. Jest pan tak bardzo w naszym typie. No i marka samochodu... Profil odpowiedział:

- Wynająłem go tylko, to bardzo wygodne dla cudzoziemca; bierze się, a potem zostawia. Za każdym razem, kiedy jestem we Francji, robię tak samo. Bardzo dobry samochód. A w tutejszym typie jestem, to prawda. Ścisłe] mówiąc we włoskim.

- Neapol?

- Zobaczyć Neapol i umrzeć! Prawie. Pochodzę rzeczywiście z Neapolu. Prawie. Diabelska jazda nie kończyła się. Nagle eksplozja. Amerykanin zmarszczył brwi.

- A to co?

I jeszcze raz, i jeszcze, i jeszcze. Koniec. Ulewie udało się zagłuszyć warkot motoru i bębniąc w karoserię podkreślała tym swoje zwycięstwo. Amerykanin rzekł:

- Zdaje się, że tym razem to nie taki dobry samochód. Zna się pan na silniku?

- Ani trochę - odpowiedział Jean-Marc - bardzo mi przykro, ale ani trochę. Amerykanin nie zdradzał najmniejszego niepokoju.

- Ja za to znam się bardzo dobrze. Zawsze sam naprawiam. I akurat jesteśmy pod drzewem. Bez liści wprawdzie, wiosnę mamy okropną, ale to nie ma znaczenia. Drzewo to zawsze drzewo.

Z bocznej kieszeni przy drzwiczkach wyjął latarkę i podał ją Jean-Markowi.

- Teraz wysiądziemy, ja poszukam, w czym rzecz, a pan mi poświeci i będzie osłaniał od deszczu. To karburator *suppose*.

Gdy wysiedli z samochodu, potężny podmuch wiatru chlusnął im deszczem w twarz, zaświstał, złamał parę gałęzi i zmiotł je z drogi. Jean-Marc oświetlił swój zegarek: za dwadzieścia jedenasta. Amerykanin, usiłując przekrzyczeć wiatr, zawołał:

- Idzie pan?

Trzymając w ręku angielski klucz uchylił maskę i wsunął pod nią głowę. I na szczęście dla silnika wiatr pognał w

przeciwłą stronę. Ale akurat prosto w twarz Jean-Maiea. Nie miał nawet możliwości się zasłonić, gdyż w obu rękach coś trzymał. Amerykanin krzyknął spod maski.

- O której ma pan odjazd?

- Wpół do dwunastej... dwudziesta trzecia trzydzieści...

- Dobra, mamy czas! Żeby tylko nie dostał pan zapalenia płuc!



Po chwili:

- Karburator się rozregulował. Proszę maskę trochę wyżej, dziękuję.

Od czasu do czasu do uszu Jean-Marca dochodził jego zasapany oddech.

- Spróbuję teraz... Niech pan nic nie rusza.

Jean-Marc nie usłuchał i podczas gdy Amerykanin wrócił za kierownicę, opuścił maskę i stawiając opór wichurze, z napięciem wpatrywał się w jezdnię. Jak okiem sięgnąć - pustka!

Tymczasem Amerykanin pociągnął za starter, za pierwszym razem szybko, za drugim wolniej, za trzecim całkiem powoli. Jean-Marc zbliżył się do otwartych drzwiczek. Spytał nagłym tonem:

- Włączył pan?

Ten człowiek doprawdy kpił sobie ze wszystkiego! - Ależ, mój drogi, pan zna się na samochodach! Kłamczuszek z pana! Włączyłem, *of course*. To co innego... Świece.

Historia powtórzyła się. Jean-Marc co chwila wykręcał sobie szyję, aby dojrzeć godzinę na zegarku. Amerykanin zmienił jedną świecę, potem drugą. Nic nie pomogło. Tymczasem pioruny i grzmoty dały za wygraną. O jedenastej Jean-Marc jęknął:

- Chyba pójde pieszko. Może jeszcze zdążę, nawet z walizkami.

Spod maski odpowiedział mu niewzruszony głos:

- Zaraz, zaraz, niech się pan uspokoi. Ruszymy, zapewniam pana. Nigdy nie miałem uszkodzenia, którego nie udałoby mi się usunąć.

- Ale jeśli silnik jest zalany?

- Właśnie na niego chucham i dmucham. Suszę, jak się da. Spokojnie, tylko spokojnie.

Piętnaście po jedenastej Jean-Marc z twarzą zalaną bardziej łzami niż deszczem wyszłochał:

- Zostało mi zaledwie piętnaście minut.

Amerykanin wysunął głowę. Twarz miał poważną i spojrzał na Jean-Marca w skupieniu.

- Naprawdę? Zmieniam już ostatnią świecę.

Po raz nie wiadomo który wrócił za kierownicę. Cud! Od pierwszego razu silnik ożył i zapalił, robiąc przy tym diabelny hałas. Amerykanin zawołał:

- Niech pan zamknie maskę! Pędzimy! Zdąży pan! Zaintonował „*God save the King*”

- ciekawa reakcja jak na Amerykanina, nawet włoskiego pochodzenia. Płaszcz Jean-Marca pachniał zmokłym psem.

Wielki oświetlony zegar na Dworcu Liońskim wskazywał dwadzieścia po jedenastej.  
Bulwar Diderota był zakorkowany przedwielkanocnym ruchem. Amerykanin zatrąbił.  
- Tylko tego brakuje, żebyśmy tu utknęli - powiedział. - Tak blisko celu!

Jean-Marc był u kresu wytrzymałości. Zdobył się jednak na ostatni wysiłek i ukrył swoje zdenerwowanie.

- Jestem panu nieskończenie wdzięczny. I jeśli kiedyś ze swej strony mógłbym być panu w czymś użyteczny... Nazywam się Jean-Marc Berger, moi rodzice mieszkają w Lionie przy ulicy Dumont dziesięć. A ja w Paryżu...

Amerykanin mu przerwał.

- Dziękuję panu. Będę mile wspominał to nasze spotkanie. Nawet tę awarię.

Potem dodał trochę wolniej:

- Myślę, że pan również.

Czemu powiedział to tak dobitnie? Spojrzeli na siebie. W mroku oczy Amerykanina błyszczały jak wówczas pod hotelem. Trwało to zaledwie chwilę, ale było równie przerażające:

- No tak, jesteśmy na miejscu - powiedział. - Zdaje się, że pacia trochę mniej. Niech pan wysiada, a ja wyjmę walizki. I od razu się z panem pożegnam.

- Do wadzenia, jeszcze raz dziękuję.

Przy chodniku samochody utworzyły taki korek, że Jean-Marc zmuszony był wyskoczyć na jezdnię. Amerykanin już podawał walizki.

- Jedna! Druga! *Bye! Bye!*

Drzwiczki zatrzasnęły się, samochód zrobił pół obrotu i pomknął jak pocisk armatni. Jean-Marc zaczął krzyczeć unosząc w charakterystyczny zabawny sposób ramiona.

- Proszę pana! Proszę pana!

- Proszę tu nie stać - zwrócił uwagę policjant - jeszcze pana coś rozjedzie. Życzy pan sobie bagażowego? - Zawołał: - Bagażowy! O, jest, ma pan szczęście!

- Walizka - wyszeptał Jean-Marc patrząc na tę, którą miał w ręce.

- No, walizka. A bo co? - spytał bagażowy, popychając Jean-Marca w kierunku chodnika.

- To nie jest moja walizka, ta jest znacznie mniejsza, a już dwadzieścia pięć po jedenastej. Ta, którą pan trzyma, jest moja, a ta nie.

Tragarz wyrwał mu z rąk drugą walizkę i przyspieszył kroku.

- Do Marsylii? No to raz dwa, bo on jest podstawiony daleko stąd. Bilet pan ma?

Był to grubas, a przy tym niezrównany biegacz. Jean-Marc, który z trudem dotrzymywał mu kroku, wysapał:

- Nie, niestety. Kupię w pociągu. Ale ta walizka...

- Pamięta pan, jakiej marki była taksówka?

- To był samochód prywatny.
- No to może pan być spokojny! Jeśli pański znajomy...
- Ale właśnie, że nie! Podeszli do budki kontrolera.
- Przepuść pan! - krzyknął bagażowy. - Do Marsylii.
- No to biegiem. Za minutę odjazd!
- Mnie pan to mówisz?! - odkrzyknął bagażowy. Podjął na nowo swój galop i zwrócił

się do Jean-Marca:

- Podrzucę pana do ostatniego wagonu, potem pan sobie jakoś poradzi.
- Dziękuję panu, dziękuję.

Kiedy dobiegli na właściwy peron, doszedł ich z megafonu głos przekrzykujący ulewę:

- Uwaga, odjazd. Proszę zamykać drzwi.

Została im do przebycia długość wagonu pocztowego.

- Nie zamykaj pan! - krzyknął bagażowy.

W oknach ostatniego wagonu podróżni denerwowali się:

- Zdaży czy nie zdaży?

Jakaś kobieta powiedziała z pogardą:

- Trzeba nie mieć rozumu, żeby przychodzić tak na ostatnią chwilę.

Pociąg ruszył. Jakiś mężczyzna w otwartych drzwiach pochylił się, aby schwycić walizki, które upadły mu pod nogi. Jean-Marc złapał się poręczy. Zobaczył, jak coraz szybciej oddala się od bagażowego, który stał całkiem osłupiały.

- Zapłacę mu następnym razem - wyszeptał.

Ktoś schwycił go i wciągnął do środka, zamykając za nim drzwi. Pociąg nabrał już szybkości. Mężczyzna rzekł:

- Należy się panu porządne lanie, mój chłopcze.

W korytarzu panował tłok. Czuć było wilgocią zmieszaną z kurzem. Ktoś spytał Jean-Marca:

- Jedzie pan trzecią klasą?

Ledwie dosłyszalnym głosem odpowiedział:

- Tak...

- Nie wiem, może uda się panu coś upchnąć na półkach, aie usiąść na pewno nie ma gdzie. Przed odjazdem obszedłem cały pociąg.

Szybkość i hałas wzrastały. Ten sam pasażer dodał:

- Mimo to niech pan spróbuje się wśliznąć. Popilnuję panu walizek.

- A, prawda - rzekł Jean-Marc - walizka...

- Co? Jaka walizka?

- Ta mała. To pomyłka. Ktoś mnie podrzucił na dworzec i... dał mi nie moją walizkę.

Pomylił się.

Dwóch mężczyzn przysłuchiwało się temu z tępych wyrazem twarzy. Jeden z nich, bardziej rozgarnięty, zapytał:

- A pan tego kogoś nie zna?

- No - właśnie... tak grzecznościowo... Pierwszy rzekł:

- Wszędzie są porządni ludzie. Drugi zauważył:

- Może pod spodem jest jego nazwisko i adres?

Podniósł walizkę, obejrzał ją dokładnie i obrócił na wszystkie strony. Pierwszy, ten który ją złapał, a tym samym w pewnym sensie ocalił, uważał, że ma do niej większe prawa.

- Daj mi ją pan - powiedział.

Tamten usłuchał bez słowa. Jean-Marc nie spuszczał ich z oka. Wszyscy w korytarzu czekali w napięciu. Pierwszy mężczyzna odezwał się.

- Nie. Nie ma nic.

## II

### *Jeszcze i to*

#### 1

Nazajutrz skoro świt zacni krewni, podtrzymywani na duchu przez bezchmurne niebo obietnicą pięknego dnia, oczekiwali na peronie pierwszym pociągu, który o godzinie dwudziestej trzeciej trzydzięci opuścił Paryż. Przybyła cała rodzina Jean-Marca, z wyjątkiem starszej pani Berger, którą będziemy nazywać babcią, mimo że to określenie, chociaż zgodne z rzeczywistością, wcale do niej nie pasuje. Stawili się więc: Joannes Berger, Emilia, jego żona, Leonard, jego brat, i ich córeczka, mała Maria-Luiza, która ani przez chwilę nie mogła ustać spokojnie, tak że stale ktoś z Bergerów wołał:

- Mario-Luizo, chodź tutaj!

Mała usłuchała dopiero wówczas, gdy głos z megafonu oznajmił:

- Uwaga! Uwaga! Pociąg z Paryża wjeżdża na tor przy peronie pierwszym. Wagony jadące do Marsylii znajdują się na czele pociągu. Wagony tylne pozostają w Lionie.

Emilia rzekła nieśmiało:

- On chyba jest w którymś z tych ostatnich wagonów. Podejźmy tam?

- Nie, Emilio - odpowiedział Joannes poważnie. - Mógł równie dobrze wsiąść do jednego z marsylskich wagonów. Stójmy przy wyjściu, on musi tędy wychodzić. W ten sposób się na pewno nie rozminiemy. Mario-Luizo, podaj rączkę mamusi.

Maria-Luiza wzięła za rękę wuja Leonarda.

- Chcę zobaczyć, jak będzie szedł! Chcę go zobaczyć! Weź mnie na barana, wujku!

- Nie, Mario-Luizo - powiedziała Emilia.

- Ależ oczywiście, moje maleństwo - rzekł Leonard. - Jak to się cieszy, że zobaczy swojego dużego brata! Może jej nie pozna?

- Co ty wygadujesz? - powiedział Joannes. - W ciągu pół roku mogła urosnąć zaledwie parę centymetrów.

Maria-Luiza usadowiwszy się na ramionach Leonarda miała jak zwykle za złe wujowi, że jest o wiele niższy od jej ojca.

- Jak to się dłużyło - westchnęła Emilia..

- A więc dobrze, nie pozna jej - urażonym tonem powiedział Joannes.

- Sam przyznaj - rzekła Emilia - prawie sześć miesięcy bez wiadomości... I nagle tydzień temu telegram. Dlaczego nie list? I żadnej odpowiedzi na mój. Na pewno jest chory, tylko nie chciał pisać.

- Odwrotnie, jak człowiek jest chory, to pisze - odrzekł Joannes.

- Człowiek poważnie chory nie wybiera się w podróż - powiedział Leonard.

- Nareszcie powiedziałeś coś rozsądnego - odparł Joannes. - Uważaj, Mario-Luizo, żebyś nie pobrudziła wujka bucikami.

Maria-Luiza zaczęła podskakiwać na swoim „obserwatorium”.

- Widzę lokomotywę! Widzę lokomotywę!

W jednej chwili pociąg wypełnił całą przestrzeń. Głos z megafonu oznajmił:

- Dziesięć minut postoj. Bufet. Pociąg zabierze pasażerów do Awinionu, Tarascon i Marsylii.

Sapanie lokomotywy, unosząca się wszędzie para, gorączkowy ruch we wszystkich kierunkach, wsiadanie i wysiadanie podróżnych, wszystko to razem sprawiło, że Maria-Luiza zaczęła płakać.

- Taki tłok, że nie widzę Jean-Marca.

- Może spóźnił się na pociąg - denerwowała się Efnilia. Leonard dał Marii-Luizie potężnego szturchańca.

- Nie widzisz Jean-Marca? A kto idzie tam między dwoma żandarmami?

- Między żandarmami? - zapytał przerażony Joannes. Leonard roześmiał się.

- Z daleka tak to wygląda. Złudzenie optyczne! Głosik Marii-Luizy usiłował przekrzyczeć zgiełk:

- Jean-Marc! Jean-Marc!

Z dwoma walizkami, z których jedna nie należała do niego, w kapeluszu sfatygowanym przez wczorajszą ulewę, w pomiętym płaszczu i w ciemnych okularach, Jean-Marc posuwał się naprzód jak lunatyk.

- Mój Boże - westchnęła Emilia przyciskając ręce do piersi.

- Leonard pomachał mu ręką.

- Jean-Marc! Tędy!

- Opanuj się, Leonardzie - powiedział Joannes - nie zachowuj się tak hałaśliwie. Na peronie mogą być nasi klienci.

Jean-Marc, który dostrzegł rodzinę, skrócił sobie drogę. Postawił walizki, nie wiedząc, od kogo zacząć powitanie. W końcu powiedział:

- Dzień dobry, tato, dzień dobry, mamó, dzień dobry, wujku. Emilia rzuciła mu się na szyję.

- Moje dziecko! Co ci się stało z oczami? Jakiś ty mizerny! Niech no cię uściskam!

- Zablokowaliśmy wyjście - zauważył Joannes.

- No, złaż mała - powiedział Leonard do Marii-Luizy.

Zaabsorbowana okularami Jean-Marca, posłuchała bez słowa.

;- Może i mnie pozwolisz się z nim przywitać? - zwrócił się Joannes do Emilii. - Co ci dolega, Jean-Marc?

Uściskał go serdecznie. Byli tego samego wzrostu, ale różnej budowy. Jean-Marc szczupły, a Joannes krępy, przysadzisty.

- Przeziębilem się i kaszlę. Babcia nie przyszła?

- Nie - odpowiedziała uspokojona Emilia - nie przyszła. Jean-Marc uściskał na koniec Leonarda i Marię-Luizę.



- Właściwie nic, nie stało na przeszkodzie - rzekł Joannes biorąc walizki - była, jak zwykle, pierwsza na nogach. Ale rano oświadczyła...

Przerwał, a Jean-Marc nie pytał. Maria-Luiza chciała wziąć go za rękę, ale musiał poszukać najpierw w kieszeni swego biletu.

- Byłeś u lekarza? - spytała Emilia.

- Nie, mam, nie było potrzeby. Chciałbym nadać telegram...

- Później - powiedział Joannes. - Babcia czeka. Leonardzie, weź tę małą walizkę, a ja wyjmę peronówki.

- Słuchaj, Jean-Marc, nie przywiozłeś walizki babci. Co z nią zrobiłeś? - spytał Leonard.

- Potem wam opowiem - odpowiedział Jean-Marc. - To cała historia.

Wydawało się, że Joannes nie dosłyszał ani pytania, ani odpowiedzi.

- Cztery peronówki - powiedział do kontrolera - ja, pan, pani i ta mała. Ten młody człowiek przyjechał z Paryża.

## 2

Joannes zgromadził całą rodzinę przed dworcem.

- Idę po taksówkę - powiedział Leonard.

- No, powiedz coś Jean-Marc - nalegała Emilia. - Masz gorączkę?

- Wystarczy na niego spojrzeć - rzekł Joannes - od razu widać, że potrzebuje opieki. I będzie ją miał. Ale najpierw niech nam powie, co się stało z walizką babci.

- Och, walizka, wielka mi rzecz - rzekła Emilia. - Mimo wszystko...

- To nie jest byle walizka, to walizka babci. Za piętnaście minut będziemy w domu. Chyba zdajesz sobie sprawę?...

- Wujcio Leonard nas woła - zawołała rozbawiona Maria-Luiza. - Pojedziemy taksówką! Pojedziemy taksówką!

Podczas pertraktacji ojca i wuja z szoferem, Maria-Luiza usiłując zwrócić na siebie uwagę matki, wrzeszczała wniebogłosy:

- Ja chcę do taksówki! Ja chcę do taksówki!

Jean-Marc ogarnął wzrokiem plac Carnot, pełen bud i ciężarówek, należących do właściciela ujeżdżalni koni. Wiosna jeszcze nie nadeszła, ale była tuż-tuż. Maria-Luiza uspokoiła się w końcu.

- Przyjdiesz tu ze mną, Jean-Marc?

- Przecież byłeś tu wczoraj całe popołudnie - powiedziała Emilia. Wzięła syna za rękę i spytała go na ucho: - Jesteś szczęśliwy, synku?

- Tak, mam - odparł Jean-Marc, ściskając ją za rękę - ale chciałbym zadepeszować.

- Jest nas sporo, zgoda - mówił Joannes do szofera. - Ale dla pana to i tak czysty zysk: bierzemy taksówkę tylko dlatego, że nasz gość jest chory. Niech pan nie zapomina, że mamy trzynastkę pod sam dom.

- A kto panu broni jechać trzynastką? Joannes przyjrzał mu się bliżej.

- A pan może sobie wybrać inny postój!

- Och! Niech pan wsiada i ładuje tego swojego chorego.

Sam się pan przekona po liczniku, kto kogo chciał wykiwać.

Gdy tylko ruszyli, Joannes i Leonard powiedzieli równocześnie", jakby się umówili:

- No więc, co z tą walizką?

Jean-Marc zaczął opowiadać. O gorączce, o ulewie, o panu Bedat, Amerykaninie, o awarii i o dworcu. Cała rodzina słuchała z zapartym tchem.

- Kiedy odjechał, zauważyłem, że zamiast walizki babci, dał mi swoją; Gdybym się tak nie denerwował, że spóźnię się na pociąg, od razu bym zauważył.

- No, myślę - rzekł Joannes przyglądając się leżącej obok szofera cudzej walizce. - Ta jest o połowę mniejsza.

- No, nie o połowę - sprostował Leonard.

- To nie takie ważne - rzekł Joannes. - Mówię w przybliżeniu.

- Ruszył, od razu pełnym gazem - bronił się Jean-Marc.

- Musisz mu ją czym prędzej odesłać - powiedziało Emilia.

- Raczej napisać parę słów w sprawie wymiany - rzekł Joannes.

- Nie ma na niej ani nazwiska, ani adresu - powiedział Jean-Marc.

- To dziwne.

- Nie powiedziałbym - odparł Leonard - kiedy się jeździ własnym wozem...

- Ładnie mi własny! Wynajęty wóz! - rzucił uszczypliwie Joannes, który od rana szukał z bratem zaczepki. Powiem wam, co o tym myślę. Albo nalepka się odkleiła, albo jest wewnątrz.- Co kraj to obyczaj. Amerykanie mają mnóstwo wad, ale są mistrzami organizacji.

Rzucił Leonardowi wyzywające spojrzenie, całkiem zresztą niepotrzebnie, bo brat odpowiedział:

- Racja. Ale może walizka jest zamknięta na klucz?
- Nie, sprawdzałem już. Ale w pociągu był taki tłok, że nie mogłem jej nawet uchylić.
- Jechałeś na stojąco? W korytarzu? Całą noc? - Tak, mamo.
- Mam nadzieję, że walizka babci była zamknięta na klucz? - spytał Joannes.
- Powinieneś mieć chyba zaufanie do człowieka, który oddał twemu synowi taką

przysługę - powiedziała Emilia.

Joannes potrząsnął głową z miną człowieka doświadczonego:

- Cudzoziemcom nigdy nie można ufać.
- Była zamknięta na klucz - odpowiedział Jean-Marc. - Zresztą nic w niej takiego nie

miałem.

- Ale to walizka babci - powiedział Leonard.
- W każdym razie na niej jest moje nazwisko i adres.
- Lioński?
- Oczywiście.

Leonard poweselał.

- W takim razie może w domu już zastaniemy depeszę. Babci opowie się za jednym zamachem zagadkę i rozwiązanie.

Joannes odpowiedział półgłosem:

- Miejmy nadzieję.
- Jean-Marc - zagadnęła Maria-Luiza, która do tej pory pochłonięta była bez reszty jazdą, gdyż żadnej z mijanych ulic nie zdarzyło jej się dotąd widzieć o brzasku - a czy to, co przywiozłeś dla mnie z Paryża, było w tamtej walizce?

Jean-Marc speszył się.

- Ja ci „nic nie przywiozłem. Ostatnio zupełnie nie miałem czasu. A wczoraj była niedziela.

Maria-Luiza wybuchnęła płaczem. Emilia odezwała się.

- Chcesz klapsa?

Mimo wszystko ten epizod rozładował atmosferę.

- Dojeżdżamy do Zakładów Jedwabniczych Saint-Polycarpe - oświadczył Joannes z satysfakcją i zwrócił się do syna: - Nie jesteś ciekaw, jak idą interesy?

Bez cienia zainteresowania w zbolałym głosie Jean-Marc odpowiedział:

- Ależ tak, tato.

-.Stuknęła nam setka! Luty tysiąc osiemset trzydzieści - luty tysiąc dziewięćset trzydzieści! Odbyła się z tej okazji bardzo wzruszająca i podniosła uroczystość. Pan Couzon

wygłosił wspaniałą mowę, prawda, Leonardzie? - Leonard przytaknął. - Znakomitym szampanem wznosiliśmy toasty za pomyślność i dalszy rozwój przedsiębiorstwa. Pan Clement, nasz nestor, wręczając panu Couzon prezent od personelu, powiedział: „Oto mija sto lat, jak ojciec pańskiego ojca założył Zakłady Jedwabnicze Saint-Polycarpe. Za sto lat odbędzie się tu jeszcze większa uroczystość ku czci syna pańskiego syna”. Pani Couzon przyszła w otoczeniu swoich dzieci i w bajecznym naszyjniku z pereł, który pan Couzon ofiarował jej tego ranka. Trzeba powiedzieć, że dla każdego znalazł jakieś miłe słówko. Pani Combę, która awansowała na moją pomocnicę w kasie, miała łzy w oczach.

- A konkrety? - spytał Jean-Marc.

Joannes i Leonard wymienili zdziwione spojrzenia.

- Jakie konkrety?

- Przecież rozwój przedsiębiorstwa to wasza zasługa, wszystkich pracowników. Co za to ofiarował wam pan Couzon, nie licząc szampana i naszyjnika dla swojej żony?

Przypatrując mu się podejrzliwie Leonard powiedział:

- Nie stałeś się przypadkiem komunistą? Jean-Marc odparł:

- Czy trzeba być komunistą, aby uważać, że najlepszym sposobem uczczenia stulecia firmy jest przyznanie wszystkim podwyżki? To należność.

Joannes, wzruszył ramionami.

- Wszystkim! Oto dzisiejsza młodzież! Dobry czy zły, pracowity czy leniwy - nieważne! Wszystkim!

- Masz przynajmniej apetyt, Jean-Marc? - spytała Emilia. - Jadłeś coś od wczoraj?

- Nie, mam, ale marzę tylko o tym, aby się przespać.

- Najpierw musisz porozmawiać z babcią. Ona ma z nas największy żal do ciebie za to, żeś tak zaniedbał rodzinę.

- Wcale nie zaniedbałem. Najlepszy dowód, że tu jestem.

- Im bliżej domu - odezwał się Leonard - tym bardziej denerwuję się, czy nadszedł telegram. Jeśli nie, możemy mieć się z pyszną.

- Nigdy nie wiadomo - miękko powiedział Joannes - są rzeczy, które ją bawią.

- Rzadko.

**3**

Taksówka zatrzymała się.

- Ja ureguluję, nie czekajcie na mnie - powiedział Joannes. - Wezmę dużą walizkę, a Leonard niech weźmie tę amerykańską, tajemniczą.

Rodzina Bergerów wysypała się na chodnik. Ulica Dumont, zawsze spokojna, o tej porze była całkiem pusta.

- Może zrobimy odwrotnie - rzekł Leonard - szybciej nas dogonisz.

- Przecież ja mogę wziąć obie - powiedział Jean-Marc.

- Nie pleć głupstw - oburzył się Joannes - jesteś wykończony, a czwarte piętro to sto cztery stopnie. Obaj macie mnie słuchać.

Szli na górę w milczeniu. Maria-Luiza trzymała za rękę brata, którym wstrząsały dreszcze.

- Wytrzyjcie buty, dzieci - uprzedziła ich Emilia. I zadzwoncie, babcia kazała zadzwonić, a nie pukać.

Wspinając się na palce Maria-Luiza nacisnęła dzwonek i schowała się za plecami matki. Leonard powiedział:

- Idź przodem, Jean-Marc.

Najpierw usłyszeli szybkie kroki, potem drzwi się otworzyły.

- Dzień dobry, babciu - wyszeptał Jean-Marc.

- A, jesteś - powiedziała - dzień dobry.

Pocałowała go przelotnie, a ponieważ ciemności w przedpokoju nie pozwalały dokładnie mu się przyjrzeć, ruszyła w stronę jadalni, której obydwie okna wychodziły na dachy okolicznych domów i na ciągnące się za nimi wzgórza, o dumnej nazwie Złotych Gór. Wszyscy podążyli za babcią. Po drodze Leonard pozbył się nieszczęsnej walizki. Babcia patrzyła Jean-Markowi prosto w twarz. Mała, drobna, trzymająca się prosto, miała piękne, siwiejące włosy i oczy, których uwagi nic nie umknęło.

- Zdejmij te okulary. No tak. Oczywiście wyglądasz jak nieboszczyk.

- Zaziębilem się, babciu - powiedział Jean-Marc przepraszającym tonem. - W Paryżu jest teraz straszna pogoda.

- Wiem. Utarło się, że w Lionie stale pada. Tymczasem w Lionie jest słońce. A więc nareszcie wróciłeś! Mam nadzieję, że się wytłumaczysz. Należy nam się to chyba?

Jean-Marc chciał już protestować, ale Leonard nie dopuścił go do głosu:

- Jest strasznie zmęczony, mamu. Pozwól mu usiąść. Jechał całą noc.

- Mógł przecież jechać w dzień. Ale nabrało się paryskich obyczajów! Wstaje się o piątej po południu, a kładzie o szóstej rano! Jest właśnie szósta rano i młody człowiek wysłucha, co mam mu do powiedzenia. Och, może sobie usiąść, to jeszcze najmniejsza nieuprzejmość. Ale chyba nie uważasz, że struganie artysty na Montparnasse po kawiarniach, które są gorsze od... Mario-Luizo, marsz do kuchni!

- Tak jest, babciu.

Maria-Luiza skierowała się do pokoju.

- Powiedziałam: do kuchni. Znam się na tym, będziesz stała z uchem przy drzwiach. Jeszcze trochę, a będzie taka sama jak jej braciszek. A, jest i Joannes. Tym lepiej.

Pojawił się zadyszany, ale rozpromieniony Joannes, trzymając w jednej ręce dużą walizkę, a w drugiej słoik ze śmietanką.

- Ach, ci szoferzy - nigdy nie mają drobnych! I zawsze ta sama wymówka: że to dopiero początek. Już widzę siebie, jak rano otwieram kasę z samymi tysiącfrankowymi banknotami. Musiałem zapukać do pani Piochon, żeby rozmiąć pieniądze, i przy okazji kupiłem słoik śmietanki. Zaparz nam dobrej kawy, Emilio. Widzę, że mama nakryła do stołu, to pięknie z jej strony.

Emilia, pierwszy raz od przybycia pociągu uśmiechnięta, pośpieszyła wykonać polecenie. Joannes spojrzał na Leonarda i na stojącego Jean-Marca, po czym spytał:

- No, jak tam? Odpowiedział mu ostry głos:

- Doskonale, synu, doskonale, po prostu nie może być lepiej! Spójrz na to cudowne dziecko! Wiem, wiem, przeziębienie, okropna pogoda... To nie ma nic do rzeczy, nie o to chodzi. Może sobie mieć za nic ojca, matkę, wuja, kogo mu się żywnie podoba, ale nie mnie! To jest mój dom i nie pozwolę mu się tutaj rozgościć, dopóki się nie wytłumaczy, jakim prawem nas tak zaniedbywał. Jak mógł żyć... Jak mógł się utrzymać...

Joannesowi udało się przerwać ten potok słów:

- Jesteś niesprawiedliwa, mamó. Jean-Marc poza miesięczną pensyjką o nic nas nie prosił.

- To mnie właśnie dziwi. W Paryżu drożyzna rośnie z dnia na dzień...

Jean-Marc był u kresu sił.

- Przecież ja pracowałem! Poza Akademią... Repliki starej damy były niczym smagnięcia batem.

- Wiem. „Pauguin, konserwator dzieł sztuki”. Pracujesz tam jeszcze?

Jean-Marc milczał. Joannes i Leonard obserwowali go zdziwieni. Babcia mówiła dalej:

- Decydujesz się na małżeństwo bez porozumienia z rodzicami i nie oglądając się na zobowiązania, jakie masz wobec Augusty.

Jean-Marc próbował się bronić.

- Nie mam żadnych zobowiązań wobec Augusty. To przyjaciółka z lat dziecińczych... Czego to się nie mówi w pewnych okolicznościach...

- No oczywiście! Ty bylibyś zdolny dotrzymać jakichkolwiek zobowiązań!

Joannes nieśmiało zaryzykował:

- Właśnie ma narzeczoną -

- Tak! Otóż to! Nazwisko i fotografia! Już nie powiem, na kogo mi ona wygląda.

Paryżanka!

Tym razem Jean-Marc wybuchnął:

- Tak, paryżanka! I wkrótce się z nią ożenię! Wkrótce! Tylko po to przyjechałem, żeby wam o tym oznajmić. Żenię się z nią!

- To chyba normalna kolej rzeczy, jeśli się jest zaręczonym - odparła babcia. - Czy u was - dzieje się inaczej?

Joannes, chcąc zażegnać burzę, zawołał w kierunku kuchni:

- Jak tam z kawą, Emilio?



- Jeszcze dwie minutki!

Wydawałoby się, że babci potrzeba znacznie mniej czasu, żeby wznowić atak. Tymczasem ucichła nagle, gdyż jej wzrok przykuło coś, co znajdowało się u nóg Joannesa: walizka Jean-Marca.

4

- A moja? - spytała podnosząc głowę. - Co zrobiłeś z moją walizką? Wziąłeś ją na pół roku i zostawiłeś w Paryżu?

Ojciec i wuj nie wtrącali się; wybuch wulkanu nastąpił w przewidzianym momencie, ale nie sposób było ani przepowiedzieć jego skutków, ani określić granic. Jean-Marc począł się tłumaczyć:

- Osoba, która podwiozła mnie na dworzec, pomyliła się i dała mi swoją walizkę.

- Co za osoba? Twoja narzeczona?

- Nie. Jeden Amerykanin. Nie było żadnego telegramu?

- Jakiego telegramu? Jaki Amerykanin? Gdzie podziewa się moja walizka?

- Pozwól mi opowiedzieć, babciu. Tak źle się czuję...

- No, jest kawa - pośpiesznie powiedział Joannes. - Usiądźmy. Siadaj, mamó, i ty, synku, to ci powinno dobrze zrobić. Zaraz zbadamy tę cudzą walizkę. Wewnątrz musi być adres właściciela. Gdzie ją postawiłeś, Leonardzie?

- Przy wejściu. Zaraz przyniosę.

Emilia postawiła kawę na stole, a Maria-Luiza wdrapała się na swój taborecik.

- Doskonale - rzekł Joannes - najpierw sobie spokojnie przekąsimy, a potem do biura! Rozsądny człowiek umie pogodzić przyjemności z obowiązkiem.

- Proszę, mamó - powiedział Leonard. - Jeśli trochę przesuniemy filiżanki, będę mógł ją postawić koło ciebie.

- A co mnie obchodzi ta walizka! Ja chcę swoją! Ta jest malutka, prawie neseser, jak mogłeś je pomylić? Skąd się wziął ten twój Amerykanin?

- Jean-Marc nie mógł podczas ulewy złapać taksówki i on go podrzucił - odpowiedział Joannes.

- A od czego jest metro? Nie masz nóg?

- Całkiem niezła ta walizka - powiedział Leonard. - Piękna skóra.

- Dobra zwłaszcza do samolotu - stwierdził Joannes. - A Amerykanie przeważnie podróżują samolotami, przy ich trybie życia to konieczność. Trzeba przyznać, że ta komunikacja jest wygodna, ale niebezpieczna. Otwórz, Jean-Marc.

- To niedyskrecja - powiedział Jean-Marc.

- Liczysz się bardziej z jakimś cudzoziemcem niż z własną rodziną - rzekła babcia. - Zresztą ten grat jest pewnie wyładowany jakimiś starociami i twój Amerykanin nieźle wyszedł na tej zamianie.

- Nie ma mowy o niedyskrecji - powiedział Joannes. - Jeśli jest tam jakaś korespondencja, to jej nie ruszymy. Zależy nam tylko na adresie.

- No, szybciej, Jean-Marc - nagliła Maria-Luiza. Pstryk, pstryk i oba zamki ustąpiły równocześnie. Jean-Marc podniósł wieko.

- Żadnej wizytówki - stwierdził Leonard. Cała rodzina skupiła się wokół walizki.

- Nie będę piła zimnej kawy przez wasze poszukiwania - rzekła babcia przysuwając do siebie filiżankę.

- O, jaki piękny jedwab! - zawołała Emilia.

- Niezależnie od tego chińskiego wzoru to wyrób lionński - powiedział Leonard.

- Chińskiego wzoru? - powtórzył Jean-Marc.

Utkwił wzrok w żółto-niebieskim jedwabiu, znajdującym się w walizce: żółty smok na tle nieba, tak niebieskiego, że prawdziwe niebo za oknami wydawało się okropnie ponure. Emilia ujęła w palce jeden koniec paska.

- Co to jest? Suknia? Szlafrok?

- Jesteś pewien, Jean-Marc - spytała babcia smarując sobie chleb masłem - że ta poczciwa dusza, która uratowała ci życie, nie była Amerykanką lub Chinką?

- Wyjmij to, Emilio - niecierpliwie powiedział Joannes - później włożymy z powrotem.

- Tak, to szlafrok - rzekł Leonard. - Ale co za gatunek, moje dzieci!

Jean-Marc trzymając się kurczowo stołu, mruknął pod nosem:

- To niemożliwe... Zauważyła to jedynie babcia.

- Zdaje się, że coś ci to przypomina.

Jean-Marc nic nie odpowiedział. Nie patrzył już na szlafrok, który Emilia przewiesiła przez krzesło. Patrzył na resztę.

- Ręcznik - powiedział Joannes. - Coś w nim jest. - Pewnie przybory toaletowe - rzekł Leonard.

- Poza tym nic więcej nie ma - powiedział Joannes podnosząc zawiniątko. - Czy mam to rozwinąć?

- Bardzo by mnie zdziwiło, gdybyś w ręczniku znalazł nazwisko i adres - powiedziała babcia zjadając kanapkę.

Ciekawość jednak przewyciężyła. Joannes odwinął ręcznik. - Patrzcie! Jeszcze jeden ręcznik - zauważyła Emilia. - A co to za plama? Krew? Leonard powtórzył:

- Krew?

- No i co z tego? - odparł Joannes, odwijając drugi ręcznik. - Nigdy nie zaciąłeś się przy goleniu?

- Z tego wynika, że to kobieta z brodą - stwierdziła babcia.

Krzyk Emilii wypełnił cały pokój. Równocześnie krzyknęli Maria-Luiza, Joannes i Leonard. Jean-Marc osunął się na ziemię. Babcia wstała od stołu.

- Jean-Marc zemdlął!

Przykłęka na kolano i potrząsnęła wnukiem. Krzyk Emilii zamienił się w lawinę wykrzykników.

- Nie! To ponad siły! Co za potworność! Mario-Luizo, wyjdź stąd! O Boże! Jeszcze i to! Jeszcze i to!

Maria-Luiza uczepiła się sukni matki.

- Mamo, ja się boję, ja się boję! Joannes i Leonard dzwonili zębami.

- To ręka - powiedział Leonard - kobieca ręka.

- Na pewno sztuczna - rzekł Joannes - na pewno.

- Cymbał - powiedziała babcia podnosząc się, aby zamknąć wieko walizki.

Emilia, nie przestając wydawać okrzyków, powstrzymała ją.

- Spójrzcie! No, spójrzcie! Na tej ręce jest mój pierścionek! Ten, który posłałam Jean-Markowi dla Augusty! Dla Augusty!

Nie mogąc już dłużej panować nad sobą i ona osunęła się na podłogę. Szlochła Maria-Luiza, szlochali obaj mężczyźni. Trzymała się jedynie babcia, która zaczęła wydawać rozkazy: „Przynieś wody dla Emilii”, „Zanieś Jean-Marca do jego pokoju” „Idź natychmiast na komisariat, a po drodze oddaj małą pod opiekę pani Piochon i wezwij doktora Guerrier”. Tymczasem wyjaśniła:

- To nie jest ręka Augusty. Augusta ma znacznie większe ręce. To jest ręka jakiejś nieznanej kobiety. Nam nie znanej...

Joannes i Leonard, całkiem otepiali, powtarzali w kółko:

- Tak, mamo.

- Co za nudziarze! Zejdźcie mi z oczu. Obaj pójdziecie na komisariat. A nie zapomnijcie walizki.

### III

#### *Rada urzędnika*

##### 1

Dwaj bracia szli razem w kierunku placu Croix Rousse, gdzie mieściło się merostwo, a w nim komisariat. Szli blisko siebie; czuli potrzebę tej bliskości. Makabryczny pakunek niósł Joannes. Babcia ułożyła wszystko na swoim miejscu: ręczniki i szlafrok z wyszytym pośrodku smokiem - nie do wiary, jak dokładnie wszystko zaobserwowała jedząc swoje kanapki. Joannes najpierw trzymał walizkę w ręku, ale schodząc po schodach szybciej niż zazwyczaj, poczuł, że to coś obija się tam w środku - o Chryste! Wziął więc walizkę przed siebie i opartą o piersi niósł oburącz. Od czasu do czasu wstrząsał nim szloch. Leonard przytrzymał go za łokieć raczej dla okazania serdeczności niż dla dodania odwagi. Nie można dać tego, czego się samemu nie posiada. Kiedy wyszli na ulicę, powiedział:

- Oby tylko nikogo nie spotkać...

Patrzyli prosto przed siebie, obaj ze zmarszczonym czołem, obaj w czarnych garniturach - dwóch godnych dżentelmenów, dwóch wzorowych urzędników stuletniej firmy. A w walizce - obcięta ręka! Na ręce - pierścionek Emilii! Przed wyjściem z domu Joannes powiedział:

- Są rzeczy, które przechodzą wszelkie oczekiwanie! Leonard pomyślał na głos, że komisariat może być jeszcze o tej porze zamknięty. Był otwarty. W chwili gdy weszli, jakiś urzędnik mówił do telefonu:

- Pan komisarz nigdy nie przychodzi przed dziewiątą. Jak pan sobie życzy. Do widzenia.

Kładąc słuchawkę powiedział do stojącego obok podoficera:

- Jacy ludzie są dziwni. Uważają, że komisarz powinien sypiać w biurze i być na zawołanie o byle głupstwo. Myślisz, że facet, który dzwonił, powiedział mi, o co chodzi? A to kto?

Dostrzegł braci o wystraszonych spojrzeniach.

- Proszę nam wybaczyć - powiedział Joannes cały dygocąc - ale przychodzimy w naprawdę potwornej sprawie! To z pewnością zbrodnia... Przez pomyłkę mój syn... to znaczy doszło do zamiany...

Głos mu się załamał. Leonard, chcąc go wyręczyć, powiedział:

- Mój bratanek... - ale też urwał.

- Pański syn został zamieniony? - spytał urzędnik.

- Jak to zamieniony?

- Nie, to walizka została zamieniona - powiedział Joannes - i nie mojego syna zabito, tylko jego narzeczoną, z pewnością jego narzeczoną!

- Mówi pan „z pewnością”, jakby pan nie był pewny.

- Trudno przecież na podstawie obciętej ręki...

- Co takiego? - urzędnik zaczął tracić cierpliwość. - Proszę mówić jaśniej. Nic z tego wszystkiego nie można zrozumieć. Pana syn obciął rękę swojej narzeczonej?

Joannes krzyknął:

- Och, nie! Nie, proszę pana! Przecież po otwarciu walizki zemdłał!

- A ręka była w walizce?

Joannes położył walizkę na ławce. Urzędnik gwałtownym ruchem odepchnął swoje krzesło i spytał:

- W tej walizce?

Joannes odpowiedział skinieniem głowy, a Leonard szepnął:

- Tak.

Podoficer podszedł bliżej, a urzędnik zwrócił się do Joannes: - Niech pan otworzy. Joannes nacisnął zamki, ale nie podniósł wieka.

- Ułożyliśmy z powrotem wszystko tak, jak było - powiedział.

Urzędnik powtórzył:

- Powiedziałem: niech pan otworzy! Po co nam więcej odcisków palców!

Joannes drżał na całym ciele, a jego błagalne spojrzenie prosiło o pomoc to Leonarda, to podoficera. Ale - oni stali niczym posągi. Musiał więc wszystko wziąć na siebie.

- Och! - jęknął urzędnik i powiedział zduszonym głosem: - Niech pan zaniknie, to straszne!

Tym samym tonem Joannes zapytał:

- Mam zawinąć?

Urzędnik, odzyskawszy głos, ryknął:

- Nie! Powiedziałem: zamknąć! Połączcie mnie z Vauban - zwrócił się do podoficera.

Joannes zamknął walizkę. Obaj z Leonardem mieli twarze zroszone potem. Urzędnik, powoli przychodząc do siebie, zapytał:

- Przed chwilą była mowa o jakiejś zamianie. Czy chodziło o tę walizkę?

- Tak - odpowiedzieli bracia równocześnie.

- Halo! Tu komisariat z - Croix Rouse. Połączcie mnie ze śledczym, chodzi o morderstwo.

Podał słuchawkę urzędnikowi, który zdążył się już nieco opanować.

- Halo! Tu Maillet z Croix Rouse. Przyniesiono nam damską rękę w walizce. Kto?... Rodzina...; Dla mnie to też dziwne!

- Spojrzał na braci. - Znacie mordercę? - Gwałtowne zaprzeczenie. - Mówią, że nie. - I znów do braci: - Skąd to jest? Joannes odpowiedział:

- Z Paryża. Do telefonu:

- Z Paryża. - Do braci: - A dokładniej?

- Nie wiemy, proszę pana. Do telefonu:

- Nie wiedzą. Tak. Dziękuję.

Urzędnik położył słuchawkę. Podoficer wyszedł z pokoju.

- Zechcą panowie zaczekać, zaraz przyjdą dwaj inspektorzy. Muszą panowie złożyć zeznanie, bo trzeba zawiadomić Parquet. Będą panowie chyba również musieli poczekać na komisarza.

- A biuro? - spytał Leonard, rzucając okiem na zegar wiszący na ścianie. - Pracujemy w Zakładach Jedwabniczych Saint-Polycarpe.

- Nie sądzę, żeby dziś rano panowie się tam zjawili - powiedział urzędnik.

Joannes, nie mniej przerażony niż na widok ręki w walizce, wytarł spocone czoło.

Ależ myśmy nigdy nie opuścili ani jednego dnia, chyba że któryś z nas ciężko zachorował.

- Uważa pan, że to błahszy powód od choroby?

- Ale to właściwie nas nie dotyczy. Mój syn... Urzędnik przerwał mu:

- Właśnie, a propos! Gdzie jest pański syn? Dlaczego nie przyszedł razem z panami?

- Już panu mówiłem, zemdlął, a moja żona, kiedy rozpoznała pierścionek, dostała ataku nerwowego. To chyba zrozumiałe...

- A, prawda - powiedział urzędnik - był tam pierścionek... Czy to po nim rozpoznaliście rękę?



- Nie całkiem, proszę pana, my nie znamy narzeczonej syna, ale on chyba rozpoznał jej rękę.

- Chyba? Pan tylko przypuszcza?

- Kiedy wychodziliśmy, nie odzyskał jeszcze przytomności. Po drodze wezwaliśmy doktora Guerrier. Tak zadecydowała nasza matka.

- A matka nie poczuła się źle?

Leonard i Joannes odpowiedzieli równocześnie z westchnieniem:

- O, nie.

Urządник przyglądał im się uniósłszy brwi. Potem wziął kartkę, umoczył pióro w atramencie i zaczął od Joannesa:

- Pańskie personalia, proszę.

- Joannes Berger, urodzony w Saint Rombert Ile-Barbe w roku 1882, to znaczy mam czterdzieści osiem lat. Jestem głównym kasjerem w Zakładach Jedwabniczych Saint-Polycarpe.

- Adres?

- Ulica Dumont 10, mieszkania 4. Urządник przeniósł wzrok na Leonarda.

- Leonard Berger, to samo miejsce urodzenia, ten sam-wiek, ten sam adres. Jestem zastępcą magazyniera w tym samym przedsiębiorstwie.

Urządник przyjrzał im się uważnie. Joannes wysoki, tęgi, rumiany, o gęstej czuprynie i owłosionych rękach. Leonard mały, szczupły, z tendencją do łysienia. Nawet oczy mieli różnego koloru: Joannes ciemne, a Leonard szarawe.

- Bliźniaki? - spytał niedowierzająco.

- Tak, niejednojąkowe - odparł Joannes. Urządnik popatrzył na nich z niesmakiem.

- Macie, panowie, dziwny sposób wyrażania się. - Bracia wymienili zdumione spojrzenia. - Żonaty? - spytał Leonarda.

Leonard zawahał się.

- Nie, proszę pana.

- Czemu się pan zawahał?

- Bałem się, że mi pan zarzuci brak szacunku do matki, a ja ją bardzo szanuję, tak, proszę pana! - Wyprostował się dumnie. - Bo ona nie chciała, żebym się ożenił. I to wszystko. Żebyśmy byli razem. Miała rację.

- Razem - to znaczy kto?

- Moja małżonka - odpowiedział Joannes - ja, dwoje naszych dzieci: mój syn, lat dwadzieścia trzy, właśnie ten nieszczęsny Jean-Marc, i córka Maria-Luiza, lat osiem. I mój

brat. - Po chwili dodał: - No i matka Leonarda i moja. Owdowiała po naszej pierwszej komunii. Ojciec był oficerem. Matka wychowała nas samodzielnie - dorzucił z dumą Joannes, a Leonard mu przytaknął.

Urzędnik odczytał to, co napisał, i rzekł:

- Muszę jeszcze sporządzić dla panów spis zawartości walizki.

Pisząc czytał:

- Otrzymana od pana Bergera hm... hm... walizka zawierająca obciętą przy nadgarstku damską rękę z pierścieniem na palcu... Co to za kamień? Prawdziwy?

- Tak, nazywają go kocie oczko. Jedna z odmian chryzo-berylu. Pamiątka rodzinna mojej żony. Posłała go Jean-Marcowi jakieś cztery czy pięć miesięcy temu.

- Szczegóły potem. Mnie na razie interesuje tylko, skąd się wzięła ta walizka.

## 2

W miarę opowiadania Joannes zaczął stopniowo odzyskiwać godność i pewność siebie. Urzędnik siedział nieporuszony. Z brodą wysuniętą do przodu i wzniesionymi w górę oczami zapomniał o Leonardzie, który robił wrażenie, - by sam o sobie zapomniał z zatroskaną miną przytakując słowo Joannesowi. Na koniec urzędnik zapytał znienacka.

- Twierdzicie więc, że to sprawka nieznanego? Nie znaliście tego Amerykanina?

- Zupełnie nie znaliśmy, panie sekretarzu...

- I że on zamienił walizkę syna na tę... w której znajdowała się ręka jego narzeczonej?

Ładny nieznanomy!

Joannes ośmielił się zaprotestować:

- Mój syn go niecna. Ale teraz przyszło mi do głowy, że on może znać mego syna, prawda, Leonardzie?

Leonard potwierdził z całym przekonaniem.

- Wszystko z góry ukartował, to jasne! To zawodowy przestępca, jeśli chce pan znać moje zdanie!

Urzędnik wzruszył ramionami.

- Mnie może pan opowiadać wszystko. Ale inspektorom... Joannes wybełkotał:

- Inspektorom?

Urzędnik, chociaż jeszcze młody, przybrał ojcowski ton:

- Dam panom radę. Jest jeszcze czas; zdaję sobie sprawę, co znaczy taka historia w rodzinie, sam mam dzieci, ale nie upierajcie się, panowie, i zmieńcie wersję.

Bracia wykrzyknęli równocześnie:

- Wersję? Jaką wersję?

- No tę, którą sobie przygotowaliście, żeby wytłumaczyć obecność ręki w walizce. Jest niedorzeczna.

- Proszę pana - powiedział Joannes kładąc rękę na walizce, jakby to była Biblia - daję panu słowo, że ani ja, ani mój brat nie przygotowaliśmy żadnej wersji. Powtórzyłem panu dokładnie to, co mówił mój syn.

- A, prawda - z kąśliwym uśmiechem powiedział urzędnik - prawda, że to wszystko opowiadał pański syn.

- Nie chce pan chyba insynuować...

- Insynuować? Tylko proszę grzeczniej - ostro odpowiedział urzędnik. - Jaki zawód ma ten pański syn?

- Jest w Paryżu na Akademii Sztuk Pięknych. Jego nauczyciele zawsze nas zapewniali, że jest bardzo zdolny. To nasza matka życzyła sobie, żeby studiował Akademię, zawsze podziwiała jego prace! Poza tym, aby nie być całkowicie na naszym utrzymaniu, zarabia, to znaczy do niedawna pracował u Pauguina, najlepszego w Paryżu konserwatora dzieł sztuki. To dobry syn, udał nam się syn.

- A ta jego narzeczona - spytał urzędnik bynajmniej nie przekonany - dla której pańska żona dała pierścionek?

- To nie jest całkiem tak - odparł Joannes, marszcząc czoło - ona nie dała go dla niej.

- Ale pański syn jej go dał. Przecież zeznał pan, że właśnie po tym pierścionku rozpoznał rękę. Z tego chyba wynika, że ofiarą jest narzeczona? Proszę podać jej imię i nazwisko.

- Panna Sarrazin - powiedział Joannes takim tonem, jakby to było oczywiste dla wszystkich. - Huguette Sarrazin. Już panu mówiłem, że nie znamy jej osobiście. Jean-Marc zaręczył się w grudniu, a powiadomił nas o tym w styczniu i przysłał jej zdjęcie. Przyjechał właśnie, żeby nam oznajmić, że wkrótce odbędzie się ich ślub. Teraz niech pan sobie wyobrazi, co to był za wstrząs! Taka piękna dziewczyna...

- Czy przynajmniej wie pan coś o niej? Ile ma lat? Jaki jest jej zawód? Gdzie mieszka?

- Czy coś o niej wiem? To bardzo przyzwoita osoba, z dobrej rodziny. Bez zawodu, oczywiście. Chciałbym zaznaczyć, iż jestem zdania, że przyzwoita panna, niezależnie od dzisiejszych obyczajów, nie powinna mieć zawodu. Ile ma lat? Jean-Marc napisał „młoda dziewczyna”. „Poznałem młodą dziewczynę”. Rozumie się, że nie może mieć więcej niż jakieś osiemnaście, dwadzieścia, najwyżej dwadzieścia jeden lat.

- A adres?

- Adres?

- Tak, jej adres. Adres tej panny Sarrazin, Huguette Sarrazin.

Adres... - Joannes uśmiechnął się żałośnie. - Chyba go nie znam. A ty, Leonardzie?

Leonard, choć przeraźliwie blady, zapewnił z uroczystym spokojem:

- Nie, nie znam. Wie pan, jak to jest... dla nas lionczyków, którzy na krok się stąd nie ruszają, co to za różnica, gdzie ona mieszka w tym Paryżu. Mój bratanek wie i poinformuje pama.

- No dobra - powiedział urzędnik. - Już są.

Przed komisariatem gwałtownie zahamowało auto. Urzędnik westchnął i dodał:

- Proszę, aby panowie poczekali obok.

- Mamy tak mało czasu - jęknął Joannes.

Niech pan będzie spokojny, im też pilno. A teraz proszę wyjść.

Bracia wyszli do sąsiedniego pokoju.

W drzwiach pojawiła się inna bliźniacza para.

### 3

Ważniejszy z nowo przybyłych przedstawił się:

- Senneville, naczelny inspektor.

- Witam pana, inspektorze, sekretarz Maillet. Senneville podał mu rękę.

- Z inspektorem Delorme znacie się?

- Oczywiście! Cześć, Delorme!

- Cześć, Maillet! Senneville zapytał.:

- Jest pan sam?

- Nie, panie inspektorze. Oni są obok. Inspektor spojrzał na walizkę.

- To ta?

Otworzył zamki. Delorme zagwizdał. Urzędnik usiłował zapanować nad obrzydzeniem.

- Lewa ręka - rzekł Senneville bez najmniejszego wzruszenia. - Obcięta za jednym zamachem. Nie trzeba być doktorem Losardem, aby stwierdzić, że to nie robota chirurga.

- Nogi już widywałem - powiedział Delorme - ale ręka...

Senneville opuścił wieko.

- A co byś powiedział, gdybyś zobaczył głowę!

- Jakby należała do typa, który zrobił to, powiedziałbym: brawo!

Urzędnik, który przyszedł już do siebie, rzekł:

- Może nie trzeba go daleko szukać. Młody człowiek, który przywiózł tę walizkę z Paryża, wie z pewnością więcej, niż powiedział.

Senneville zapytał:

- Jest tutaj?

- Nie. Tylko ojciec i stryj. Mówią, że zostawili go w domu, bo zemdłał. Ulica Dumont 10.

- Posłał pan zaraz kogoś ze swoich ludzi? - Nie, czekałem na panów.

- Upadł pan na głowę?! - zezłościł się Senneville. - Delorme, bierz tę walizkę, zaraz tam pędzimy. Dawać mi tu tych krewnych.

Urzędnik, zawstydzony, idąc otworzyć drzwi wskazał na walizkę i spytał nieśmiało:

- Dostanę pokwitowanie?

- Prześlemy!

Joannes i Leonard pojawili się w drzwiach przerażeni.

- Dzień dobry panom - rzekł Senneville. - Przedstawimy się sobie później. Jedziemy do panów, nie ma czasu do stracenia.

- Och, to dobrze, to dobrze - ucieszył się Leonard.

Senneville spojrział na niego ze zdziwieniem. Kiedy urzędnik i podoficer zostali sami, zamarli w bezruchu, jakby w oczekiwaniu nowej tragedii. Przez otwarte okno dobiegły ich słowa:

- Ulica Dumont 10, to dwa kroki stąd.

Drzwiczki zatrzasnęły się i samochód ruszył. Bracia odetchnęli z ulgą.

#### 4

W domu byli wszyscy. Doktor Guerrier zrobił zastrzyk najpierw Emilii, która nie przestawała płakać, potem Jean-Markowi, który z omdlenia zapadł od razu w sen. Senneville natychmiast odzyskał swój spokój, z którego słychać w całej okolicy. Podczas krótkiej drogi z komisariatu zdążył sobie wyrobić opinię o braciach wystarczającą na tyle, aby po przyjeździe na miejsce uznać ich matkę za jedyną osobę, z którą będzie można współpracować. Niestety, zaraz na wstępie tonem nie znośącym sprzeciwu oświadczyła, że nie o tej sprawie wie. I dodatkowy kłopot - Bergerowie nie mieli telefonu.

- A więc - powiedział Senneville - przede wszystkim poproszę, aby pani wnuk podał mi adres panny Sarrazin. Mój zastępca prześle go razem z walizką naszym ludziom, aby oni z kolei jak najszybciej zawiadomili Paryż, o ile już ktoś ich nie ubiegł.

- Tu jest jego pokój - powiedziała babcia - proszę tam wejść.

Rolety były opuszczone do połowy. Jean-Marc, bez marynarki, bledy jak płótno, spał na wznak. Senneville i Delorme zbliżyli się z obu stron łóżka. Babcia, która weszła za nimi, ustawiła się w nogach. Joannes z Emilią i Leonardem zatrzymali się w drzwiach. Gdy Senneville dotknął ramienia młodzieńca, Emilia wydała cichy okrzyk:

- Mój Boże...! Jean-Marc poderwał się.

- Nie!

Utkwił przerażone oczy w nieznanym postaciach. Opanowany głos babci sprowadził go na ziemię.

- Ci panowie są z policji, chłopcze. Pytają o adres panny Sarrazin.

- Tak - wyszlochał Jean-Marc - tak... to niemożliwe, to niemożliwe... - Potarł czoło, jakby próbował wymazać z pamięci przeżyty koszmar. - Ulica de la Ferme, Neuilly koło Paryża.

- Telefon?

- Maillot 46-79.

Delorme zanotował, a potem zapytał:

- Czy mam już iść, inspektorze?

- Tak, i proszę mi odesłać samochód. Delorme wyszedł.

- Czy może pan wstać, czy woli pan tu rozmawiać? - zwrócił się Senrieville do Jean-Marca.

- Mogę wstać.

Emilia pośpieszyła, aby go podtrzymać, a babcia podała mu marynarkę. Wszyscy znaleźli się z powrotem w pełnym świetle jadalni. Joannes zapytał nieśmiało:

- Czy któryś z nas, ja albo mój brat, mógłby zejść i zatelefonować do biura, aby uprzedzić o naszym spóźnieniu? Do Zakładów Jedwabniczych Saint-Polycarpe?

- Raczej pański brat - odparł Senneville. - proszę nie podawać powodów.

- Jak to? Wobec tego jak mam usprawiedliwić naszą nieobecność?

- Niech pan powie, że wyjaśni pan później. A prasa i tak panów w tym wyręczy.

Bliźniacy pobledli jak Jean-Marc.

- Prasa?

Inspektor widać uznał odpowiedź za zbyt dużą, bo wzruszył tylko ramionami i zwrócił się do Jean-Marca:

- Proszę mówić.

Historia o uprzejmości i dobrej woli nieznanego, teraz kiedy już znał zawartość walizki, nie była taka prosta. Gdy Jean-Marc doszedł do punktu kulminacyjnego, wydawało się, że zemdleje po raz wtóry. Opanowana jak zwykle babcia wyręczyła go w opowiadaniu. Senneville nie zaprotestował.

- Ten pierścienek z kocim oczkiem obecna tu moja synowa posłała swemu synowi w grudniu: miał to być prezent gwiazdkowy dla jego przyjaciółki z lat dziecińczych, Augusty Chenelong, która również studiuje w Paryżu.

Inspektor zerwał się na równe nogi.

- Mowa jest o córce tego jubilera? Nie mogliście mi wcześniej o tym powiedzieć?

- Pan ją zna? - spytał Joannes.

- Nie mówiliśmy, bo nie o nią tu chodzi - sucho odrzekła babcia. - Sądziłyśmy, że Jean-Marc łączy z tą młodą osobą uczucie, wobec czego moja synowa z własnej inicjatywy wysłała mu ten pierścienek. Zdawała sobie sprawę, że mego wnuka nie stać nawet na tak skromny prezent jak ten, a poza tym uważała, że to zabawne podarować jedynej córce jubilera tak mało wartościowy klejnocik. Ale z tego wynika - zwróciła się do Jean-Marca - że ty, zamiast ofiarować go Augustynie, jak sobie życzyła twoja matka, podarowałeś go pannie Sarrazin? - Mimo surowości pytania w głosie jej była ciepła nuta, którą jeszcze mocniej zaakcentowała w następnym zdaniu. - Bo chyba z całą pewnością rozpoznałeś rękę panny Sarrazin, prawda? Augusta ma o wiele większe ręce. Piękne, ale większe.

Jean-Marc, spuściwszy głowę, wyszeptał:

- Tak, dałem go Huguette, pannie Sarrazin... Przestałem się już widywać z Augustą... - Usiłował spojrzeniem przekonać Senneville'a. - Nie braliśmy na serio naszych projektów. Przyjaźń z czasów dzieciństwa, wie pan...

Inspektor zapytał:

- Czy panna Chenelong wiedziała, że pierścienek był przeznaczony dla niej?

- O, nie! Babcia chrząknęła.



- Owszem tak, panie inspektorze. Kilka dni potem otrzymaliśmy od Augusty, jak co roku, życzenia świąteczne. Nie było w nich żadnej wzmianki o pierścionku. Powiedziałam do mojej synowej: „Napisz do niej i spytaj”. Nie posłuchała mnie, wobec czego ja to zrobiłam. Podziękowałam Auguście za życzenia, posłałam jej życzenia od nas i dodałam: „Mam nadzieję, że podoba ci się pierścionek od Jean-Marca”.

Jean-Marc, osłupiały, zwrócił się do babci. Senneville, obserwując go, zapytał:

- A młoda osoba co na to?

- Nic - odparła babcia. - Ale kiedy w dwa tygodnie później otrzymaliśmy od Jean-Marca list zawiadamiający nas o zaręczynach z panną Sarrazin, zrozumieliśmy wszystko.

- Czy te dwie młode osoby się znały?

- Nie... W każdym razie ja ich ze sobą nie poznawałem.

- Panie inspektorze - powiedział Joannes drżącym głosem - nie myśli pan chyba, że...

- Ja nic nie myślę - odparł Senneville - ja tylko słucham i się uczę. - Znowu zwrócił się do Jean-Marca. - Kiedy widział pan pannę Sarrazin po raz ostatni?

- W niedzielę... wczoraj... Około czwartej... - I wszystko było dobrze... tak dobrze!

- Gdzie ją pan widział?

- U niej.

- „U niej” to znaczy u jej rodziców?

Głowa Jean-Marca opadła do tyłu; zaczął drżeć jak w konwulsjach. Joannes krzyknął:

- Trzeba wezwać lekarza!

- Nie ma powodu - powiedział Senneville wstając - wystarczy świeże powietrze.

- Nie będzie pan chyba zmuszał tego biedaka, aby poszedł z panem? - spytała babcia zaczepnym tonem.

- Zmuszać nie będę, łaskawa pani, poproszę go tylko Jest koronnym świadkiem. Rozumiem, że wolalby zostać, zwłaszcza że jest przeziębiony. Ale równocześnie jestem przekonany że jemu najbardziej zależy, aby sprawa możliwie szybko się wyklarowała. A może już jest jakaś odpowiedź z Paryża? W tej sytuacji chyba lepiej, żebyśmy sobie razem wszystko przedyskutowali, prawda? A o ile zbrodniarz nie...

Wykonał coś na kształt znaku krzyża, mimo żenię była to bynajmniej myśl pobożna. Babcia dokończyła za niego:

- ... nie poćwiartował całego ciała, aby łatwiej się go pozbyć?

Emilia wydała cichy okrzyk:

- Przestań, mamó, przestań!

Joannes usiadł koło syna i wziął go za rękę; drgawki ustały, na szczęście Jean-Marc nic nie słyszał.

- Pan inspektor wie, jak pokrzepić ludzi związanych z osobą ofiary - rzekła babcia.

Przedrzeźniając go wykonała znak krzyża. Senneville wybuchnął:

- Proszę sobie nie wyobrażać, że jak pani ma siwe włosy to pani wszystko wolno! A na załamana też pani nie wygląda!

- Opanował się. - Jean-Marc Berger, pan pozwoli...

Inspektor słusznie ufał w preżność ludzkiego organizmu. Jean-Marc podniósł się. Ojciec poprosił błagalnym tonem:

- Czy mógłbym zabrać się z panem, panie inspektorze? Chciałbym towarzyszyć synowi w drodze powrotnej.

- Jak pan sobie życzy. Jest jedno miejsce w samochodzie.

- Ja też - rzekła babcia. Inspektor nie spojrzał w jej stronę.

- Jedno miejsce to nie dwa.

- Och, mój skarbie - płakała Emilia, tuląc Jean-Marca ze wszystkich sił. - Weź szalik i  
zapnij się dobrze.

## IV

### *Ulica przez duże i małe „U”*

#### 1

Przed domem stał czarny wóz policyjny. Jego przyjazd, potem odjazd, a w końcu powrót, wszystko to razem wzbudziło ogólną ciekawość. Jedni stali na ulicy, inni patrzyli zza uchylonych firanek. Senneville kazał wsiąść Jean-Mar-kowi: sam zajął miejsce obok niego. Joannes usadowił się koło szofera. Kiedy samochód ruszył, na progu sklepiku pani Piochon ukazał się Leonard i pomachał im ręką.

- Nie śpieszyło się pańskiemu bratu z powrotem do domu - zauważył Senneville.

- Może nie mógł od razu połączyć się z kimś kompetentnym, panie inspektorze. Takich rzeczy nie mówi się byle komu, musi pan przyznać...

- O, przyznaję - odpowiedział Senneville.

Auto zjeżdżało teraz po pochyłej, z której rozciągał się widok na Rodan. Jedyne inspektor napawał się urokiem świeżej zieleni, panoramą tysięcy dachów i iskrzącą się w oddali rzeką. Uwaga Joannesa, podobnie jak szofera, była skupiona na tym, co działo się na jezdni. Jean-Marc, nieczuły na nic, podskakiwał apatycznie na każdym wyboju czy zakręcie.

- Niech pan spojrzy - rzekł Joannes do szofera - ulica Terraille! To tutaj pracujemy już trzydzieści lat. W Zakładach Jedwabniczych Saint-Polycarpe. Mój brat i ja. Trzydzieści lat.

Szofera guzik to obchodziło. Zbliżając się do ulicy Puits - i Gaillot włączył sygnał, aby ruch uliczny nie zmusił go do zwolnienia tempa. Na moście Morand oślepiło ich poranne słońce. Jeszcze trzy minuty i byli u celu przy ulicy Vauban, w Dzielnicowej Komendzie Policji Kryminalnej, gdzie w napięciu oczekiwał ich szef, komisarz Thevenet.

#### 2

Po otrzymaniu meldunku z komisariatu przy Croix Rouse zawiadomili Quai des Orfevres. Ale na pytanie: „Czy macie u siebie ciało kobiety z obciętą ręką?” w Paryżu odpowiedzieli: „Nie”. Potem Delorme przyniósł „krwawą walizkę” - jak ją nazwano - i przekazał ją do laboratorium, a adres panny Sarrazin dał szefowi, który tym razem osobiście połączył się ze swoim paryskim kolegą, komisarzem Picardem, aby szybko i dokładnie podzielić się z nim informacjami. Po daremnym usiłowaniu połączenia się z Maillot 46-79, Picarci zakończył rozmowę słowami: „Jedziemy tam! Jak tylko będę coś wiedział, zaraz do was zadzwonię”. „Może ja przedtem połączę się z wami - odparł Thevenet. - Ten młody człowiek powinien być tu lada - minuta”.

Gdyby wiszący na ścianie zegar - jedyna ozdoba gabinetu - wybijał, minuty, powinien bić właśnie w tej chwili. Zapukano bowiem do drzwi.

- Proszę wejść! Wszedł Senneville, sam.

- Już są, szefie. Narzeczony z ojcem.

- Nasi koledzy z Paryża pewnie są już teraz w jej mieszkaniu - rzekł Thevenet. - No, a co on mówi?

- Brednie nie z tej ziemi. Streścił pokrótce.

- No dobra. Dawaj go tutaj.

- Ojca też?

- Nie.

Senneville otworzył drzwi. Thevenet wstał i podszedł bliżej. Jean-Marc miał zapadnięte oczy. Senneville zamknął za nim drzwi. Thevenet, wskazał Jean-Markowi krzesło i przedstawił się:

- Komisarz Thevenet, szef Wydziału Kryminalnego. Bardzo mi przykro, panie Berger, że musiałem pana fatygować. Wyobrażam sobie, co pan przeżywa.

Jean-Marc wyjąkał z trudem.

- Tak, proszę pana, to straszne...

Thevenet zajął z powrotem miejsce za szerokim stołem dając znak Senneville'owi, żeby usiadł również. Spojrzał na Jean.

- Zostawmy na razie tę przedziwną sprawę zamiany walizek. Zacznijmy od najważniejszego. Czy jest pan pewien, że rozpoznał pan rękę swojej narzeczonej, panny Huguette Sarrazin, oraz pierścioneł, który jej pan ofiarował?

- Tak, proszę pana.

- Właśnie telefonowaliśmy do jej mieszkania, ale nikt nie odpowiadał. - Dał się słyszeć przyspieszony oddech Jean-Marca. - Proszę mi wytłumaczyć następującą rzecz: to, że panna Sarrazin nie odebrała telefonu, to jest całkiem proste - przecież nie żyje; ale dlaczego nie odezwał się nikt z jej rodziny czy w ogóle z jej otoczenia? Nikt też od wczoraj nie zaalarmował policji. Musiało chyba upłynąć sporo czasu od popełnienia zbrodni do momentu, w którym Amerykanin podrzucił panu tę walizkę, prawda?

- Panna Sarrazin mieszka... mieszkała sama. Ze służącą... Ale ona zawsze miała w niedzielę wychodne...

- Sama? Taka młoda dziewczyna?

- Ona... ona nie była już taka młoda... miała trzydzieści pięć lat... coś koło tego... trzydzieści pięć czy sześć.

Senneville podniósł brwi, nie podnosząc głowy znad notatek, które robił cały czas. Thevenet zapytał:

- A pan?

- Ja...?

- Tak, pan. Tu jest napisane, że pan ma dwadzieścia trzy lata. No tak... Senneville, proszę połączyć mnie z Maillot 46-79. Proszę wziąć drugą słuchawkę i w dalszym ciągu notować.

Podczas gdy inspektor wykonywał polecenie, w gabinecie panowała cisza. Thevenet obserwował Jean-Marca, który stojąc z opuszczonymi ramionami wyglądał, jakby chciał się zapaść pod ziemię. Odezwał się głos telefonistki:

- Jest Maillot 46-79.

Senneville podał słuchawkę szefowi. Odezwał się szorstki, męski głos:

- Halo!

Paryska telefonistka spytała:

- Czy to Maillot 46-79?

Męski głos powtórzył pytanie komuś, kto stał w pobliżu, po czym odpowiedział:

- Tak, to ten numer.

- Lion do pana, proszę mówić.

- Czy to mieszkanie panny Sarrazin? - spytał Thevenet.

- A kto mówi?

- Komisarz Thevenet z Policji Kryminalnej w Lionie. Głos natychmiast zmienił tonację.

- O, przepraszam, panie komisarzu. Tu inspektor Blondel. Zaraz oddam słuchawkę komisarzowi Belot.

Thevenet zawołał uradowany:

- A tę sprawę ma prowadzić Belot?

Senneville wydawał się nie mniej ucieszony. Jean-Marc miał taką minę, jakby chciał zapytać, kto to jest ten Belot.

- Dzień dobry, drogi Belot - zawołał Thevenet - jakże się cieszę, że pana zastałem!

- Ja również jestem rad, że pana słyszę, komisarzy - odpowiedział głos Belota. - A więc ofiarą jest rzeczywiście panna Sarrazin, właścicielka willi przy ulicy de la Ferme 9bis w Neuilly; przedstawia sobą przykry widok, zresztą nie tylko z powodu tej obciętej ręki.

- Jest w sypialni?

- Nie, leży na tapczanie, w salonie. Ubrana jest w nocną koszulę i szlafrok.

- Kiedy to się stało?

- Według” doktora Bonnetete, który zjawił się zaraz po naszym przyjeździe - około dwudziestej. Ręka potem.

- No myślę! Jak wytłumaczyć fakt, że nikt was przed nami nie zaalarmował?

- Ofiara mieszkała sama, tylko ze służącą, która do naszego przyjeździe o niczym nie wiedziała. Otworzyła nam jak gdyby nigdy nic i zdziwiła się dopiero wówczas, kiedyśmy się jej przedstawili. Powiedziała, że wyszła wczoraj rano, jak w każdą niedzielę, i wracając z kina weszła do swego pokoju na palcach - również jak w każdą niedzielę - aby nie budzić swojej pani. Czekala teraz na dzwonek, żeby zanieść jej śniadanie.

- A propos dzwonka - odezwał się Thevenet - kiedy niedawno usiłowaliśmy wykłócić ten numer, nikt nie odpowiadał.

- Telefon ma gniazdko do wyłączania i panna Sarrazin korzystała z tego, aby móc spokojnie spać. Mnie natomiast dziwi fakt, że służąca nie weszła ani do salonu, ani do żadnego, z pokoi na parterze, chociaż wszystkie one łączą się ze sobą - zarówno jadalnia, jak i oba salony: musiałaby zauważyć ofiarę. Twierdzi, że miała wyraźnie zabronione sprzątanie, a nawet rozsuwanie zasłon, zanim panna Sarrazin się obudzi. To niewykluczone.

Thevenet, który słuchając przerzucał notatki Senneville'a, spojrzal ukosem na Jean-Marca.

- Belot, zechce pan łaskawie spytać tę osobę, kiedy po raz ostatni widziała narzeczonego panny Sarrazin.

- Niech pan zaczeka. Przygarbiony Jean-Marc zaczął:

- Proszę pana, chciałbym...

Ale Thevenet podjął rozmowę telefoniczną.

- Tak, słucham?

- Ona nie znała narzeczonego. Thevenet powtórzył akcentując każde słowo:

- Nie znała narzeczonego? Jean-Marc raptownie zmienił ton i zawołał oburzony:

- To Gisele, pokojówka! Niech ją pan zapyta, czy nie znała Jean-Marca Berger!

Thevenet przekazał pytanie, powtarzając imię służącej. W telefonie zapanowała najpierw cisza, a potem:



- Zgadza się - powiedział Belot - ma na imię Gisele i bardzo dobrze zna pana Jean-Marca Berger, przyjaciela panny Sarrazin.

Thevenet powtórzył:

- Przyjaciela... - Jean-Marc wzruszył ramionami. - Drogi Belot, sądzę, że niedługo znów sobie porozmawiamy.

- Ja też tak myślę, panie komisarzu.

### 3

Powiedzieli sobie „do usłyszenia” i rozłączyli się. Thevenet przybrał dobroduszny wyraz twarzy i zwrócił się do Jean-Marca: - Przed chwilą chciał mi pan coś powiedzieć...

- Tak, chciałem pana ostrzec przed Gisele. To kretyn, i panna Sarrazin nie miała do niej za grosz zaufania! Tylko że teraz nie ma w czym przebierać, trzeba brać, jak się trafi. Po co mielibyśmy informować ją o naszych zamiarach? Pannie

Sarrazin nie potrzebna była taka powierniczka. Miała mnóstwo znajomości i stosunków w wielkim świecie. Kochaliśmy się i byliśmy zaręczeni, przysięgam panu na głowę mojej małej siostrzyczki. Przyjechałem, żeby powiadomić rodzinę o moim ślubie i żeby o tym pogadać w rodzinnym gronie. Różnica wieku nie stanowiła dla mnie przeszkody. Wyglądała tak młodo, była tak inteligentna i miała taką artystyczną duszę! Kochała malarstwo, a ja maluję, specjalnie po to przyjechałem do Paryża! Poznaliśmy się właśnie podczas zabawy w Akademii... Tańczyliśmy... Potem zaczęliśmy się spotykać... Thevenet, który domyślał się dalszego ciągu, podsunął:

- I nie czekaliście do ślubu z...

Jean-Marc wzruszył ramionami, dając do zrozumienia, że w istocie tak było. Nagle Thevenet rozgniewał się na dobre. Nie była to jednak wściekłość; przybrał ton dyrektora szkoły rozprawiającego się z niesfornym uczniem, oczywiście dla jego dobra.

- Czy nie uważa pan, młody człowieku, że już czas, abyśmy porozmawiali serio? Że ten okaleczony tru p...

- Och, nie... - jęknął Jean-Marc, jakby znowu miał zemdleć. Nie zemdleł jednak.

- ... stawia pana w obliczu sprawy poważnej, a nawet tragicznej? Jeśli dwudziestotrzyletni chłopak jest kochankiem kobiety trzydziestopięcio - czy trzydziestosześcioletniej, to jest to ich sprawa - oboje jesteście pełnoletni, zwłaszcza ona! Tylko co z tego, że pan nam tu opowiada o waszych zamiarach i projektach na przyszłość, jeśli pańska kochanka nie jest w stanie tego potwierdzić? Jakże ma pan na te dowody?

Senneville wtrącił lojalnie:

- W okresie świąt przysłał rodzinie jej fotografię. Mam ją wśród dokumentów, panie komisarzu.

- I to wcale nie jest żadne stare zdjęcie - wykrzyknął Jean-Marc, nie mogąc w żaden sposób opanować drżenia. -

Niech je pan sobie obejrzy, sam pan się przekona, jaka była piękna!

Thevenet zerknął na fotografię, zachowując przy tym kamienny wyraz twarzy.

- To jeszcze nie dowodzi planów małżeńskich.

- Przysięgam panu, że ona-tego chciała!

- Ona tego chciała! To ona chciała!

- I ja też! Ja też!

- A skąd możemy wiedzieć, czy nie chciał pan przede wszystkim wykorzystać jej... gestu. Kobieta mając własną willę, starsza od pana o kilkanaście lat...

- Nigdy nie wziąłem od niej ani grosza, przysięgam panu! Może pan zresztą zebrać informacje o moim życiu w Paryżu. Mieszkałem w hotelu „Marsylia”, właścicielami są państwo Bedat.

- Może pan na nas polegać - odparł Thevenet. - Więc po co wprowadzał pan w błąd swoich bliskich mówiąc o „młodej dziewczynie”? Dlaczego ukrywał pan przed nimi jej adres?

- Nie ukrywałem żadnego adresu, po prostu wyleciało mi to z głowy. Zresztą wcale mnie nie pytali. A co do „młodej dziewczyny”... Tak, to było kłamstwo, jedyne moje kłamstwo! Moi rodzice myśleli, że jestem zaręczony z moją przyjaciółką z dzieciństwa...

- Chodzi o Augustę Chenelong - wtrącił Senneville - córkę tego jubilera z placu Celestins.

Thevenet skinął głową na znak, że wie, o kim mowa. Jean-Marc mówił dalej:

- I żeby się nie narazić jeszcze gorzej], napisałem „młoda dziewczyna”. Teraz, po przyjeździe, miałem wszystko wyjaśnić. Lepiej oczywiście, gdybym od razu napisał prawdę. Moja babcia...

Senneville chrząknął. Thevenet spojrział na niego i spytał Jean-Marca:

- Czy to jej obawiał się pan najbardziej?

- Tak - odrzekł Jean-Marc. Głos mu się załamał, wyglądał jak pijany: z niewyspania, cierpienia i strachu. - Jestem zmęczony! Jestem taki zmęczony! Głowa mi pęka, chciałbym, panie komisarzu, wrócić do domu i się położyć.

- Szczerze ubolewam - niewzruszonym tonem odparł Thevenet - ale nie możemy na tym poprzestać. Paryż zażąda od nas najdrobniejszych szczegółów dotyczących okoliczności, w jakich ta walizka dostała się w pańskie ręce.

- Ja już wszystko wyjaśniłem! Absolutnie, wszystko!

- A co pan o tym sądzi, Senneville?

Inspektor, zwracając się do Jean-Marca, rzekł trochę szorstko:

- Nie, nie wszystko. Mówił pan, że kiedy przed Dworcem Liońskim w Paryżu stwierdził pan zamianę walizek, zostało panu akurat tyle czasu, żeby dopaść ruszającego już pociągu. - Jean-Marc przytaknął. - I chce pan nam wmówić, że Amerykanin obliczył to wszystko co do sekundy?

- Jasne, panie inspektorze! Stąd ta niby awaria! I dlatego przedłużył trasę i jechał bulwarami!

- I nie było żadnego świadka? - spytał Senneville, który podczas przesłuchania na ulicy Dumont nie zadawał mu żadnych pytań - Nikt tamtędy nie przechodził, kiedy reperowaliście wóz?

- Ja nie reperowałem, panie inspektorze, to on, ja mu tylko pomagałem, świeciłem latarką, taką wielką latarką! Mijały nas samochody, owszem, ale jechały na pełnym gazie, żaden nawet nie zwolnił” lało jak z cebra! Ale może jednak ktoś nas zauważył. To było między wpół do jedenastej a jedenastą piętnaście. A gdyby tak dać notatkę do jakiejś gazety?

Żaden z policjantów nie zareagował. Senneville podjął:

- A kiedy pod hotelem „Marsylia” zaofiarował się panu z pomocą, czy też nikogo przy tym nie było?

- Gdyby to było dosłownie parę minut wcześniej, byłby przy tym pan Eedat, właściciel hotelu. Ale właśnie poszedł się położyć, sam mu to zaproponowałem. Była przecież straszna pogoda. Oczywiście ten bandyta, ukryty w swoim wozie na końcu ulicy, tylko na to czekał. Nigdy nie miałem wrogów, nie wyrządziłem nikomu krzywdy, każdy to może potwierdzić, a jednak jest ktoś, kto chciał się na mnie zemścić.

- Na ogół kiedy ktoś się na kimś mści - zabrał głos Thevenet - musi mieć do tego powód. Zna pan tego Amerykanina? Niech się pan przyzna.

- Przysięgam panu, że nie! Nigdy go nie widziałem na oczy! To jakiś zazdrośnik! Muszę odpocząć, głowa mi pęka! Niech mnie pan puści, błagam pana!

- Ofiara odpoczywa za was dwoje, panie Berger - odparł Thevenet. - Pańskie zeznanie jest mętne.

Jean-Marc ryknął:

- Jest prawdziwe!

Komisarz Thevenet rzekł ze złowieszczym spokojem: - Jest fałszywe.

#### 4

Po raz pierwszy w życiu, odkąd jako skromny urzędnik zaczął pracować w Zakładach Jedwabniczych Saint-Polycarpe, Joannes znalazł się w kawiarni podczas godzin urzędowania. Była to kawiarnia przy ulicy Vauban: ulicy przez małe „u”, bo przez duże „U” oznaczała dla niego ulicę, przy której mieściła się Dzielnicowa Komenda Policji Kryminalnej. Wyszedł z komisariatu sam, jeśli w ogóle można mówić o samotności, kiedy bierze się udział w zbiorowym koszmarze. Sam, bez Jean-Marca. Policja zatrzymała jego najstarsze dziecko, jego jedyne dziecko, nadzieję rodu, pod pretekstem, że jest koronnym świadkiem - dlaczego koronnym, skoro wszyscy razem odkryliśmy zawartość walizki? A nawet, to ja, Joannes, ja we własnej osobie, odwinąłem ręcznik! Policja miała czelność nie tylko zatrzymać jego dziecko, ale nie pozwoliła mu nawet się z nim widzieć! Nie pozwolić ojcu zobaczyć się z synem! Czy to jest w ogóle możliwe? Jeszcze chwila, a postawiłby na głos to pytanie. Być może wyrwało mu się nawet jakieś słówko, bo barman obserwował go z otwartymi ustami. A tak ich prosił! Wszystko na nic. Ale co gorsze, schodząc po schodach usłyszał, jak jeden policjant mówił do drugiego: „Mamy nowego lokatora w izbie zatrzymań. Paskudna historia...” Nie może być dwóch paskudnych historii w tym samym momencie i w tym samym miejscu. Joannes wie, co to jest izba zatrzymań, ta klatka dla dzikich zwierząt w lokalu posterunku. Jean-Marc jest tam teraz zamknięty jak jakiś furia albo osobliwy okaz zwierzęcia. Sprawa była tak potworna, że trzeba ją było zneutralizować czymś jeszcze bardziej potwornym: łyżką jakiegoś mocnego trunku przy barze, w godzinach urzędowania. Ale chociaż ten mały koniak, w którym ledwie zamoczył usta, nie przynosił mu w niczym ujmy - nie szargał czarnego garnituru ani szarych rękawiczek - to jednak Joannes stwierdził, że te dwie potworności zamiast się nawzajem neutralizować, potęgują się tylko w jedną niepojętą katastrofę. Główny kasjer Zakładów Jedwabniczych Saint-Polycarpe w barze w poniedziałek o dziesiątej rano, a jego syn zatrzymany przez policję i co tu ukrywać: podejrzany, zamknięty, aresztowany! A na dodatek ta makabryczna obcięta ręka, walizka, pierścione. Co też mogli wykryć? Pytał ich, ale nie puścili pary z ust... Ukrywać takie rzeczy

przed ojcem! A już jutro tysiące lionczyków - ba, miliony Francuzów - dowiedzą się wszystkiego z gazet. I wystarczy, żeby on czy Leonard poszli do kiosku po jakiegokolwiek pismo, a będą wiedzieli to samo co wszyscy. Ale zanim to nastąpi, trzeba jeszcze wrócić do domu, uspokoić płaczącą Emilię, stawić czoło szyderstwom babci, przede wszystkim jednak znaleźć jakieś wyjście, aby uchronić przed tym wszystkim Marię-Luizę. Tylko jakie? Nawet Leonard mu nie pomoże. Są wprawdzie bliźniakami, ale przecież niejednojąowymi - każdy z nich reaguje inaczej. Z całą świadomością bluźnierstwa zaczął podawać w wątpliwość miłosierdzie boskie. Jak to jest możliwe, aby uczciwe, wypełnione pracą życie w ciągu jednej minuty zmieniło się w taki koszmar? Westchnął, odstawił kieliszek i zapytał;

- Ile płacę?

Uregulował i wyszedł nie dopiwszy koniaku, co wprawilo w takie zdumienie gości stojących przy barze, że odprowadzili go wzrokiem aż do drzwi. Barman zgarnął pieniądze i mruknął:

- Jeszcze jeden, który przeszedł przez narożny dom.

## V

### *Wizja lokalna*

#### 1

Paryż, a ściślej mówiąc Neuilly. Belot odłożył słuchawkę po interesującej rozmowie z sympatycznym komisarzem Thevenetem. Aby lepiej ją sobie upamiętnić, przymknął oczy i nie od razu spojrzął na stojącą przed nim Gisele. Siedział w głębokim fotelu, prawie pośrodku drugiego salonu (nazwijmy go drugim dla odróżnienia od tego, w którym leżała ofiara, a gdzie obecnie pracowali ludzie z Zakładu Kryminalistyki) obok antycznego stoliczka, na którym stał biały aparat telefoniczny. Resztę mebli stanowiły również antyki, i to cenne. Belot spojrzął na ściany. Same Van Goghi, mnóstwo. Nie trzeba specjalnie znać się na malarstwie, aby na pierwszy rzut oka rozpoznać Van Gogha. Belot miał już: z nim kiedyś do czynienia. Wtedy była to oczywiście reprodukcja i dyskretnie maskowała kasę pancerną. Oryginalny Van Gogh nie służy do ukrywania pieniędzy ani pereł. Sam jest fortuną. Dużą czy małą? W sumie z pewnością olbrzymią, ekspert poda dokładne dane. Cała ta willa w guście Trianon, łącznie z tarasem z ciosanego kamienia, całe to cacko wydaje się na pozór znacznie mniejsze, niż jest w istocie. U wejścia posadzka w formie szachownicy z białego i czarnego marmuru. I wszystkim tym zajmuje się jedna tylko służąca? Belot zwrócił się do Gisele. GISELE, jak tytuł baletu, którego nigdy nie widział, ale zapamiętał sobie afisze - już samo to powinno go zaliczyć w poczet kulturalnych policjantów. Ta Gisele w niczym nie przypominała tancerki, była tęga, o masywnych nogach, i mimo wypielegnowanych rąk i po-lakierowanych paznokci wyglądała na chłopkę. „Taniec z miotłą” - pomyślał sobie. W ogóle od rana był w dobrym humorze. Po raz pierwszy towarzyszył mu w pracy jego chrześniak, Simon Riviere, syn jego najlepszego, poza Picardem, przyjaciela, który zginął na posterunku. Chłopiec od roku, to znaczy odkąd był w służbie, marzył, aby współpracować ze swoim chrzestnym ojcem. Żebrał o to. Musiały się na to złożyć dwie okoliczności: aby obaj jednocześnie nie byli zajęci i żeby trafiła się akurat niebanalna sprawa. Obcięta ręka wyglądała na taką. Obecnie Simon badał górne piętra, Blondel ogród, a on, Belot, patrzył na Gisele, która stała nie-poruszona.

- Niech pani siądzie, panno Gisele.

- Pan inspektor może mi mówić, po prostu Gisele. Po tym, co tu się zdarzyło...!

- Z tej samej przyczyny - powiedział Belot - nie musisz zwracać się do mnie w trzeciej osobie.

- Dobrze, panie inspektorze. - Położyła ręce na udach. - Nigdy nie przypuszczałam, że utrata chlebobawczyni może być dla mnie takim przeżyciem.

- Ale też straciłaś ją w niezwykły sposób - rzekł Belot.

- To fakt - przyznała Gisele.
- Od dawna pracujesz u panny Sarrazin?
- Nie, od trzech tygodni.
- Dopiero?
- Tak, panie inspektorze. I nie pobylabym tu dlugo.
- A to dlaczego?
- W biurze posrednictwa od razu mnie uprzedzili.
- Co to za biuro?



- Biuro Le Bellec, w Ternes.

- Znam. Solidna firma. - Dziękuję panu.

- A o czym cię uprzedzono w tym biurze?

- Powiedzieli mi, że nie zagrzeję miejsca u panny Sarrazin. Ze dwa miesiące to będzie góra. Powiedzieli, że panna Sarrazin jest bardzo kapryśna. Przepraszam, że tak po niej mówię, kiedy ona... ale ja tylko powtarzam. I jeszcze dodali: „Ona ciągle zmienia pomoce!”.

- I pomimo to przyjąłś tę posadę?

Gisele zrobiła minę zrezygnowaną, która tak nie pasowała do jej rysów, że wydało się to udane.

- Kiedy się jest bez pracy... Moi poprzedni chlebodawcy musieli się ograniczyć i poprzestać na dochodzącej.

Belot wyjął notes.

- Może podasz mi ich nazwisko i miejsce zamieszkania.

- A dlaczego nie miałabym podać? Byłam u nich pięć i pół lat i mam od nich referencje. Państwo Lecour, ulica Verneuil

- Tam gdzie apteka. Gisele ożywiła się.

- Pan jest z tej dzielnicy?

Belot zaprzeczył z pełną skromności miną, więc Gisele mówiła dalej:

- Muszę zaznaczyć, że panienka płaciła mi bardzo dobrze. Dwa miesiące u niej to było tyle, co pół roku gdzie indziej.

- A twoim zdaniem rzeczywiście była kapryśna?

- Przeciwnie! Była bardzo słowna. Jak raz coś powiedziała, to się tego trzymała. I nigdy nie podnosiła głosu.

- Czy często przyjmowała gości?

- Nigdy nie urządziła przyjęć, a to dla służącej najważniejsze. Górą też się nie zajmowałam. Panienka miała klucz.

- A gdzie sypiasz?

- Na pierwszym piętrze. Piękny pokój, wcale nie jak służbowy.

Poszli do sąsiedniego salonu. Rozgardiasz, który tu panował, zmienił jego wygląd. Przez podwójne, szeroko rozsunięte drzwi, również w stylu Trianon, na prawo od szeszlona widać było stopę obutą w maleńki pantofelek we wschodnim guście. Pracownicy Zakładu Kryminalistyki wszędzie porozstawiali swoje przyrządy i reflektory. Jeden z nich powiedział do Belota: -

- Skończyliśmy, komisarzu, można już zabrać zwłoki.

- Dziękuję. Wezwijcie karetkę. - Zwrócił się do Gisele. - Proszę tu zostać.

Chciał jeszcze, raz spojrzeć na ofiarę, zanim zniknie stąd raz na zawsze, a poza, w której się znajdowała, zostanie uwieczniona tylko na niezliczonej ilości zdjęć zrobionych przez fotografów. Nigdy nie wiadomo, co taki ostatni rzut oka może odkryć. Tym razem nie odkrył nic nowego, potwierdził tylko poprzednie obserwacje. Ofiara, po otrzymaniu ciosu w kark, upadła na wznak. Bonnetete stwierdził: „Śmierć natychmiastowa, ale poczekajmy jeszcze na orzeczenie Dampierre’a po autopsji. Dokonano tego sztyletem, nożem lub rozcinaczem do papieru, nie brzytwą. Oстрыm narzędziem”. Nie odnaleziono go dotychczas i być może nie odnajdzie się nigdy. Nóż łatwo zabrać ze sobą, co innego siekiera. A propos siekiery:

- Na siekierze nie ma żadnych odcisków palców? - spytał Belot, nie zwracając się do nikogo specjalnie.

Nourry, najstarszy ze wszystkich, odpowiedzialny za linie papilarne, odparł:

- Żadnych! Powiedzielibyśmy ci przecież!

Siekiera, a ściślej mówiąc siekierka, znajdowała się w kuchni. Gisele zeznała, że używała jej do rąbania drewna.

- Żadnych - powtórzył Nourry. - Wytarta, umyta, wypucowana, jak prawdziwa siekiera strażacka.

Ręka kobieca jest w przegubie drobna. Wystarczyło jedno uderzenie. Ofiara upadła nawet w dogodny sposób, z wyciągniętym ramieniem. Nie trzeba było dodatkowego wysiłku i nerwów. Potworne. Bonnetete nie był w stanie określić, w ile czasu po ciosie w kark nastąpił ten drugi. Czy zbrodniarz pozostał w domu, razem ze zwłokami? Czy też wrócił, kiedy przyszedł mu do głowy pomysł z „przyjacielem”, ręką i walizką?... Tak, ładna kobieta, bardzo ładna.

- A tu, jaka piękna! - powiedział Simon, który nie zauważony przez Belota stanął obok niego. - Znalazłem to zdjęcie w jej pokoju.

Belot spojrział na piękne kształty leżącej na plaży kobiety. W tym momencie do pokoju weszły białe kitle z noszami.

- Możecie zabrać - powiedział, po czym zwrócił się do Simona: - Przyjrę się później. Coś ciekawego na górze?

- Chyba nic.

- Wobec tego, zanim ja tu-skończę, ty idź na ratunek Blondelowi. Chyba zabłądził w ogrodzie.

## 2

Gisele nie ruszyła się z miejsca. Harmider panujący w sąsiednim pokoju nie zakłócił tutejszej ciszy. Belot znowu zagłębił się w fotelu.

- Skończyliśmy na gościach panny Sarrazin - powiedział.

- Tak, panie inspektorze.

Głos miała, jak poprzednio, spokojny, stateczny. Doskonałe opanowanie. Albo doskonała próżnia.

- Czy widziała pani kogoś z jej rodziny?

- Nie, nikogo.

- A czy miała rodzinę?

- Nie wiem.

- Więc kto bywał?

- Sprzedawcy obrazów. Przychodzili, jak mieli coś nowego do pokazania.

- Van Gogha?

- Pan inspektor zna?

- Jak wszyscy.

- Miała i inne obrazy, impresjonistów, jak ich nazywała, ale na punkcie Van Gogha miała bzika. Powiedziała mi, że cały świat zazdrości jej tej kolekcji.

- Czy coś z tego sprzedawała?

Pytanie wydawało się Gisele tak pocieszne, że nie mogła powstrzymać się od uśmiechu.

- Skąd! Przecież je kupowała! Te dwa, tam w głębi, kupiła równocześnie.

- A przyjaciele? Miała wielu? To pytanie zgorszyło Gisele.

- Och, panie komisarzy! Tylko jednego!

- Nie mówiłem o kochankach - powiedział Belot.

- O, przepraszam, źle zrozumiałam. Przyjaciele... przyjaciele... jeśli pan ma na myśli mężczyzn, to nigdy tu nie bywali. Panie, owszem, przychodziły na herbatę. Ale wieczorem... Już o dziesiątej byłam zawsze w swoim pokoju. Panienska zapowiedziała mi: „Słuchaj Gisele, jeśli będziesz u siebie, a usłyszysz, dzwonek, to się nie fatyguj. Gdybym kogoś oczekiwana, otworzę sama. Jeśli nie, może dzwonić, jak długo zechce, i tak go nie wpuszczę”. Neuilly to odludzie, panie inspektorze.

- No i co? Słyszałaś kiedy dzwonek?

- Raz.

- I panna Sarrazin otworzyła?

- Wydawało mi się, że słyszałam trzaśnięcie bramy. U nas otwiera się bramę przez naciśnięcie guziczka w sieni, nie trzeba wychodzić z mieszkania.

- Czy zauważyłaś, kto to był: mężczyzna, kobieta?

- Leżałam już w łóżku i nie chciało mi się wstawać, panie inspektorze. Pomyślałam sobie, że to pewnie przyjaciel panienki.

- No dobrze - powiedział Belot sadowiac się wygodniej w fotelu - porozmawiamy sobie teraz o nim. O tym Jean-Marcu Berger.

Na jej twarzy pojawił się ten sam grymas, co podczas telefonicznej rozmowy z Lionem. Belot zauważył:

- Coś mi się wydaje, że on ci się nie podobał.

- Ani mi się podobał, ani nie podobał.

- Często przychodził? - Tak.

- Czy panna Sarrazin okazywała mu duże zainteresowanie?

- Co proszę?

- Czy bardzo go kochała?

- Przypuszczam, że tak. Panna Sarrazin nie była z tych, co to wtajemniczają służbę w swoje osobiste sprawy.

- Ile ma lat?

Gisele nie wiedziała dokładnie.

- Jakieś dwadzieścia dwa... do dwudziestu pięciu. Na pewno nie więcej.

Belot gwizdnął cicho.

- Taki młody? Ona musiała mieć ze trzydzieści pięć?

- Trzydzieści sześć. Trzydziesty siódmy. W tym wieku to się zdarza.

- A ty, Gisele? Ile ty masz lat?

- Trzydzieści pięć. Ale zapewniam pana, panie inspektorze, że mnie s-ię to nie przydarzy.

- O nic takiego cię nie pytałem, i Odwróciła oczy i wycodziła przez zęby:

- Nie, ale nie trzeba uważać mnie za głupszą, niż jestem.

- Możesz być spokojna - odpowiedział tonem, który mógł oznaczać zarówno pocieszenie, jak i pogroźkę. - Sympatyczny ten Berger?

- Jeśli chodzi o napiwki, to nie dawał nigdy. Nie było zresztą okazji. Ale grzeczny był zawsze.

- Czy wychodzili razem?

- W ciągu dnia z pewnością nie. Ale ponieważ panienka miała samochód, a on nie, więc może jeździła po niego.

- Słuszna uwaga. Przed chwilą powiedziałas mi, że słysząc w nocy trzaśnięcie bramy, pomyślałaś, że to on. Czy nie miał swojego klucza?

- Nie, proszę pana, ani on, ani nikt.

- Nikt, to znaczy kto?

- Ja, ma się rozumieć! To moje pierwsze miejsce, gdzie nie mam klucza. Kiedy rano wracałam z zakupów, panienka sama mi otwierała.

- A jednak wczoraj wieczorem nie ona ci otworzyła?

- Tak, w niedzielę dawała mi klucz. Tak samo, jeśli musiałam wyjść w tym samym czasie co ona albo wrócić przed nią.

Belot zamilkł na chwilę, po czym powiedział:

- Jednym słowem nie bała się pożyczać ci klucza podczas swojej nieobecności. Ale wołała nie zostać zaskoczona znieścacka, kiedy była w domu. Ani przez ciebie, ani nawet przez swojego przyjaciela.

- Z wyjątkiem niedzieli.

- Z wyjątkiem niedzieli. Bała się kogoś, kto mógł najść ją w dzień powszedni, a nie mógł tego zrobić w niedzielę. A została zamordowana właśnie w niedzielę.

Gisele powiedziała półgłosem.

- Tak, proszę pana.

- Czy masz jakieś podejrzenia? Gisele odpowiedziała spokojnie:

- Skąd! Przecież nie było mnie przy tym.

Belot udał, że nie usłyszał tej zbyt naiwnej odpowiedzi.

- I ostatnie na dziś pytanie, Gisele. Czy panna Sarrazin zawsze nosiła na prawej ręce pierścionek z kocim oczkiem?

- Z czym?

- Z kocim oczkiem. To nazwa kamienia. Nie znałem jej tak samo jak i ty.

Gisele odpowiedziała z odcieniem pogardy:

- Tak, zawsze go nosiła. Ale czasami - oczy jej zabłyśły - wkładała na drugą rękę duży diament, bardzo duży! Piękny! - Zmarszczyła brwi. - Czy ktoś go znalazł?

- Nie wiem. Dziękuję, Gisele. Możesz wracać do kuchni. Od kilku minut Simon i Blondel czekali w sąsiednim salonie. Belot poszedł do nich.

- No i co, chłopcy? - Rzucił okiem na tapczan. - Ona, która tak kochała się w kolorach! Ta czerwona plama na żółtym atłasie i tutaj druga w samym środku białego kwadratu na tym dywanie... Jakie to smutne... Chodźmy do biblioteki.

### 3

Przeszli przez jadalnię. W serwantkach porcelana i srebro, i wszędzie obrazy, wszędzie Van Gogh. W bibliotece jedyną ozdobą były książki sięgające aż po sufit; zapewne zbiory ojca lub dziadka panny Sarrazin. Usiedli we trzech w rogu wielkiego pustego stołu, stojącego w samym centrum pokoju. Simon postawił przed sobą elegancką torbę i plik papierów. Belot spojrzał pytająco na Blondela.

- Przeczesałem cały ogród - powiedział Blondel. - Jest to jeden z nielicznych tu domów, który choć znajduje się przy samej ulicy, ma z tyłu spory kawałek ogrodu. Starannie wypielegnowany, rzecz jasna, przez ogrodnika. Jest tam nawet posążek - o, proszę, widać go i stąd. To Diana.

- Łowczyńni - dorzucił Simon.

- Co za znajomość rzeczy! Phi, phi...! - rzekł Belot.

- Staramy się nie zrobić panu wstydu, szefie - poważnie powiedział Blondel.

- Wolałbym, żebyś znalazł nóż, sztylet czy rozcinacz do papieru - jednym słowem narzędzie zbrodni! Z pięknie zachowanymi, należącymi do zbrodniarza odciskami palców. Nie było nic takiego w kołczanie Diany?

Blondel powiedział z ubolewaniem:

- Artysta nawet nie zadał sobie trudu, żeby wyrzeźbić kołczan. Poszukiwania w garażu też spęły na niczym. Poza małym sportowym wozem nie ma tam nic. A co za czystość!

Nigdzie ani śladu brudnego gałgana czy pustej blaszanki! Pierwszy raz mam do czynienia z zabójstwem kobiety samotnej: czy one wszystkie są takie?

- Te z Neuilly [\*Neuilly - miejscowość pod Paryżem, zamieszкана przez bogaczy] z pewnością bardziej niż z Menilmontant [Menilmontant - dzielnica biedoty] - odpowiedział Belot. - Myślę, że taka pedanteria może świadczyć o jej charakterze. Masz jeszcze coś?

- Nie.

- No to zajmiesz się dochodami panienki, i to zaraz. Gdzieś tu w papierach widziałem jej książeczkę czekową...

- Tu jest - powiedział Simon.

Była wystawiona przez bardzo znany prywatny bank. Belot podał książeczkę Blondelowi.

- Wiesz, jak się tym zająć, a gdyby ci robili jakieś trudności, zwróć się do naczelnika Gaillardeta. - Blondel wyszedł. - Teraz kolej na ciebie, Simon. Co to za zdjęcie, które mi przed chwilą pokazywałeś?

Simon wyjął ze stosu papierów biały prostokąt i odwrócił go drugą stroną. - Stało samotnie na jej kominku.



- Na jej kominku? - zastanowił się Belot patrząc z uwagą na zdrowe, dobrze umięśnione ciało prawie jak u sportsmenki.

- Tak, w jej pokoju. Sądząc po wąskim łóżku, nie dzieliła go chyba z nikim.

- Tak, zauważyłem. To jednak zastanawiające: postawić sobie swoje własne zdjęcie, prawie nago. Jak to się nazywa?

- Narcyzm?

- Właśnie. Dziwna jednak była ta panna Sarrazin... tak. Przejdźmy teraz do bałaganu, jaki tu zastaliśmy. Czy morderca coś ukradł, a jeśli tak, to co?

- Właśnie, co? Wszystkie szuflady wywrócone do góry nogami, to samo sekretera i szafka nocna... Na podłodze nieopisane pobojowisko: pościel, biżuteria, papiery. Zabrałem się do roboty, jak tylko ci z Kryminalistyki odwalili swoją.

- Powiedziałaś biżuteria?

- Tak, w szkatułce.

- Czy natknąłeś się na pierścionek z dużym diamentem?

- Na niejednego. A poza tym bransoletki, naszyjniki.

- Zamknąłeś pokój, mam nadzieję? - Simon wyjął z kieszeni klucz i podał go Belotowi. - Postawimy tam zresztą kogoś. A co w innych pokojach?

- Oprócz służbowego, wszystkie nie zamieszkane, i to od dłuższego czasu. A pomyśleć, że są ludzie, którzy nie mają dachu nad głową!

- Ale za to nikt nie dybie na ich życie. A na drugim piętrze?

- Strych, a raczej strychy. Blondel by powiedział, że nigdy nie widział tak czystych strychów. Ani odrobiny kurzu. Walizki, kufry - taka rupieciarnia.

- A co jest w tej torbie?

- Drobiazgi pięknej pani. Terminarzyk - żadnego spotkania na sobotę ani na niedzielę. Prawo jazdy i tak dalej. Poza tym pęk kluczy. Wypróbowałem wszystkie: do bramy, do drzwi wejściowych, do garażu i do samochodu - z medalikiem świętego Krzysztofa, patrona kierowców. Okazuje się, że ma ich pod opieką tylko na drogach...

Ma mój sposób myślenia:- zastanowił się Belot. Jego matka miała słuszość bojąc się mego wpływu na niego. Po śmierci ojca, gdyby nie ja, nigdy nie przyszyłoby mu do głowy zostać policjantem. Ale nie zmuszałem go przecież. Rad jestem jednak, że tak się stało.

#### 4

- Proszę wejść, Belot - zawołał zza swego biurka komisarz Picard, szef Brygady Kryminalnej, nazywanej Brygadą Asów. - Proszę zrobić mi ten zaszczyt i usiąść naprzeciw

mnie. Właśnie skończyłem wysłuchiwać przez telefon hymnów pochwalnych na twoją cześć. Trwało to całe pięć minut.

- Czyich to? - spytał Belot.

- A... to cię interesuje! Truflot, podaj panu komisarzowi stenogram z rozmowy.

- Proszę, panie komisarzu - powiedział Truflot, wzorowy sekretarz, znany w całym gmachu zarówno ze swojej łysiny, jak i sumiennosci połączonej z niebywałą cierpliwością.

- To Thevenet z Lionu tak piał na twój temat - rzekł Picard.

- Dopiero co z nim rozmawiałem - powiedział Belot. Picard wspomniał:

- Właśnie mnie o tym poinformował. Ty byś pary nie puścił.

Belot, który cierpliwością prawie dorównywał Truflotowi, zapytał:

- Widziałeś się z Blondelem?

- Nie tylko z Blondelem, ale ze wszystkimi! I co z tego? Pech chce, że ja nadal oczekuję, żebyś to ty rzucił światło na sprawę. Nikogo się teraz nie spodziewam, a niedługo zwali się nam na kark prasa. Komplementy opuść.

Belot przeleciał szybko pierwsze zdania, których prawdę mówiąc nie było wiele, i zaczął lekturę od miejsca:

THEVENET: Chyba poważnie traktujecie w Paryżu sprawę Sarrazin, skoro przydzieliliście do niej Belo ta?

PICARD: A wy w Lionie niepoważnie?

- THEVENET: Jako morderstwo - owszem. Ale jako zagadkę? Myślę, że rozwiązanie to tylko kwestia czasu.

PICARD: Doprawdy?

THEVENET: Cała ta historia z walizką jest po prostu wyssana z palca. Przyciskałem chłopca do muru przez pół godziny. Ponieważ wersja jest dziecięco naiwna, powtarzał ją bez trudu, jak automat. Wszystko inne natomiast brzmi fałszywie, dziwacznie bądź zbyt jasno. Charakter znajomości z ofiarą, różnica wieku, środowiska, sposób wyrażania uczuć...

PICARD: Jakie są pańskie wnioski?

THEVENET: Właśnie chciałem je panu przedstawić. Myślę, że to Jean-Marc, po uprzednim zamordowaniu swojej kochanki, sam uciął jej rękę - i sam zawiąawszy ją w chiński szlafrok włożył do walizki, którą kupił czy wręcz ukradł z pierwszej lepszej szatni. Sądzę, że dokładnie obmyślił, jak to ją otworzy w obecności całej rodziny. Tak, to potworne, ale właśnie dlatego wszystkie inne wyjaśnienia wydają się prawdopodobniejsze: zamiana, zemsta, zazdrość. Słowem chłopiec rozumował następująco: „Nigdy nie uwierzą, że mógłbym być takim łajdakiem czy szaleńcem, aby dopuścić się tak potwornego czynu!” Halo!

PICARD: Słucham pana z najwyższym zainteresowaniem.

Kiedy zamierza pan nam go przysłać?

THEVENET: Niestety, nie mam do dyspozycji dwóch inspektorów. Ściśle mówiąc, mam jednego.

PICARD: Jutro przyślę panu jednego ze swoich.

THEVENET: Nie śmiem niczego panu sugerować, ale...

PICARD: Chce pan powiedzieć, że szczytem marzeń byłby sam Belot.

THEVENET: Zgadł pan.

Belot przebiegł oczyma ostatnie linijki stenogramu. Była w nich mowa o knedlach i pulardach z Nantui.

- I co ty na to? - spytał Picard.
- Każ mi wystawić potrzebne papiery.
- Trufiot, czy papiery dla pana komisarza są przygotowane?
- Proszę.

Belot uśmiechnął się zamiast podziękowania.

- Wyjadę wieczorem. Czy mógłbyś dać kogoś na ulicę de la Ferme zamiast Simona?
- Jak z tym będzie, Truflot?
- Oczywiście, proszę pana. Można posłać Toussainta albo Malicorne'a.
- Niech idzie Toussaint. A teraz opowiadaj, Belot.

Kiedy wczesnym popołudniem Belot pojawił się w gabinecie Picarda po raz drugi, szef Instytutu Medycyny Sądowej, zwany doktor Dampierre, przyniósł im osobiście wynik sekcji zwłok.

- Rzadko dostępuje się tego zaszczytu, doktorze - rzekł Picard.
- Trzeba też przyznać, że nie rozpieszczacie mnie powierzając mi sprawy banalne. Za to dzisiaj miałem naprawdę smakowity kąsek - coś dla znawcy. Nie mówię o obciętej ręce, to dzieło jakiegoś furiata czy zboczeńca. Tak, posłużył się tą siekierą. Rozmawiałem przez telefon z Bonnetete'em, dziwił się bardzo, że rana zadana pośmiertnie może tak krwa-

wić. Oczywiście, że może, nawet wiele godzin, jeśli została zadana w okolicy hypo... to znaczy chciałem powiedzieć... Picard i Belot powstrzymali go tym samym gestem.

- Od tylu lat jesteśmy pańskimi żarliwymi czytelnikami, że pańskie słownictwo nie ma dla nas tajemnic - rzekł Picard.

Dampierre nie miał zwyczaju pozwalać, żeby mu przerywano.

- Chciałem powiedzieć, że zwisające ramię stwarza po temu wprost idealne warunki. Jednym słowem nic ciekawego. Wszystko to napisałem w swoim sprawozdaniu i, rzecz jasna, nie z tego powodu wspinałem się do was po piętach. Idzie mi o ranę w karku, która była przyczyną prawie natychmiastowej śmierci; wydobyła ona z zakamarków mojej pamięci czy też, jeśli wolicie, zapomnienia, soczystą formułkę, którą poznaliśmy już przy pierwszym zetknięciu się ze stołem prosektoryjnym. Zawdzięczamy ją - jak i wiele innych - staremu Farabeufowi. Słyszeliście o - Farabeufie?

- Farabeuf? - zastanowił się Picard, po czym zwrócił się do Belota: - Słyszałeś? - Belot zrobił przeczący ruch głową. - Nie, nie słyszeliśmy o Farabeufie, doktorze, Nigdy nie występował w pańskich sprawozdaniach.

- W tym też nie występuje, to byłoby niepoważne. Bardzo ostry przedmiot, którym posłużył się morderca - upierałbym się przy rozcinaczu do papieru, zrozumiecie, panowie, dlaczego - wbił się między dwa kręgi, siódmy szyjny i pierwszy grzbietowy, przebijając dwie tętnice na raz: szyjną poprzeczną i głęboką. A czy wiecie, jak Farabeuf ochrzcił to miejsce? „rozstajne drogi zazdrosnego sztyletu”.

## VI

### *Augusta*

#### 1

Belot trzykrotnie w ciągu swojej kariery przebywał w Lionie; miasto było, jego zdaniem, urocze, a jego tamtejsi koledzy po fachu również mu odpowiadali. Ich początkowa powściągliwość i okazywany mu chłód, który mógł się przerodzić w niechęć, a nawet w otwartą wrogość, z biegiem czasu zmieniły się w życzliwość. Wśród miłych słów i twarzy można było spokojnie i solidnie pracować. Niektórzy uważali, że ten szczęśliwy rozwój wypadków zawdzięcza Belot swojej umiejętności nawiązywania osobistych kontaktów. Belot w takich razach mawiał: „Sami jesteście sobie winni, jak sobie kto pościele, tak się wyśpi”.

Obiad zjadł w wagonie restauracyjnym. Przyjechał już po zapadnięciu zmierzchu. Mimo to postanowił, że po uprzednim sprawdzeniu, czy w hotelu „Terminus” zarezerwowano dla niego pokój, jeszcze tego wieczora pójdzie na ulicę Vauban. Jutro od samego rana solidnie zabierze się do śledztwa i koniecznie musi zdążyć na nocny pociąg do Paryża. We

środe rano stawi się już na Quai des Orfevres. [Quai des Orfevres - ulica, przy której mieści się sławna Główna Komenda Policji Kryminalnej].

Belot, szkicując swoje plany z wrodzonym upodobaniem do samotności, na którym jego działalność zawodowa bynajmniej nic nie traciła, nie brał nigdy w rachubę, że ktoś może go oczekiwać. Stąd jego zaskoczenie na widok bratniej duszy, Senneville'a, który stał uśmiechnięty przy wejściu do hotelu.

- Tak, to ja pierwszy zetknąłem się z tą sprawą - rzekł Senneville - i niech żyją poobcinane ręce, jeśli dzięki nim mogę uścisnąć pańską!

- Mówi pan jak z książki - powiedział Belot. - Ja też jestem rad, że pana widzę. Gdy od czasu rozmowy naszych szefów zdarzyło się coś nowego?

- Lekarz zbadał młodzieńca.

- A co, nerwy zawiodły?

- Tak, zaraz po otwarciu walizki. Ale dodatkowo skarżył się, że przyjechał z Paryża silnie przeziębiony.

- No i co?

Senneville wzruszył ramionami.

- Tak, silne przeziębienie, ale obejdzie się bez szpitala, a nawet pielęgniarki. Jestem swoim samochodem, bo chciałem pana potem porwać do domu, moje dzieciaki przepadają za panem!

W czasie jazdy opisał Belotowi całą rodzinę Berger, ze - szczególnym uwzględnieniem babci i Jean-Marca, którego komisarz Thevenet „nie bez powodu uważał za podejrzanego”.

- Chciałbym z nim porozmawiać, póki w obliczu prawa jest tylko świadkiem - powiedział Belot.

Oddychając ciężko ustami, z nosem zatkanym na skutek kataru, rozpalony gorączką Jean-Marc spał w swojej klatce; leżał w ubraniu, ale bez płaszcza i szalika, gdyż pomieszczenie było przegrzane. Gdy policjant otworzył drzwi, zareagował tak samo jak rano: przerażonym spojrzeniem i okrzykiem: „Nie!” Najpierw zobaczył Belota, osobę jeszcze mu nie znaną.

- Wstań - powiedział Senneville - pójdziesz z nami.

Pochód otwierał Senneville, a Belot zamykał, obserwując pilnie sylwetkę młodzieńca. Większość policjantów uważa, że wyczerpali już wszystko, co można było powiedzieć na temat podejrzanego, ani słówkiem nie wspominając o jego wyglądzie zewnętrznym. Ten chłopiec jest delikatny, elegancki z natury i nie przypomina nikogo z rodziny Bergerów

sądząc z tego, co wiem o niej od Senneville'a. Nawet ta mina skazańca, którą wywołało nasze brutalne wyrwanie go z pierwszego snu, nie zdołała zeszpeciść jego miłej, pełnej wdzięku twarzy. I to był powód, dla którego skromny studencina spodobał się bogatej, wiele lat starszej kobiecie. Ciekawe, które z nich skorzystało więcej...

Kiedy wszyscy trzej usiedli w jednym z gabinetów, Belot powiedział:

- Przyjechałem, żeby zabrać pana do Paryża. Jean-Marc wyglądał jak zwierzę złapane w potrzask. Chciał krzyknąć, ale zdołał tylko jęknąć:

- Pan nie ma prawa!

- Do czego? - zapytał Belot bez złości.

- Żeby zamykać mnie tu jak zwierzę, zwłaszcza po tym, co mi się przydarzyło...

- A co ci się przydarzyło, chłopcze?

Pytanie i ton, w jakim było zadane, zbiło Jean-Marca z tropu.

- No... ta walizka! I obcięta ręka... mojej narzeczonej... mojej narzeczonej... - wybuchnął płaczem. - Pan sobie nie zdaje sprawy! Nikt sobie nie zdaje sprawy!

- Przyjechałem po pana dlatego - powiedział Belot - że przecież wszystko oprócz otwarcia walizki miało miejsce w Paryżu, i tylko w Paryżu możemy szukać rozwiązania tej ponurej historii. Musimy mieć pana pod ręką do pomocy w poszukiwaniach.

Szloch ucichł. Jean-Marc spojrzał na Belota z ukosa.

- Tak, rozumiem. Nie jestem więc uważany za... - me śmiało wymówił tego słowa. -  
Wyjeżdżamy dzisiaj?

- Jutro.

- Czy mogę pójść do domu się położyć?

Belot wstał, Jean-Marc również. Senneville, zakłopotany, śledził każdy jego ruch.

- To jest niestety niemożliwe - powiedział Belot. - Pan rozumie - prasa. Dla dziennikarzy nie ma nic świętego. Tu ma pan większy spokój.

- Tak, prasa - powiedział Jean-Marc - dobrze.

Bez słowa odprowadził komisarza wzrokiem aż do drzwi. Obaj policjanci wyszli i wsiedli do samochodu.

- Ma pan metody, szkoda gadać - westchnął Senneville. - Wstąpi pan do mnie na jednego?

- Wolałbym mocną kawę - odparł Belot. - Nie mógłbym zasnąć bez filiżanki dobrej kawy.

## 2

Nie mógł zasnąć bez kawy, ale budził się zawsze, kiedy tylko chciał. Już wczesnym rankiem chrupał wyborny rogalik, popijając go płynem, mającym niewiele wspólnego z tym, którym go wczoraj poczęstował Senneville. Czytał miejscowe gazety, które nadały taki rozgłos tajemnicy obciętej ręki, jakby cała sprawa zdarzyła się tutaj. Stara pani Berger wzięła na siebie, ciężar opowiedzenia dziennikarzom całej tej sceny. Przedstawiła to na chłodno, z bezbłędną precyzją, jak w sztuce Merimeego. Młodsza pani Berger, matka Jean-Marca, pozostała w cieniu. Mimo to zamieszczono jej zdjęcie i podano szczegóły dotyczące losów pierścionka nie wymieniając nazwiska osoby, dla której był przeznaczony. Były również dwa zdjęcia panny Sarrazin - jedno grupowe z jakiegoś przyjęcia, a na drugim była sama - oraz fotografia Jean-Marca sprzed dwóch lat, bardzo korzystna, bardzo uduchowiona o nijakim spojrzeniu. Nadmieniono też, że policja lionńska oraz paryska, udzielając informacji dotyczących ofiary, nie wysunęła żadnej hipotezy co do osoby mordercy: policja lionńska nie zbadała nawet dokładnie koronnego świadka, który zostanie niezwłocznie przekazany władzom na Quai des Orfevres. Jeśli chodzi o ojca i o wuja, nie sposób było do nich dotrzeć. Zaraz po południu wrócili do Zakładów Jedwabniczych Saint-Polycarpe, gdzie tak niedawno odbyła się podniosła uroczystość z okazji stulecia firmy. Jej właściciel pan Couzon - zawsze w doskonałych stosunkach z prasą - przyjął dziennikarzy osobiście.

- Oszczędźcie panowie - powiedział - tych dwóch wspaniałych ludzi, a zarazem wzorowych pracowników. Ta koszmarna tragedia nie oderwała ich od codziennej pracy. To



się oczywiście któregoś dnia wyjaśni, tak jak wszystko, a wtedy ja, szef tego przedsiębiorstwa, przyrzekam wam uroczyście, że sam was do nich zaprowadzę, abyście sobie mogli z nimi porozmawiać.

No, przynajmniej to mam z głowy - pomyślał Belot. Od Senneville'a dowiedział się, że Zakłady Saint-Polycarpe zaczynają pracę o ósmej trzydziści, na ulicy Dumont stawił się więc trzy kwadranse wcześniej. Męski złamany głos spytał przez drzwi:

- Kto tam?

- Najmocniej przepraszam. Przyjechałem z Paryża, Jestem komisarzem Policji Kryminalnej.

Drzwi otworzyły się natychmiast na całą szerokość i ukazała się w nich niewysoka postać o umęczonej twarzy. Był to Leonard wpatrujący się w Belota jak w zbawcę.

- Schwytaliście mordercę?

Z jadalni wynurzyły się dwie osoby o twarzach równie pełnych napięcia. Tylko na twarzy babci nie malowało się nic więcej poza nieposkromioną ciekawością.

- Niestety, nie - powiedział Belot postępując krok naprzód. - Państwo pozwolą?

- Więc co będzie? - jęknął Joannes. - Co będzie?

Od wczoraj postarzał się o dziesięć lat, nie zdążył tylko schudnąć. Emilia wylała już wszystkie łzy. Miała bezradną minę i drżała jej dolna szczęka, a szlafrok na niej wisiał. Bracia nie zdążyli zapiąć kołnierzyków. Tylko babcia była bez zarzutu.

- Z Paryża, no proszę! - podjął Joannes. - Można kochać Lion i co z tego! Jak co do czego przychodzi, to zaraz Paryż! Co stolica, to stolica! Tędy, panie inspektorze...

- Komisarzu - poprawił go Leonard. Stół był nakryty do śniadania. Joannes wskazał ręką.

- Tak samo jak wczoraj - szepnął - dokładnie tak samo.

Tyle, że bez Jean-Marca - zobojętniałym od tyłu nieszczęść głosem powiedziała Emilia.

- I bez walizki - uzupełniła babcia - a to jest różnica. Może zechce pan usiąść?

- Pani jest bardzo uprzejma - powiedział Belot siadając.

- Teraz my się panu przedstawimy. Ja jestem, rzecz jasna, babka. To jest matka chłopaka. To ojciec, a to wuj. Moja wnuczka spędziła noc u litościwych sąsiadów. Co zaś się tyczy mego wnuka, to nikt nie zdobył się na zwykły ludzki odruch, żeby przynieść nam jakąkolwiek wiadomość o nim.

Bliźniacy starali się nie uronić ani słowa i w największym napięciu oczekiwali, co na to powie komisarz.

- Wystygnie pani kawa. Proszę się nie krępować moją obecnością. Pani wnuk czuje się całkiem nieźle. Wczoraj zbadał go lekarz. Nie znalazł nic ani w płucach, ani w oskrzelach.

- Dzięki Bogu! - zawołała Emilia.

- Rozumie doskonale, że musimy go chronić przed niezdrową ciekawością - ciągnął Belot. - Przyjechałem, żeby zabrać go do Paryża. Jego obecność tam jest nieodzowna.

- Policja naprawdę podejmuje wszelkie środki ostrożności - rzekł Joannes. - Czy za te dobre słowa można nalać panu filiżankę kawy?

Belot podziękował ruchem głowy, a babcia powiedziała:

- Ciekawe, gdzieś ty usłyszał dobre słowa. A może ja coś przeoczyłam? Ze na przykład Jean-Marc ma tutaj spotkać się z tym panem, aby pożegnać się z nami przed odjazdem? Albo może ten pan przyjechał tu po to, żeby Jean-Mareowi nie nudziło się samemu w podróży?

- Jest koronnym świadkiem - powiedział Belot - i z tego tytułu...

- Iz tego tytułu ma prawo do eskorty? Ach to już teraz nie wzywa się świadków listownie czy telegraficznie? Prowadzi się ich za rączkę?

- Chroni się ich przede wszystkim - powiedział ze stoickim spokojem Belot, czując niebezpieczeństwo wiszące w powietrzu.

- Czyżby teraz morderca chciał z kolei zabić Jean-Marca? - spytała Emilia, której niepokój można było poznać jedynie po wzmożonym drzeniu dolnej szczęki.

Joannes usiłował coś przegryźć, gdyż od dwudziestu czterech godzin nie miał nic w ustach. Poniechał jednak tego zamiaru. Leonard, zrozumiałwszy wreszcie, o czym mowa, zawołał:

- No jasne! Jasne! Zabójstwo tej biedaczki, obcięta ręka, walizka, wszystko to może oznaczać dopiero pierwszy akt! Teraz kolej na niego!

- Chyba że zastosuje się do naszych zaleceń - uzupełnił Belot.

- Co to ma znaczyć? - spytała nieustraszona babcia. - Czy Jean-Marc panu coś powiedział? Albo któremuś z tych pańskich kolegów, co tu wczoraj byli?

- Nie, nic nie powiedział, a to z tej prostej przyczyny, że sam jeszcze nic nie wie. Jego wrogowie chcieli go być może najpierw zastraszyć, a dopiero potem postawić w sytuacji bez wyjścia.

- Otóż to! - prawie radośnie poparł go Leonard - Jean-Marc nigdzie nie może czuć się bezpieczniej niż w rękach policji.

- Najmocniej przepraszam” panie komisarzu - powiedział Joannes spojrzawszy uprzednio na zegarek - jak pan zapewne się orientuje, obaj z bratem pracujemy w Zakładach Jedwabniczych Saint-Polycarpe i musimy już wychodzić. Pomoc i zrozumienie, jakiego w tej ciężkiej próbie doznajemy od naszego szafa, pana Couzon, przechodzi - jeśli wolno się tak wyrazić - wszelkie granice. Bylibyśmy ostatnimi niewdzięcznikami, gdybyśmy tego nie docenili zachowując przynajmniej punktualność.

- Chciałbym jednak porozmawiać z panem trochę o synu - powiedział Belot.

Babcia spytała z uśmiechem:

- A czy widział pan rodziców, którzy znają swoje dzieci i potrafią o nich mówić?

- Tak. Na przykład pani.

Babcia spieszyła się. Spojrzenie jej stało się odległe i powiedziała raczej do siebie:

- Może swoje dzieci tak. Ale Jean-Marca... - Natychmiast odzyskała jednak swój zaczepny ton. - A zresztą - nie potrzebuje pan przecież niczyjej pomocy, ma go pan pod ręką!

- Belot wstał. - Jeszcze chwilkę! Moi synowie wychodzą, a synowa pójdzie odpocząć, prawda, Emilio?

- Tak, mamó - powiedziała Emilia. - Do widzenia panu. I żeby Jean-Marc nie zapomniał wziąć szalika.

Joannes i Leonard, gotowi już do wyjścia, wymienili między sobą zgnębione spojrzenia i pożegnali się z Belotem w taki sposób, jakby to jemu należały się wyrazy współczucia. Belot został sam na sam z babcią, która wyprostowała się i powiedziała:

- Jjget pan ciekawski, panie... - Belot. Fryderyk Belot.

- Jest pan ciekawski, Fryderyku.

- To należy do mojego zawodu, łaskawa pani.

- Nie w tym rzecz! Pan może być niebezpieczny. - Nigdy dla niewinnych.

- Możliwe, ale dla podejrzanych... A przecież nie wszyscy podejrzani są winni. Niech pan sobie to zapamięta, Fryderyku. Powierzam panu tego smarkacza. On ma duszę artysty!

Trudną. Uważa, że nikt go nie rozumie, nawet ja. A ja go rozumiem, jesteśmy ulepieni z jednej gliny. Albo prawie z jednej.

### 3

Dziwne - pomyślał Belot, wsiadając do służbowego samochodu, który oddano mu do dyspozycji - nikt z członków rodziny nie wspomniał o porannych gazetach. Czy nikt nie czuł potrzeby ich przeczytać? Mniejsza o braci, może kupili gazety po drodze do biura - ale ona? Ona, która przyjmowała dziennikarzy, ona, która opowiedziała im całą tę makabryczną scenę z najdrobniejszymi szczegółami? A ja sądziłem, że jest próżna.

W firmie jubilerskiej pana Chenelonga, jednej z najbardziej wziętych w mieście, scena z dziennikarzami rozegrała się całkiem inaczej, niż to miało miejsce w rodzinie Berger. Pani Chenelong zemdląła, a pan Chenelong zadzwonił na Ulicę Vauban. Kocie oczko? Nigdy, przenigdy, on, Chenelong, nie sprzedawał żadnego kociego oczka: Co za pomysł! Kocie oczko - też coś. Augusta zawsze miała wolną rękę i odkąd zaczęła stawiać pierwsze kroki, kierowała się swoim małym mózdzkiem, „jedynaczka, panie komisarzu, to mówi samo za siebie!”, a on, Didier Chenelong, wychowywał się z braćmi Berger w zakonie i nawet jako dorośli utrzymywali ze sobą stosunki towarzyskie, a potem z kolei ich dzieci chowały się razem i jako małe brzdące bawiły się wspólnie, a kiedy dorosły, chodziły razem do teatru, do kina, jeździły w góry, w końcu trafiły do Paryża; krótko mówiąc, Augusta w zeszłym roku bąknęła, że Jean-Marc bardzo jej się podoba, i dodała: „Może nawet weźmiemy ślub”. On chodził na Akademię Sztuk Pięknych, miał w przyszłości zostać malarzem, a wszyscy Chenelongowie wysoce cenili artystów. Jean-Marc naszkicował mu kiedyś wzory klejnotów w stylu egipskim i bizantyńskim, które zdaniem Chenelonga były znakomite. Ale na propozycję wynagrodzenia, i to nie byle jakiego, odpowiedział: „Za nic w świecie!” „Był tak delikatny, panie komisarzu, tak wrażliwy i wydawało się, że uwielbia Augustę. Ale ani podczas świąt Bożego Narodzenia, ani w Nowy Rok Augusta nie pisnęła o nim nawet słówkiem, a kiedy matka zapytała ją, czy Jean-Marc także przyjechał na święta, odpowiedziała: „Nie wiem, nic mnie to nie obchodzi”, co było najlepszym dowodem, że ją to bardzo obchodzi. Potem wróciła do Paryża na swoje humanistyczne studia i w żadnym z jej listów nie było najmniejszej wzmianki o przyjacielu z lat dziecińczych.

- Można oszaleć - dodał pan Chenelong - najpierw nasz znakomity klient; komisarz Thevenet, zapewnia mnie, że nasza córka nie będzie zamieszana w tę paskudną historię, aż tu nagle komisarz z Paryża przyjeżdża do Lionu specjalnie, aby się ze mną, a raczej z nami zobaczyć!

Chenelong był to człowiek skromnego pochodzenia, o trochę zbyt czerwonej - może wskutek emocji - twarzy. Przyjął Belota w swoim prywatnym mieszkaniu, które znajdowało się nad sklepem. Wnętrze przypominało apartament panny Sarrazin: ten sam doskonały gust, z tą różnicą, że na ścianach zamiast nowoczesnych płócien wisiały stare portrety w ramach z epoki.

Belot uspokoił przerażonego ojca, podając mu tę samą wersję na temat Swojej podróży, co rodzinie Berger. O kocim oczku nie wspomniał ani słowem. Pokazano mu - chociaż o to nie prosił - fotografię Augusty; przyjrzał jej się z przyjemnością. Adresu nie zmieniła, od czasu gdy stara pani Berger pisała do niej w sprawie pierścionka. Epizod ten był również państwu Chenelong nie znany.

Natychmiast po powrocie na Ulicę Vauban Belot telefonicznie złożył Picardowi sprawozdanie ze swoich poczynań, po czym polecił Simonowi udać się na ulicę d'Assas 80 do urodziwej Augusty Chenelong.

#### 4

Na ostatnim piętrze starej, pięknej kamienicy z czasów Dyrektoriatu Augusta Chenelong zajmowała uroczą kawalerkę, która kiedyś była pokojem służbowym. Widok z okien wydawał się prawie nierealny: Ogrody Luksemburskie, kopuła Panteonu i niebo, powiedzmy, bez chmur. Simon Riviere nie od razu zauważył to wszystko. Najpierw na kartce przypiętej do drzwi przeczytał napis: AUGUSTA - nic więcej, wyglądało to na imię jakiejś chiromantki lub jeszcze gorzej (Czemu gorzej - zastanowił się Simon. - To przecież też zawód. Czy glina to coś lepszego?). Potem zapukał, a czysty, dźwięczny głos odpowiedział:

- Wejdz, otwarte!

Stanął przed piękną dziewczyną o błyszczących, radosnych, pełnych ciekawości oczach. Miała na sobie prostą sukienkę, równie młodzieńczą jak ona sama.

- A, to heca! - zawołała. - Myślałam, że to kto inny. Jest pan kolegą Francois? Nie może przyjść czy umówił się tu z panem?

Poza plecami Augusty stojącej tyłem do okna - rozciągał się ten wspaniały widok. Simon dojrzał go dopiero teraz. Początek rozmowy nie był korzystny. Zawsze lepiej, jeśli świadek od razu dowiaduje się, z kim ma do czynienia. Gdyby Augusta zapytała: „Kto tam?”, odpowiedziałby: „Inspektor Riviere z Policji Kryminalnej. Czy mogę z panią chwilę porozmawiać? Zwykła formalność”. A tak, trzeba ją sprowadzić z jej świata i wprowadzić w mój, który w rzeczywistości jest jej światem, a nie moim. Chyba że skończyła już z tym chłopcem raz na zawsze.. Ciekawe, czy czytała gazety.

Augusta przyglądała mu się.

- Co to wszystko znaczy? Zaniemówił pan? Czy Francois zachorował? Może pan mówić śmiało. Byłoby mi przykro, gdyby zachorował, ale ostatecznie to tylko mój kolega. - Uśmiechnęła się. - Wygląda pan poważniej niż my wszyscy, ale jest z tym panu do twarzy. Pan jeszcze studiuje? Może usiądziemy?

Zwinęła się na tapczanie w kłębek, ale ta poza nie zdołała bynajmniej ukryć jej wysokiego wzrostu. I wcale nie robiła wrażenia porzuconej. Simon usiadł na krześle.

- Nie, proszę pani, nie studiuje. Przyszedłem w imieniu Jean-Marca.

Wyrażenie „w imieniu” było wielką niezręcznością, ale Simon powiedział tak umyślnie. Augusta zmarszczyła brwi - szerokie czarne brwi, które jej twarzy nadawały charakter - i wybuchnęła:

- A czegoż to Jean-Marc może chcieć ode mnie! On nie ma już nic do powiedzenia. Ani on, ani osoby postronne! Sprawa jest definitywnie zakończona!

Simon zarumienił się.

- Proszę mi wybaczyć, źle się wyraziłem. Nie przyszedłem w jego imieniu, przyszedłem z jego powodu.

Jej twarz odprężyla się, ale cała postać jakby mimo woli utraciła swobodę. Simon dodał:

- Czy widziała pani poranne gazety? Jej ładna twarz pobleadła.

- Nie. Gazety? Obojętne jakie? Powiedział pan: „czy widziałam”, a nie „czy czytałam”, pierwszą stronę? - Simon przytaknął. - Kim pan właściwie jest?

Przywołał na pomoc najbardziej pokrępiający z uśmiechów.

- Jestem inspektorem Policji Kryminalnej, ale proszę się nie bać! Zbrodnia jest potworna, ale Jean-Marc jest w nią tylko zamieszany.

Z przerażeniem powtórzyła:

- Zbrodnia?

Simonowi nie pozostawało nic innego, jak możliwie najkrócej streścić całą sprawę. Słuchała w napięciu. O „Huguette Sarrazin, o Neuilly, o obciętej ręce. Gdy doszedł do momentu otwarcia walizki, jej blada twarz zrobiła się zielona. A po słowach „...pierścionek z kocim oczkiem na serdecznym palcu” zdążyła tylko zasłonić ręką usta, nie zdołała jednak powstrzymać jęku. Natomiast nie okazała najmniejszego zdziwienia.

- Tak - powiedział Simon chcąc jak najprędzej z tym skończyć - pani Berger rozpoznała pierścionek przeznaczony dla pani. Dlatego tu jestem: mam nadzieję, że będzie pani mogła rzucić trochę światła na tę historię. I pomóc Jean-Marcowi-

- Pomóc Jean-Marcowi? Dlaczego pomóc? - powiedziała Augusta, która do tej pory patrzyła prosto przed siebie niewi-

dzącymi oczami, a dopiero po ostatnim zdaniu Simona gwałtownie odwróciła głowę.

- Dlatego - odparł z filozoficzną wyrozumiałością - ze jakkolwiek wielka jest pani uraza...

Przerwała mu w pół zdania.

- Ależ nie o to chodzi! - Simon zdziwił się, że nie dodała „ty durniu”, gdyż z pewnością tak pomyślała. - Dlaczego Jean-Marc potrzebuje pomocy? Czy dlatego, że jest ofiarą jakiejś straszliwej zemsty?

- Zemsta nigdy nie jest bez przyczyny. I właśnie te przyczyny pozwalają nam niejednokrotnie wykryć sprawcę. Bywa też tak, że dla sędziów stają się okolicznościami łagodzącymi. Ale to już nas nie dotyczy.

Augusta położyła ręce na kolanach - piękne, duże ręce, większe od rąk panny Sarrazin, tylko że te ręce drżały, a więc żyły. Powiedziała bardzo cicho:

- Zemsta nigdy nie bywa bez przyczyny. O tak!

Zaczęła mówić. Zaczęła mówić do swoich rąk. W miarę opowiadania, nie odrywając od nich wzroku, coraz bardziej pochylała się do przodu.

- W zeszłym roku mieliśmy wziąć ślub, w każdym razie ja byłam zdecydowana; a sądziłam, że i on także... Załatwiliśmy wspólny wyjazd do Paryża, no i studia. Często spaliśmy razem. Tu za tym parawanem, który znaleźliśmy na ciuchach - wskazała go ruchem głowy, nie podnosząc oczu - Jean-Marc zostawał zawsze na cały weekend, wychodziłam wtedy tylko po zakupy. Gotował on; zamiast fartuszka owiżywał się ręcznikiem. Wszystko nas bawiło, cieszyliśmy się z byle czego. Myślałam sobie: to tak wygląda życie we dwoje. Oprócz zajęć na Akademii pracował jeszcze na placu Vendôme u Pauguina, słynnego konserwatora dzieł sztuki. No i malował, tak dla swojej własnej przyjemności. Do muzeów chodziliśmy równie często jak do kina. Doksztalaliśmy się wspólnie. A potem, w grudniu, ściśle mówiąc na początku grudnia, jeszcze przed Bożym Narodzeniem, przepadł.

Augusta uniosła ręce i zamiast położyć je z powrotem na kolanach, skrzyżowała je na piersiach. Patrzyła teraz na mały dywanik leżący koło tapczanu. Zdawać by się mogło, że widzi na nim to, o czym opowiada.

- To było w poniedziałek. Rano powiedział: „Nie czekaj na mnie w tym tygodniu. Szef mnie naciska. Kaprysy miliardera”. Miało to oznaczać robotę trudną i rzadki okaz. Nie pokazał się cały tydzień. I już nigdy więcej. Nigdy więcej. Mieszkał przy ulicy Bonapartego w hotelu „Marsylia”. Telefonowałam tam wiele razy. Mówili albo że wyszedł, albo że jeszcze nie wrócił. Nawet w godzinach kiedy musiał już być z powrotem. Zaczęłam się zadrećcać. Żadnego znaku na Boże Narodzenie. To samo na Nowy Rok. Oczywiście widywałam się z



kolegami wieczorem i w ciągu dnia - nie jestem z tych, co to się tak łatwo załamują. Ale święta bez Jean-Marca! Zaczynałam rozumieć, co znaczy samotność, nawet kiedy się nie jest samotnym; było to tak, jakby rodzice, dom, wspomnienia i wszystko dokoła przepadło wraz z nim. Jakbym stała się nędzarką, bezdomnym włóczęgą. Ja, córka Chenelonga, jedna z najlepszych partii w Lionie! Posłałam rodzinie Bergerów najlepsze życzenia świąteczne. A może przypadkiem tam pojechał? Może komuś się coś stało, na przykład babci? Och, ta upiorna babcia! A jednak trzeba przyznać, że to ona skłoniła go do studiów na Akademii. W głębi duszy wiedziałam, że gdyby on tam był, moi rodzice by mnie o tym powiadomili, co tydzień dostawałam od matki epistoły na dwadzieścia stron! Ale odpowiedź przyszła właśnie od babci.

Augusta, żeby zmusić się do dalszego opowiadania, zacisnęła pięści.

- W jej liście było takie zdanie: „Mam nadzieję, że spodobał ci się pierścionek od Jean-Marca”. List spaliłam, ale paląc listy nie pali się słów. Przeżyłam straszny wstrząs, przysięgałam sobie, że kobiecie, która nosi ten pierścionek, nie ujdzie to na sucho. Trzy dni czatowałam na Jean-Marca przy wyjściu od Pauguina. Nie pojawił się. Wystawił więc do wiatru i jego. Pojechałam pod hotel „Marsylia”. Wielokrotnie przechodził koło mojej taksówki, drżałam, żeby mnie nie zobaczył. Za każdym razem kiedy wracał, był sam; co z tego. Potem, jednego wieczoru wyszedł i wziął taksówkę. Pojechałam za nim. Zatrzymał się w Neuilly przy ulicy de la Ferme 9bis.- Oczywiście mógł tu mieszkać ktoś zupełnie bez znaczenia. Ale byłam pewna, że tak nie jest. Gdyby nie to, że szofer mojej taksówki był młody, dziwnie mi się przyglądał i bałam się, że mi zacznie robić propozycje, zostałabym na czatach całą noc. Wróciłam. W książce telefonicznej Neuilly pod ulicą de la Ferme 9bis znalazłam tylko jedno nazwisko. Nic dziwnego, przecież to willa. SARRAZIN. Panna Huguette Sarrazin, Maillpt 46-79. Natychmiast wykręciłam numer. Długo nikt nie podnosił słuchawki, w końcu odezwał się kobiecy głos. Dźwięczny, czysty, stanowczy. „Halo”. Zrobiło mi się słabo. Powiedziałam: „Czy to mieszkanie panny Sarrazin?” Odpowiedziała: „Tak, a kto mówi?” Pomyślałam sobie: Czekaj, napędzę ci strachu, i milczałam. Powtórzyła: „Halo! Halo!” i odkładając słuchawkę zwróciła się do kogoś, kto przy niej był, pewnie do Jean-Marca: „Stroić sobie żarty o tej porze!” Reszty nie usłyszałam. Żarty. Ona to nazwała żartami! Nazajutrz wybrałam się do niej.

Simona zaniepokoił nagle przyśpieszony oddech Augusty i jej zadyszany głos. Zdawał sobie sprawę, czym może być odnowienie nieznośnego wspomnienia, którego zapomnienie kosztowało wiele dni i miesięcy. Miał ochotę wziąć Augustę pod brodę i spojrzeć jej w twarz,

by zobaczyć, czy wciąż ma jeszcze ten sam ziemisty kolor. Ale ona mówiła: przed jej oczami nadal rozgrywała się akcja filmu.

- Zadzwoiłam. Sama otworzyła mi drzwi, ale przez myśl mi nie przeszło, że to może być ona. Kobieta w tym wieku! O. bardzo elegancka, bardzo ładna. O oczach błękitnych, zimnych jak lód. Powiedziałam: „Czy mogłabym widzieć się z panną Sarrazin?” Odpowiedziała: „To ja”. Nie mogłam w to uwierzyć. Oczy jej były lodowate, nieufne, wrogie. Spytała: „Dlaczego wydaje się pani to takie dziwne?” Odpowiedziałam: „To pani jest kochanką Jean-Marca?” Odparła: „A pani wczoraj wieczorem telefonowała do mnie. Poznaję panią po głosie”. Nie poprosiła mnie do środka, nie miałam zresztą na to najmniejszej ochoty. Chciałam, żeby słyszała mnie cała ulica. Ale nie mogłam wydobyć z siebie głosu. Tak jak teraz. Zresztą, cała ulica. Nigdzie ani żywej duszy. Powiedziałam: „Pani mi go ukradła!” Zaczęła ze mnie szydzić: „Już to jedno zdanie wystarczy, aby zrozumieć, dlaczego Jean-Marc panią porzucił. Mała mieszczańeczka, przyjaciółka z dzieciństwa! Jak pani mogła się uważać za dziewczynę odpowiednią dla takiego chłopca jak Jean-Marc! Zresztą z jego opowiadań o pani wszystko już było dla mnie jasne”. A ja jej na to: „On jest łajdakiem, a pani złodziejką”. Byłam pewna, że mnie spolicz-kuje. Nagle doznałam olśnienia. „Tak, jest pani złodziejką, ale nie dlatego, że mi go pani zabrała - w tym, co pani mówi, jest wiele racji - ale dlatego, że przyjęła pani pierścionek, który należał do mnie”. Spytała: „Jaki pierścionek? A, prawda, pani jest córką jubilera!” Odpowiedziałam jej: „To nie ma nic do rzeczy! Pierścionek, który jego matka przysłała dla mnie!” Odparła: „Kocie oczko?”. W ten sposób dowiedziałam się, że to było kocie oczko. Na ręku miała tylko jeden pierścień. Olbrzymi diament, niezwykle drogi. Zerwała go z palca i gdybym się nie cofnęła, wcisnęłaby mi go do ręki. „Niech pani sobie zabierze ten, jest przynajmniej coś wart, ja będę odtąd nosiła tylko tamten!”. Po raz drugi głos uwiązał mi w gardle. Diament błyszczał jak oko diabła, dławilo mnie ze wstrętu.

Cofnęła rękę, żeby zatrzaskać mi przed nosem drzwi. Lewą rękę, tę która... Zawołała z niesłychaną gwałtownością: „Proszę stąd wyjść! A jeśli Jean-Marcowi coś się przydarzy, będę wiedziała, czyja to sprawka!” A więc...

Mimo że nic nie wskazywało, aby Augusta miała stracić równowagę, Simon zobaczył, jak nagle osuwa się z tapczanu na dywanik. Podtrzymał ją, ale kiedy chciał ją unieść, odepchnęła go: - Proszę mnie zostawić, chyba już dość, nie?

Simon natychmiast odzyskał swoją bezosobowość. Wyjął z portfela już uprzednio wypełnione wezwanie i położył je na stole. „Panna Augusta Chenelong jest proszona we środę do Prefektury Policji. Godzina szesnasta. Wydział Śledczy. Gabinet komisarza Picarda. Ulica Quai des Orfevres”. Simon dodał:

- O tej porze Jean-Marc Berger będzie już na pewno z powrotem.

I wyszedł.

## VII

### *Powrót z Lionu*

#### 1

Komisarz Thevenet gorąco ucisnął dłoń Belota. Byli po znakomitym obiedzie, który zjedli w przydrożnej gospodzie nad brzegiem Saony.

- Przykro mi, że nie mogę zostać z panem aż do odjazdu pociągu. Mam do pana prośbę: chociaż sprawa nam się wymyka - na co bynajmniej się nie uskarżam - prosiłbym o informowanie nas na bieżąco. I jeśli okaże się, że ten Amerykanin nie jest czystym wymysłem, podaję się natychmiast do dymisji. Proszę również odesłać mi zaraz Delorme'a, mamy tu pełne ręce roboty. Słyszałem, że walizka i pierścionek są pod pana osobistą opieką.

- To moje trofea z podróży - odpowiedział Belot - tak samo jak dokumentacja z waszego laboratorium. Została zrobiona znakomicie, jak wszystko, co od was wychodzi.

- Proszę tak nie mówić, inni będą zazdrośni - powiedział komisarz, uszczęśliwiony. - Zdjęcia ręki są rzeczywiście udane.

Po południu Joannes dostał pozwolenie na - zobaczenie się z synem. Na Emilię również wyrażono zgodę, ale Joannes wolał jej o tym nie mówić. „Trzeba oszczędzić matce takich chwil” - powiedział do Belota. Przyniósł ze sobą niedużą walizkę z ubraniami. „Jesteś trochę wymięty, mój biedaku, areszt to nie dom”. Belot zaproponował mu, żeby przez dziesięć minut został sam na sam z synem, ale Joannes wpadł w popłoch.

- Pan ma czuwać nad moim synem, panie komisarzu. Lepiej będzie, jeśli udzieli mi wskazówek przy panu.

Były uroczyście i śmiechu warte. Jean-Marc słuchał ich z roztargnieniem, nie przestając kątem oka patrzeć na Belota, który przerzucał wieczorną gazetę. Od tamtego czasu rodzina Berger, rzecz jasna, zapoznała się z prasą, a chłopcu on sam dał gazetę do przeczytania. Niczego to zresztą nie zmieniło. Babcia też chciała przyjść, ale regulamin - jak Belot powiadomił Joannesa - dopuszcza w takim wypadku tylko najbliższych krewnych w linii prostej.

- Bardzo słusznie - odpowiedział Joannes. - Ojciec i matka to tylko dwie osoby, ale dziadkowie to już dwa razy tyle. A cóż dopiero gdyby dopuścić ciotki i wujów! - Po czym dodał z pewnym ubolewaniem: - Nawet w przypadku Leonarda...

Twarz Jean-Marca miała ziemisty kolor, jak gdyby wiele nocy spędził w piwnicy. Ogolony, w krawacie i w świeżym garniturze, który od miesięcy czekał na niego przy ulicy

Dumont, mógłby wsiąść z powodzeniem do pierwszej klasy, gdyby francuska administracja zapewniała aż takie względy „koronnym świadkom”. No cóż, dla ścisłości trzeba powiedzieć, że wymagają oni nie jednego, ale trzech biletów. Wychodząc z budynku Delorme szepnął Belotowi na ucho:

- Mam mu założyć kajdanki? Belot, również po cichu, odpowiedział:
- Nie ma powodu.

Zamiast trzech biletów mieli do dyspozycji osiem! Cały przedział! Delorme rozsunął firanki okna wychodzącego na korytarz, a zasłonił okno” zewnętrzne.

- Chodzi mi o stacje - powiedział.
- Pierwszy raz jesteś za anioła stróża?
- Tak, panie komisarzu.
- Moje gratulacje.

Delorme, lekko zaniepokojony, przyjrzał mu się uważnie. Jak do tej pory ani ich przejście przez dworzec, ani wejście do wagonu nie zwróciło niczyjej uwagi; czyżby te środki ostrożności były przesadne? Belot zwrócił się do Jean-Marca:

Może się pan wyciągnąć. Mamy odjazd o jedenastej, a na miejscu nie będziemy wcześniej jak o szóstej rano. Można się zdrowo wyspać.

- Dziękuję panu, ale nie jestem senny - odpowiedział Jean-Marc.

Najpierw kraty w areszcie, a teraz zasłonięte okna. Jean-Marc zaobserwował to z niepokojem. Belot dodał:

- Jeśli się panu coś przypomniało, proszę się nie wahać. Niemożliwe, żebyśmy obaj z inspektorem usnęli jednocześnie. Ten, który nie będzie spał, zrobi notatki.

Jean-Marc niezwłocznie skorzystał z rady:

- Czy po przyjeździe na Dworzec Lioński może pan przesłuchać bagażowego? On był świadkiem zamiany walizek. Widział też, jak ten samochód zwiął.

- Nie będzie go rano, jeśli miał służbę wieczorem. - rzekł Belot. - Ale niech pan będzie spokojny. Bardzo liczymy na tego świadka.

- Dziękuję panu.

Powiedział „Dziękuję panu”, nic więcej. Kiedy tego ranka obudził się i przypomniał sobie o nocnym spotkaniu z nieznanym, do którego inspektor Senneville odnosił się z takim szacunkiem, wypytał o niego strażnika, na co tamten odpowiedział z dumą: „Dobrze ci się wiedzie, składają ci wizyty grube ryby! Komisarz Belot! Specjalnie przyjechał z Paryża!” Jean-Marcowi natychmiast przypomniał się radosny głos komisarza Theveneta przy telefonie: „To Belot jest przydzielony do tej sprawy?” i „Dzień dobry, drogi Belot, miło mi pana

słyszeć! Sądzę, że niedługo znów sobie porozmawiamy”. I oto Be-lot został panem jego losu. Jeśli zdoła przekonać Belota, wszyscy będą przekonani, od najmniejszego do największego. Jean-Marc powiedział więc po prostu „Dziękuję panu”. Szczerze i z głębi serca.

Podróż minęła bez przygód. Ani młody podejrzany, ani młody inspektor nie zmrużyli oka. Belot, mimo że nie wypił kawy, spał snem sprawiedliwego. Po przebudzeniu wytłumaczył sobie:

- To zmiana powietrza.

**2**

Po przybyciu na Quai des Orfevres, zostawiwszy Jean-Marca pod opieką Delorme’a, Belot poszedł najpierw oddać walizkę i raporty do Zakładu Kryminalistyki, po czym wstąpił do gabinetu Picarda. Został tam Truflota.

- Pan Picard jest wściekły...

- Nie nowina - powiedział Belot.

- ...że nie może zaraz pana przyjąć - dokończył Truflot tonem uprzejmego wyrzutu.

Wyjaśnił, że z powodu lekceważenia interpelacji miejskich, prefekt wezwał do siebie na godzinę ósmą komendanta policji, pana Malebranche’a. Pan Malebranche z kolei zażyczył sobie, aby Picard mu towarzyszył, i obarczył go sporządzeniem wykazu zbrodni popełnionych, a nie wykrytych w ciągu ostatnich sześciu miesięcy w okręgu paryskim. Picard całą noc ślęczał w domu nad tym wykazem, żeby już rano móc go przedłożyć prefektowi. Głowę miał jednak zaprzątniętą tylko sprawą z Neuilly, która od czasu spotkania Simona z panną Che-nelong jeszcze bardziej zaczęła go interesować.

- A to świetnie - powiedział Belot. - Proszę przygotować dla młodego Bergera względnie czyste tymczasowe pomieszczenie. Pójdę mu teraz wytłumaczyć, dlaczego nie od razu może być przyjęty, a potem zobaczę się z Simonem.

Simon, Blondel i Gaillardet czekali na niego w ich wspólnym pokoju.

- Przede wszystkim jak tam wizyta u Augusty? - zapytał.

Simon podał mu raport, dokument niebywalej wprost, niemalże stenograficznej pamięci. Po skończonej lekturze Belot spytał:

- Masz coś do dodania?

- Nic. Nie mogę się doczekać, kiedy sam ją przesłuchasz. Jej reakcje były dziwne. Jest wezwana na szesnastą.

Dla zachowania hierarchii Belot zwrócił się do Gaillardeta. Blondel wtrącił:

- Tak, w sprawie konta bankowego ofiary wolałem zwrócić się do kolegi Gaillardeta.

Gaillardet zabrał głos.

- Kiedyś była szalenie bogata. Teraz już mniej, ale to co jej zostało, też jest nie do pogardzenia. Tu są informacje dostarczone przez jej bank. Bez liczb oczywiście: dopóki postępowanie spadkowe nie zostało otwarte... Dano mi też adres jej notariusza. Pan Bravais, bulwar Malesherbes, przypominasz sobie? Zawarliśmy z nim znajomość przy okazji morderstwa Bruyeres de Sevres, guwernantka... tułów... pamiętasz?

- Okazuje się, że poćwiartowani to jego specjalność - powiedział Belot. - Tak, bardzo miły człowiek. Skończ najpierw z bankiem. Jest jakiś depozyt?

- Tak. Zapieczętowany. A co u notariusza?

- Testamentu nie ma...

- O, psiakrew!

- Przynajmniej u niego.

- W Neuilly też nie natknąłeś się na nic takiego - powiedział Simon.

- Z tego, co wiem, naturalnych spadkobierców nie ma - ciągnął dalej Gaillardet. - Bezdzienna, rodzice też już nie żyją. - Nigdy nie była zamężna?

- Nie.

- Skąd ten majątek?

- Od tatusia i od tatusia mamusi. Z takich rodzin mało dzieciaków, a dużo moniaków. - Wszyscy się roześmieli, łącznie z Gaillardetem. - Przemysł chemiczny na szczeblu międzynarodowym. Dyrektor banku powiedział, że znała się na giełdzie równie dobrze jak na obrazach, z tym, że „na tych spekulacjach nawet najlepszy może się pośliznąć”, to jego własne słowa.

- Dobry nos to pełny trzos.

- Sam to wymyśliłeś?

- Nie.

- Szkoda. Przed chwilą mnie udał się żart, teraz udałby się tobie. Poza tym jeszcze ta kolekcja.

- Teraz kolej na nas, Riviere - powiedział Blondel.

- Zaraz, niech najpierw ja skończę - rzekł Gaillardet. - Powtarzam zresztą tylko to, co mówili mi dyrektor i notariusz. Obaj oświadczyli, że cały jej rzeczywisty majątek był ulokowany w tej właśnie kolekcji.

- Jeśli chodzi o nas - Blondel zwrócił się do Gaillardeta, jakby chciał go przeprosić za to, że mu przerwał - mamy tylko potwierdzenie ze strony fachowców.

- To ważne - rzekł Belot - istnieje mnóstwo kolekcjonerów, którzy są w błędzie co do wartości swoich skarbów. Twoja kolej, Blondel.

- Widzieliśmy się z handlarzami obrazów - niektórzy z nich są specjalistami w zakresie sztuki nowoczesnej - z połową rozmawiał Riviere, z połową ja. Oto ich nazwiska i adresy. Litera „R” oznacza, że jest również rzeczoznawcą sądowym. Wszyscy oni są dosłownie bombardowani przez dziennikarzy. I to nie tylko z powodu jej własnej kolekcji, która była najwyższej” klasy, ale przede wszystkim chodzi o Van Gogha. Pytali nawet o konkretne płótna, prawda Riviere?

- Tak.

- Mamy je wynotowane. Zdaje się, że zaliczane są do najslawniejszych. O czym to ja mówiłem? Aha, więc martwi ich nie tylko śmierć klientki. Aż trzech powiedziało, że była specem od Van Gogha - mało kto znał się na Van Goghu tak jak ona. Nie ma do tej pory kompletnego katalogu jego dzieł: nie wszystko, co namalował, jest już znane, może być jeszcze mnóstwo nie skatalogowanych obrazów. Oddała im wielkie usługi w sprawach spornych. Namawiali ją na sporządzenie takiego katalogu. Odpowiedziała im: „Zrobię to na starość”. Teraz wszystko przepadło.

Z kolei włączył się Simon.

- Spytałem, czy ona przypadkiem trochę nie handlowała. Odpowiedziano mi: „Tak, oczywiście, jak wszyscy kolekcjonerzy, ale trudno to nazwać handlem. Kiedy płótno przestawało jej się podobać, odprzedawała je, aby kupić inne, przeważnie tego samego malarza, które według niej było piękniejsze. **Ale** nigdy nie sprzedawała żadnego Van Gogha. Mówiła: „W życiu nie zdradziłam mego Boga”.

- A zdaniem tych panów... Simon uzupełnił:

- ... i pań.

- ... i pań, czy miała wrogów?

Simon i Blondel odpowiedzieli, że nie. Wręcz przeciwnie, miała przyjaciół wśród kolekcjonerów i kolekcjonerek tej klasy co ona. Stykała się z nimi na wielkich wernisażach oraz na wielkich wyprzedażach, a ponieważ była bardzo ładna i ubierała się z wyszukaną elegancją, sprawiała dużo radości fotoreporterom pozując im z wdziękiem na każde życzenie. Przyjeżdżała i odjeżdżała zawsze sama swoim małym sportowym samochodem.

- Nie miała żadnego oficjalnego adoratora?

- Nigdy.. Stąd zdumienie tych wszystkich, którym obaj inspektorzy złożyli wizyty, jak również bankiera i notariusza, u których był Gaillardet. Po przeczytaniu gazet nikt nie mógł się nadziwić, że była „zaręczona” z tak młodziutkim, zupełnie nie znanym chłopcem bez żadnego stanowiska, podczas gdy wiele osobistości marzyło, aby ją poślubić.

- Na pewno - rzekł Belot. - Czy to wszystko?

- przeszedłem się też na Akademię Sztuk Pięknych - powiedział Blondel. - Niestety, ze względu na wielkanocne ferie nie spotkałem tam nikogo, kto by znał Jean-Marca Bergera, z wyjątkiem dozorca, który też niewiele wie. Czytał już o wszystkim w gazetach. Nie mógł sobie przypomnieć, od kogo się dowiedział, że Jean-Marc pracował u konserwatora Pauguina. Ale w grudniu dozorca przyszło do głowy, aby zwrócić się do Jean-Marca o naprawienie małej figurki Napoleona, której obłukł się koniuszek kapelusza. Chciał ją ofiarować przyjacielowi z wojska, którego rodzina...

- Do rzeczy! - powiedział Belot takim tonem, jakby podawał rękę komuś, kto ugrzązł po kolana w błocie.

- Przepraszam, szefie. Więc Berger wziął tę robotę i odniósł na długo przed terminem. Powiedział przy tym: „Kończę z Akademią z przyczyn rodzinnych, rezygnuję również z posady”. Wyglądało na to, że jest uszczęśliwiony.

- Poszedłeś potem do konserwatora?

- Nie - odpowiedział Blondel. - Sądziłem, że pan będzie wolał zrobić to sam.

- Miałaś rację. Dziękuję wam. Nie próżnowaliście.

### 3

Od czasów Ludwika XV Pauguinowie z ojca na syna lub zięcia byli konserwatorami dzieł sztuki: w ten sposób słynne nazwisko zawsze przechodzi na rzeczywistych spadkobierców. Dynastia, nieporównanie silniejsza niż królewska, ugruntowała swą nieskazitelną reputację. Specjalizowali się zawsze w ceramice, ale potrzebni są fachowcy różnego rodzaju, zwłaszcza modelownicy i malarze. Brakująca nóżka od stoliczka na robótki, malowidło prawie doszczętnie zatarte, wszystko to, jak wyjaśniał komisarzowi Belotowi Louis Pauguin, wymaga „prawdziwego artysty”.

- Jeśli chodzi o malarstwo, Jean-Marc Berger był niezrównany. Dokonywał cudów. Korzystał z naszych wskazówek, to prawda, ale nawet najlepsze wskazówki nie zastąpią mistrza. Tak jest w każdej dziedzinie. Chciałbym zaznaczyć, że takim pracownikom dawaliśmy wynagrodzenie, jakiego by nie dostali nigdzie. A w wypadku gdy jeszcze studiowali - Jean-Marc dobrze o tym wiedział - szliśmy im na rękę we wszystkim. Miałem zamiar go zatrzymać, jak tych wszystkich, co zostają u nas po przejściu na emeryturę. Aż tu nagle, na dwa lub trzy tygodnie przed Bożym Narodzeniem, przyszedł do mnie i powiedział dosłownie tak: „Panie Gauguin, zawsze był pan dla mnie bardzo łaskaw, ale teraz trafia mi się robótki palce lizać. Niestety, nie mogę panu nic więcej na ten temat powiedzieć. To jest taka gratka, że rzucam wszystko, nawet Akademię!” Odpowiedziałem mu na to: „Zrobisz, co zechcesz, jesteś pełnoletni, ale mnie osobiście nie wydaje się rozsądne, aby w twoim wieku



lekceważyć sprawę dyplomu, zwłaszcza jak ktoś jest na tyle zdolny, że może go zrobić bez najmniejszego wysiłku”. A teraz, nagle w związku ze śmiercią tej biednej panny Sarrazin, jednej z naszych najlepszych klientek, dowiaduję się, że byli zaręczeni! Czy miał pan okazję poznać pannę Sarrazin?

- O, nie - odparł Belot - nas się raczej zaprasza po śmierci.

Pan Pauguin, jak słusznie przewidywał Belot, nie uznał tego na żart i nie uśmiechnął się.

- Zapewniam pana, panie komisarzu, że gdyby pan choć raz się z nią zetknął, powiedziałby pan tak samo jak my wszyscy tu w pracowni: „Nie do wiary!”

- Miłość jest ślepa - rzekł Belot.

Pan Pauguin spuścił głowę na niepokalanej czystości kitel artysty z placu Vendôme.

- Proszę sobie wyobrazić, że od wczoraj nie przestaję o tym myśleć. I jeśli można, chciałbym podzielić się z panem moimi wnioskami.

- Bardzo proszę.

- Co może łączyć dwoje artystów, jeśli nie sztuka? - Belot spojrzał na Pauguina innym okiem. - Jean-Mare jest swego rodzaju artystą, a panna Sarrazin też była. Na pierwszy rzut oka ta wielka paryżanka i ten niepozorny lionczyk, ta kobieta o dużym doświadczeniu i ten młody debiutant - powtarzam - na pierwszy rzut oka to nie do wiary! Ale jak się nad tym zastanowić, to wydaje mi się, że dwoje ludzi może zakochać się w sobie, jeśli na widok jakiegoś dzieła sztuki doznają tej samej rozkoszy. - Pauguin podniósł głowę. - Mam skończoną psychologię, czasem, widzi pan, na coś się to przydaje.

- Z pewnością - odparł Belot. - Dopuszcza więc pan możliwość zemsty porzuconego amanta?

- A jak można na to spojrzeć inaczej? To przecież jasne!

- Czy zna pan kogoś z otoczenia panny Sarrazin lub Jean-Marca? Jego tutejsi koledzy musieli być prawie wszyscy od niego starsi.

- Tak - odpowiedział Pauguin. - Nie, z otoczenia panny Sarrazin nie znałem nikogo. A jeśli chodzi o Jean-Marca, przypomniało mi się, że po jego odejściu otrzymałem list od jego babki.

- Aaa... Pan ją zna?

- Nie. Chciała wiedzieć, czy jej wnuk w dalszym ciągu u nas pracuje. Odpowiedziałem jej, że nie; byłem nieco zaskoczony, że nie powiadomił o tym rodziny.

4

- Proszę wejść - powiedział pan Bedat pochłonięty lekturą gazety, której wcale zresztą nie miał zamiaru poniechać. - Dzień dobry panu. Jest mi niewymownie przykro, ale mogę pana zapewnić, że napis „Brak wolnych pokojów” jest całkowicie zgodny z rzeczywistością. I tak samo jest w całej dzielnicy.

- Czy pan Bedat?

- Ależ tak - odpowiedział i zobaczywszy znany mu znaczek, wstał. - Pan jest z policji? Ale chyba nie z dzielnicowej komendy, bo bym pana znał.

- Nie, z Wydziału Kryminalnego. Komisarz Belot. Bedat pośpiesznie podał mu krzesło.

- Och, panie komisarzu miałem zaszczyt przeczytać w gazecie, że obarczono pana śledztwem w tej strasznej sprawie! Proszę usiąść! Niech pan sobie wyobrazi, że od dwudziestu czterech godzin zastanawiam się, czy lepiej samemu iść do pana, czy lepiej przyjąć pana w miejscu... chciałem powiedzieć zbrodni... ale na szczęście nie! W miejscu zamieszkania osoby, że się tak wyrażę, najbardziej godnej uwagi, pomijając nieszczęsną ofiarę... Chciałem również wyrazić wdzięczność policji lionńskiej i paryskiej - nie wiem, może trzeba było powiedzieć w innej kolejności - w każdym razie ani jedna, ani druga nie podała w prasie nazwy mojego hotelu. Taka reklama byłaby zgubna dla każdego przedsiębiorstwa, a cóż dopiero dla takiego jak moje! Może pan sobie wyobrazić, jaki to był dla mnie wstrząs, kiedy wczoraj rano otworzyłem gazetę! Minał rok, odkąd ten mały u nas zamieszkał; opiekowaliśmy się nim jak synem, ja i pani Bedat. Kiedy żona wróci z zakupów, powie panu to samo. W niedzielę, jeszcze na godzinę przed jego wyjazdem, zrobiłem mu grog! Powiedział do mnie: „Nie mam ochoty na kolację. Katar odebrał mi apetyt, a poza tym wolałbym nie przeciążać sobie żołądka, jeszcze dostanę w pociągu mdłości”. Katar, katar... Zdaje pan sobie sprawę?

- Z czego, panie Bedat?

Bedat zaperzył się, wymachując przy tym rękami.

- Z niczego, panie komisarzu, z niczego! Ja się nie wtrącam w nie swoje sprawy. Jestem po to, aby szczerze i zgodnie z sumieniem odpowiadać na pańskie pytania, a nie po to, żeby je samemu zadawać!

- Jeśli czytał pan wczorajsze poranne wiadomości...

- W całej prasie! Najpierw w „Grand Journal”, a potem we wszystkich innych gazetach!

...czytał pan streszczenie jego zeznania, dotyczącego zamiany jednej z jego walizek? - Bedat skrzyżował ręce na brzuchu i trwał w tej pozie nieporuszony. - Zeznał mianowicie, że w czasie burzy razem z właścicielem hotelu czekał dłuższą chwilę na taksówkę...

- Uczciwie trzeba przyznać, że to prawda.

- ...i że zaledwie w kilka minut po pańskim odejściu zatrzymał się przed nim samochód „Amerykanina”, że zamienili parę słów, załadowali bagaże i odjechali.

Bedat, zjadliwym tonem odpowiedział:

- Właśnie. I to wszystko miało się tu odbywać, a ja bym tego nie usłyszała! Z moim słuchem! Ja, który pod Verdun służyłem w łączności! Ja, Horacy Bedat! Po przeczytaniu tego fragmentu czułem się jak znokautowany!

- A jeśli drzwi były zamknięte... - powiedział Beiot - w tej chwili przecież nic nie słyszymy.

- Pan nie, panie komisarzu, ale ja tak! Belot nadal obstawał przy swoim.

- Padało. Pan ma tam taki daszek na zewnątrz. Ulewa mogła w niego bębnić i zagłuszać...

Bedat odparł wielkodusznie:

- Słusznie pan robi przypierając mnie w takiej sytuacji do muru. Niewinny nie może płacić za winnego. Ale to nie powód, żeby mnie, z moim uchem, traktować jak głuchego. - I pod wpływem nagłego olśnienia wykrzyknął: - A! Zaraz panu udowodnię, że on kłamał! Powiem panu, w jaki sposób przyszło mu to do głowy! Kiedy staliśmy przed hotelem, był tak zdenerwowany i tak niespokojny, że spóźni się na pociąg, iż usiłował zatrzymać każdy samochód. Nawet roli royce'a! Powiedziałem mu wtedy tak dla śmiechu: „Ale byłaby heca, gdyby się zatrzymał!” Więc kiedy policja go w Lionie przesłuchiwała, przypomniał to sobie i pomyślał: „Nie taki głupi ten stary Bedat. A nuż się uda?”

Belot potarł bliznę na szyi - przykra pamiątka pewnej sprawy.

- Rzuca pan pod jego adresem bardzo poważne oskarżenie, panie Bedat.

- Ja niczego nie rzucam - zaprotestował Bedat gwałtownie. - Przedstawiam tylko swój punkt widzenia. Jeśli ktoś ukazuje fakty niezbyt... dokładnie, to ja prostuję, nic więcej.

- A były jeszcze jakieś inne niedokładności? Bedat zmrużył oczy, aż zrobiły się jak szparki.

- Raczej niedomówienia. Niby to zwierzał nam się ze wszystkiego; mówił o swojej nauce, o pracy, o rodzinie, o swojej narzeczonej! Aż tu raptem dowiadujemy się z gazety - no niech pan sam powie! Dwanaście lat starsza od niego! Co to za narzeczone! Jeszcze pięć lat i byłaby w wieku pani Bedat!

Ale wiadomo, że materac wypchany banknotami jest lepszym środkiem na zmarszczki niż wszelkie maseczki kosmetyczne. Jasne, że coś się za tym kryje, i wolałbym nie być w pańskiej skórze!

- Jak spędził niedzielę?

- Otóż właśnie: nie mam zielonego pojęcia! Nie prowadzę pensjonatu z wyżywieniem, dzięki czemu mam bardzo dobre stosunki z właścicielami restauracji w naszej dzielnicy. Ale jeśli ktoś z gości zachoruje, zawsze mu się podrzuca jakieś gotowane mięso czy rumianek. I logicznie rzecz biorąc, właśnie on przed podróżą powinien przy takiej pogodzie poleżeć w łóżku.

- O której godzinie wyszedł?

Bedat wyciągnął w kierunku Belota palec wskazujący, ale widać uznał to za zuchwałość, gdyż cofnął go natychmiast.

- Teraz, panie komisarzu, dotknął pan czulego miejsca. To małe biuro, to nasze mieszkanie. Oboje z panią Bedat robimy tu rachunki, czytamy - drzwi są zawsze otwarte, tablica z kluczami jest zaraz z boku, widzi ją pan ze swego miejsca. Kiedy słyhać kroki kogoś nieznanego czy nowego lokatora, wstaje się natychmiast, nasłuchuje, obserwuje, można nawet rzec: czatuje się! Ale jeśli to ktoś z hotelowych domowników, wtedy nie zwraca się uwagi - ucho mamy już wprawione. Tak samo jest ze zdejmowaniem klucza. Czasami mówimy do siebie: to ten z piątki albo z czternastki, albo z dziewiątki, a czasami nic człowiek nie mówi, już nawet nie słyszy, tak to się stopiło z naszym życiem. Krótko mówiąc, nie zwróciłem uwagi, kiedy przyszedł.

- A więc o której godzinie widział go pan w niedzielę?

- Dopiero późnym popołudniem. Drzwi od piątki, czyli od jego pokoju, były uchylone. Pakował się. Zaofiarowałem mu się nawet z pomocą, ale nie był w nastroju do rozmowy. Położyłem to na karb przeziębienia. Zalatywało od niego trochę alkoholem.

- Popijał?

- Nigdy. Prawdziwy świętoszek, słowo daję.

- Miewał gości?

- Też nigdy. Ale w Dzielnicy Łacińskiej czy na Montparnasse nie brak miejsc na potajemne schadzki, nawet jeśli jest się niepijącym! I zamiast nas nachodzić - mówię o obyczajówce - powinni raczej tam zaglądać od czasu do czasu.

- Robią to, panie Bedat, robią.

- Za rzadko, panie komisarzu! Tak... on mi wygląda na alfonsa! Kobieta dwanaście lat starsza i z taką forszą! Biedaczka...

- Kiedy postanowił jechać do rodziny?

- Dobry tydzień temu, jeśli nie wcześniej. Mówił, że w przeciwnym razie jego babcia, osoba, która się nie patyczkuje, gotowa sama zjawić się w Paryżu. A on bał się tego jak ognia! Chciał jej powiedzieć, że ślub odbędzie się lada dzień, i zapewnić, że wszystko to bierze poważnie. Ale jeśli tak, to dlaczego nie miałby przyjąć jej tutaj, u swojej narzeczonej?

- Zadał mu pan to pytanie?

- Panie komisarzu, nasz klient - nasz pan. Nie będę się wtrącał w osobiste sprawy swoich gości. Co nie znaczy, że nie potrafię myśleć!

- Czy wyjeżdżając powierzył pańskiej opiece jakieś swoje rzeczy?

- Swoje obrazy. Och, nic wartościowego.

- Pójdziemy je sobie obejrzyć. A potem - Belot wstał - naznaczymy sobie małe spotkanie.

Bedat, który nie ukrywając uczucia ulgi wstał również, po ostatnich słowach przywarował jak wyżeł.

- Spotkanie?

- Pańskie zeznanie dotyczące walizek ma ogromne znaczenie.

- Nie rozumiem dlaczego, panie komisarzu.

- zaproponował pan Jean-Marcowi, że popilnuje ich pan, kiedy on pójdzie poszukać taksówki na Saint-Germain-des-Pres...

- Przez uprzejmość! Wyłącznie przez uprzejmość!

- Nie wątpię. Czy przypomina pan je sobie?

- Pytanie! Dwie walizki nie tak trudno zapamiętać!

- Przejdzie się więc pan dziś wieczór na Quai des Orfevres. Pokażę panu tę walizeczkę...

Na twarzy Bedata nie pozostało nawet cienia uśmiechu.

- Tę krwawą walizeczkę?

- Otóż to. Jeśli rozpozna pan w niej jego własność, udowodni pan tym samym, że historia z Amerykaninem była czystym wymysłem. Ale jeśli pan uzna, że tamta była mniejsza lub większa...

Belot nie dokończył. Bedat wbił wzrok w swoje buty.

- A, to całkiem inna sprawa. Jeśli chodzi o słuch, ręczę za swoje ucho! Ale co do wzroku... Rozumie pan, panie komisarzu, on sam znosił swoje walizki. Sam postawił je za wejściowymi drzwiami. Ani ich w rękę nie zważyłem, ani tak naprawdę im się nie przyjrzałem. Mimo najlepszej woli...

## VIII

### *Głos umilkł, a przemówiła ściana*

#### 1

Jest godzina szesnasta. Belot wyjął notes, napisał w nim kilka słów i wyciągnął go w kierunku Truflota. Truflot zbliżył się, zrobił przeczący ruch głową, po czym wrócił na swoje miejsce. Picard przesłuchiwał Jean-Marca. Belot pilnował się, żeby nie zrobić żadnego gwałtowniejszego gestu, nic, co mogłoby przstraszyć chłopca lub go speszyć. I tak był jak zbity pies. Picard nie lubił takich psów, uznawał tylko prawdziwe, a szczególnie psa swojej córki, szorstkowłosego foksteriera Hektora, wielkiego pyskacza o gołęsim sercu - całkowite przeciwieństwo tej szepejącej, zahukanej istoty, która siedziała przed nim od kwadransa, a o której miał już wyrobioną opinię. Belot schował do kieszeni notes, gdzie napisał: „Czy panna Chenelong już się stawiła?”, na co Truflot odpowiedział, że nie. Picard walnął pięścią w stół, Jean-Marc aż podskoczył.

- Proszę nie powtarzać każdego mojego pytania, panie Berger! Żadnego grania na zwłokę! Nic to panu nie da!

„Pan Berger” wziął się w garść. Zresztą, mimo zaleźnionego spojrzenia i przyspieszonego oddechu, trzymał się i tak dzielnie. Mówił z sensem.

- Nie mogę pana pojąć. Postępuje pan ze mną tak, jak ci w Lionie. Dlaczego? Czemu  
uwziął się pan na mnie? Po



co wypytuje pan o mnie, zamiast pytać o coś, co pomoże panu wykryć mordercę? Czy nie to jest najważniejsze? Zarzuca mi pan, że zataiłem przed moją rodziną swoje odejście od Pauguina czy że czasem kręciłem. Czy zna pan młodych ludzi, którzy by niczego nie ukrywali przed swoimi rodzicami, a zwłaszcza przed taką babcią jak moja? Albo takich, co to nie zbują czasem, jeśli nieznacznie minięcie się z prawdą miałoby im ułatwić życie? Picard mruknął pod nosem:

- Nieznaczne! Pan minął się z prawdą nieznacznie! W grudniu oświadczył pan dozorczy w Akademii Sztuk Pięknych, że wraca pan do Lionu! Swemu chlebodawcy, że trafiła się panu świetna robota. A więc do Lionu pan nie wrócił, a na pytanie, co to za świetna praca, nie jest pan w stanie mi odpowiedzieć.

- Jestem w stanie, panie komisarzu. Jeśli chodzi o tę pracę, to w ogóle jej nie było, a do Lionu wcale nie miałem zamiaru wracać; dozorczy z Akademii powiedziałem to, co akurat mi wpadło do głowy, a co było logiczne w przypadku studenta z prowincji; panu Pauguinowi zaś powiedziałem to, co schlebiało mojej próżności zawodowej. Nie mogłem mu przecież opowiadać, że zakochaliśmy się w sobie z panną Sarrazin od pierwszego wejrzenia i że mi oświadczyła: „Nie chcę, żebyś pracował, chcę cię mieć zawsze przy sobie!”

- Ale musiało jej przejść, skoro zdecydował się pan w niedzielę na wyjazd do Lionu? Jean-Marc zaprotestował gwałtownie.

- Wręcz odwrotnie! Od dwóch dni powtarzam ciągle to samo! Pojechałem potwierdzić nasze zaręczyny, bo nasze plany małżeńskie stały się zupełnie realne! - Wstał i zaczął krzyczeć. - To z pewnością dlatego! Ktoś nie chciał, żebyśmy się pobrali!

Picard krzyknął jeszcze głośniej:

- Ale kto?!

- Skąd mogę wiedzieć? Ja nic nie wiem! To znaczy nie wiem, czy to rzeczywiście on. Automobilista! Amerykanin, ten niby Amerykanin niby neapolitańczyk, ten bandyta, ten łajdak!

- Tak - powiedział Picard zamieniając się w szczwanego lisa i biorąc papierosa ze stojącego przed nim pudełka - sławetny Amerykanin w czarnej limuzynie z pańskimi walizkami i swoją walizeczką, ukrytą, przyczajony wśród nocnej ulewy i burzy anioł, który pana zbawia, i demon, który pana gubi. Pan go rzecz jasna nie zna, bo gdyby go pan znał, nie mógłby utkać wokół pana tej pajęczyny... Ale chyba musiał pan czasem rozmawiać z panną Sarrazin o ludziach, których ona znała? Zarzucił nam pan przed chwilą, że nie prosimy pana o współpracę. A więc proszę; ma pan szerokie pole do popisu! Słucham pana.



Niejeden musiał do niej wzdychać: ładna, bogata. Czy podczas pana bytności u niej nigdy nie zdarzyło jej się wrócić do domu ze słowami: „Ach ten X czy Y! Jak on mnie zadrezcza!” Czy coś w tym guście. Nigdy niczego takiego nie powiedziała? Nawet wieczorem, przy kominku? Pan mówił jej o panie Chenelong...

- Ja? - Jean-Marc ożywił się nagle. - To nieprawda! Dałem panie Sarrazin pierścioneł, który był przeznaczony dla tamtej, to prawda, ale nigdy jej o niej nie mówiłem!

- Och - powiedział Picard, załamując ręce na znak ubolewania. - Znowu zaczyna pan nieznacznie mijać się z prawdą... Truflot! Proszę wprowadzić pannę Chenelong.

Jean-Marc siedział tyłem do drzwi. Wtulił głowę w ramiona, jakby chciał w ten sposób zmienić swoją sylwetkę i zmylić tym Augustę, przynajmniej na pierwszy rzut oka. Truflot spojrział na Belota, zawahał się, po czym powiedział:

- Tak jest, proszę pana.

Zanim skończył mówić, zabrzczał telefon. Truflot podniósł słuchawkę.

- Haio! - po czym rzekł: - To do pana Belota.

Belot wziął od niego słuchawkę, a Picard drugą, żeby brać udział w rozmowie. Odezwał się głos Simona.

- Jestem u panny Chenelong. Musiałem wyważyć drzwi. Otruła się. Zażyła całą tubę czegoś tam. Wezwałem karetkę.

- Jaki jest jej stan? - spytał Belot.

- Wygląda mi to na śpiączkę. Na stole leży list. Przeczytałem go: „Przepraszam za wszystko. Przepraszam Jean-Marca”.

## 2

Belot i Picard przybyli do szpitala Cochin równocześnie z karetką. Wjechała w bramę tuż przed nimi. Simon siedział koło szofera. Zobaczył ich. Powoli kręcił głowę, z prawa na lewo i z lewa na prawo.

- Co to może znaczyć? - Picard rzucił do Belota. - Niedobrze?

Belot odpowiedział:

- Miejmy nadzieję.

Picard łypnął na niego okiem.

- Tak, rozumiem, co masz na myśli. Ale jeśli tak jest, toby oznaczało: primo że Jean-Marc nie jest zabójcą, i secundo, że sprawa jest zamknięta.

Belot odpowiedział:

- Miejmy nadzieję.

Jakiś człowiek w białym kitlu posadził ich w poczekalni. Picard co chwila spoglądał na zegarek. Belot siedział bez ruchu. Po kilku minutach ukazał się Simon. Powiedział:

- Nie żyje. Z tego, co mówi internista, wynika, że zażyła śmiertelną dawkę tego lekarstwa. Zaraz zrobią sekcję. - Z portfela wyjął kawałek papieru i podał go Picardowi. - Tu jest to, co zostawiła.

- To na pewno jej pismo?

- Sprawdzalem.

Był bardzo zgnębiony. Picard zwrócił się do Belota, który do tej pory nie ruszył się z miejsca.

- Jeśli chcesz, wrócimy tam razem wszyscy trzej. Simon nie ma tu nic do roboty. Razem zbadamy sytuację.

Belot wstał i spytał Simona:

- Zamknąłeś jej mieszkanie?

- Oczywiście.

W samochodzie znowu zapytał:

- Po co do niej poszedłeś?

Simon, siedzący tyłem do nich, wzruszył ramionami. Odpowiadając nie odwrócił się nawet.

- Stale o niej myślałem. Od wczoraj wieczór mówiłem sobie, że nie powinienem był jej tak zostawić. Bałem się, że zbyt brutalnie ją potraktowałem i że się załamała...

- Och, daj mi spokój z twoją psychologią! - odezwał się Picard. - Czasem brutalne słowa dają bardzo pozytywne rezultaty.

- Najlepszy dowód - powiedział Belot beznamiętnym tonem.

Picard spojrzał w jego stronę. Simon ciągnął dalej:

- Pomyślałem, że może ogarnęła ją panika i będzie się bała do nas przyjść. Sądziłem, że dodam jej odwagi.

Picard rzekł:

- Thevenet musi koniecznie osobiście zawiadomić rodziców. A jeśli by odrzucali możliwość samobójstwa, podać im treść listu. Ale prasie ani słowa - mówię o liście. Przynajmniej na razie.

Kiedy weszli do jego gabinetu, powiedział do Truflota:

- Nie żyje.

- Ach, tak - odrzekł Truflot z uprzejmą obojętnością.

- Wszystko wzięła na siebie. - w źrenicach Truflota zabłyśły mały ogieniek. - Proszę mnie połączyć z komisarzem. Thevenetem.

- Już się robi - po czym zwrócił się do Belota: - Inspektor Blondel chciał jak najszybciej widzieć się z panem. Zdaje się, że dokonał sensacyjnego odkrycia.

- Gdzie?

- Tutaj.

- Tutaj coś odkrył?

- Nie, jest tutaj.

Picard rzucił się na swój fotel, wskazując Belotowi i Simonowi dwa gościnne fotele. Belot nie skorzystał.

- Pozwolisz, że pójde się z nim zobaczyć?

- Dobrze, ale najpierw czy to ona, czy nie ona? Simon spojrział na niego, nic nie rozumiejąc.

- Co ona?

- „Przepraszam za wszystko”. Czy to nie znaczy, że wszystko bierze na swój rachunek?

Belot spojrział na Simona, który odpowiedział z bezgranicznym zdumieniem:

- Czy pan ma na myśli zabójstwo panny Sarrazin? Picard odparł - wściekły:

- Ciekaw jestem, co innego mógłbym mieć na myśli?! Simon, mimo że czuł przed nim respekt tak samo głęboki, choć mniej synowski niż w stosunku do Belota, odparł stanowczym tonem:

- Ależ to wykluczone! Wykluczone!

- No, dobrze - rzekł Belot - zostawiam Simona, aby przedstawił ci swoją koncepcję, ku której i ja bym się skłaniał. Zaraz wracam.

Wychodząc usłyszał, jak Truflot zakomunikował Picardowi:

- Połączyłem z komisarzem Thevenetem.

### 3

Blondel, pochylony nad stołem w swoim gabinecie, pisał coś zapamiętale. Na widok Belota zerwał się z krzesła.

- Ach, szefie, właśnie piszę sprawozdanie. Może jedna z tajemnic się wyjaśniła...

- Usiądźmy i opowiadaj.

- Mniej więcej godzinę temu Toussaint zatelefonował z Neuilly - ma tam służbę nazmianę z Malicorne'em. Spytał mnie, czy mogę przyjść. Poszedłem. Stał na ulicy przy jednym z narożników domu; widać stamtąd z prawej strony wejście, a z lewej kawałek

ogrodu. Wskazał ręką na dach i powiedział: „Okienko na poddaszu”. Spojrzałem, nie szczególnego, ale dodał: „Kiedy badałeś strychy, widziałeś trzy okienka, te które widać stąd na prawo, od strony frontu. A to czwarte? Gdzie ten strych, do którego ono należy? Chodź, pokażę ci!” Weszliśmy na drugie piętro: walizki, kufry, skrzynie i trzy okienka. Był tam stos pustych skrzyń, które Toussaint odsunął bez najmniejszego wysiłku. Zastawione skrzyniami, odsłoniły się drzwi. Zamknięte na klucz. Ale bez klucza.

Belot spojrzał na Blondela, którego rozsadzała taka duma, że aż pokraśniał jak dziewczica.

- No i...? - spytał Belot, przewidując pomyślne zakończenie.

- Spróbowałem. Sam nie wiem, jak wpadłem na ten pomysł - właściwie nie powinienem sprawdzać kluczy panny Sarrazin, skoro Riviere ustalił, który jest do czego: jeden do bramy, drugi do drzwi wejściowych, trzeci do garażu, no i kluczyki do samochodu. Mimo to spróbowałem. Pasował klucz od samochodu!

- Nadzwyczajne! - zawołał Belot Blondel, w dalszym ciągu w rumieńcach, wyglądał jak pilny uczeń.

- Ale nie weszliśmy.

- Jak to?

- Otworzyliśmy, ale nie weszliśmy do środka. Pan sam musi to zbadać, szefie.

- Opowiedz mi przynajmniej, coście zobaczyli.

- Właśnie przed chwilą zacząłem to opisywać, na wypadek, gdyby pan nie mógł przyjść zaraz. Bardzo tam ładnie.

- Co ty powiesz?

- Nas też to zaskoczyło. Nie urządzi się czegoś takiego na strychu z zamaskowanymi drzwiami bez wyraźnego celu ukrycia kogoś lub czegoś. Prawdziwy salonik, z fotelami, tapczanem, a nawet gobelinem, bardzo starym z pewnością. Dokoła niskie półki na książki. Bardzo to wszystko ładne.

- Coś takiego jak na parterze i na pierwszym piętrze? Blondel skupił się i zawahał.

- I tak, i nie. Sam się pan przekona. Najbardziej zachwycił mnie blask słoneczny, który wpada przez okienko i prześwituje przez jedwabną firaneczkę...

- No dobra - rzekł Belot. - Sprowadź auto i zaczekaj na mnie na dole. Zawiadom Kryminalistykę, ale jeśli przyjadą przed nami, - niech sami niczego nie ruszają. Ja wracam do szefa.

Wszedł akurat na moment milczenia. Simon siedział w tym samym miejscu, a Truflot był zagłębiony w papierach. Picard podniósł wzrok i zaczął mówić. Był spokojny.

- Nie przekonał mnie - powiedział. - Nigdy nie przemawiają do mnie argumenty natury uczuciowej, wprost przeciwnie niż do was. Ale zaczynam się wahać. Bo i Thevenet jest waszego zdania. Znał Augustę i jej rodziców. Powiada, że ona nie była zdolna zabić nawet muchy. Tylko że do tego każdy jest zdolny. Jeśli jest zbyt wrażliwy, żeby to zrobić samemu, posługuje się lepem, słoikiem napełnionym cukrem czy środkami owadobójczymi! Ostatnie słowa tej dziewczyny do Simona - przypomniał je sobie bez mojej pomocy - brzmiały: „A więc...”. Co się zdarzyło między jej wizytą u panny Sarrazin a ostatnią niedzielą? Chciałbym, żeby mi to ktoś wyjaśnił. A więc...

Zabrzmiało to jak rozkaz. Simon wstał, a Belot zwrócił się do niego:

- Naturalnie. Ponieważ tylko ty spośród nas wszystkich ją znałeś, postaraj się to zbadać. Zacznij od dozorczyń. Spróbuj odnaleźć tego Francois, którego oczekiwała, kiedy do niej przyszedłeś. Mógł zjawić się zaraz po tobie.

- Myślałem już o tym - odparł Simon.

- Moje uznanie - rzekł Picard.

- Jeszcze momencik - powiedział Belot - chciałbym, żeby przed odejściem usłyszał to, czego dowiedziałem się od Blondela. Nie mogę się doczekać, kiedy pojedę do Neuilly.

Odkrycie Toussainta podnieciło słuchaczy. Picard, który wyraźnie czepiał się Simona tego wieczoru, zauważył w trakcie opowiadania:

- Trzeba było znacznie wcześniej przeszukać te strychy! Simon ze skrucą przyznał się do winy, a kiedy Belot skończył opowiadanie, Picard rzekł:

- Zamierzałem zaraz wznowić przesłuchanie Bergera, zaczynając od sprawy samobójstwa, ale masz rację; lepiej będzie, jeśli najpierw tam pojedziesz. Zabierzemy się do niego po twoim powrocie.

- Liczę jeszcze, że w drodze powrotnej uda mi się zahaczyć o Dworzec Lioński i osobiście zobaczyć się z bagażowym - powiedział Belot. - Nowy zastrzyk informacji ożywi nasz dialog.

#### 4

W podwórzu siedzący przy kierownicy szofer zapuszczał motor. Blondel stał przy drzwiczkach i machał ręką. Belot wsiadł z nim do samochodu. Przy ulicy de la Ferme Toussaint oczekiwał ich na progu domu.

- Moje uznanie, chłopcze - rzekł do niego Belot. - Z Kryminalistyki jeszcze nie przyjechali?

- Nie, szefie.

- A niejaka Gisele jest tu jeszcze?

- Cały czas. Powiedziała: „Zapłacono mi z góry”. Gisele słuchała widać pod drzwiami, bo kiedy Belot zawołał:

- Panno Gisele? - nie miała nawet tyle sprytu, aby odczekać czas potrzebny na przyjście z kuchni.

- Dzień dobry, panie komisarzu.

Zawsze ten sam sposób bycia i zawsze ten sam wyraz twarzy.

- Dzień dobry, Gisele. Nie miałem przyjemności widzieć cię od poniedziałku.

- Ja pana również, panie komisarzu.

- Czy nie nudzi ci się tu za bardzo?

- W służbowym mam radio. A poza tym bardzo lubię czytać.

- Ci panowie nie sprawiają ci kłopotu? Poważnym tonem odpowiedziała:

- Och, nie. Razem nie mamy tu nic do roboty.

- Lada chwila zwałą się tu nasi koledzy z Kryminalistyki. Proszę ich tu zatrzymać, dopóki ich nie wezwę. Wszyscy trzej będziemy na górze.

- Na górze, to znaczy gdzie - spytała z nutką niepokoju.

- Na drugim piętrze. Odprężyła się.

- A, dobrze.

Szli po schodach szybko i w milczeniu. Belot szedł przodem, za nim dwaj młodzi: można by sądzić, że porusza nimi jeden mechanizm. Na drugim piętrze Toussaint wyprzedził Belota - tutaj on objął prowadzenie. Przechodząc przez strychy wyjaśnił, dlaczego są teraz bardziej zapchane niż przedtem.

- Po odejściu Blondela te wszystkie walizki i skrzynie, które były ustawione pod ścianą, przeniosłem tutaj. Ale żadnych innych drzwi nie znalazłem!

- Jesteś zawiedziony, co?

- Raczej...

Dziwnie zadźwięczał jego śmiech pod tym dachem, pośród stosów sprzętów ze skóry, drzewa i materiału. Zaczynało się ściemniać. Wszystko, cokolwiek nie znajdowało się w zasięgu światła padającego z okienka, okrywała już noc. Toussaint wyjął z kieszeni pęk kluczy i zanim włożył do zamka właściwy, najpierw pokazał go szefowi. Otworzył i puścił ich przodem. Belot na razie nie wchodził. Przyglądał się. Blondel nie spuszczał wzroku z jego twarzy, usiłując wyczytać z niej wrażenie, wywołane widokiem tajemniczego pokoju.

- Miałeś rację - powiedział Belot - bardzo tu ładnie. I wszystko całkiem nowe. - Zrobił krok naprzód. - Zwróćcie uwagę na ślady błota i farb na dywanie. Patrz! Nic mi nie mówiłeś o sztalugach.



- Myśli pan, że to mnie uderzyło? - zapytał Blondel.

Toussaint uzupełnił pytanie:

- Że są puste?

Belot odpowiedział:

- Bardzo dobrze mieć pod ręką puste sztalugi, można umieścić na nich, kiedy przyjdzie ochota, obraz, który się lubi... Obraz albo rysunki: tam pod okienkiem, na tym trójnogu czy wsporniku - diabli wiedzą, jak to się nazywa - jest gruba teczka na szkice... A te dwie puste ramy? - Belot schwycił Blondela za rękę. - Zaraz ci powiem, czym ten pokój różni się od tamtych dwóch. Nie tylko na sztalugach nie ma żadnego płótna, ale i na ścianach! Panna Sarrazin nie powiesiła tutaj niczego! Zaświeć, Toussaint!

Boczna lampa dała światło bez cienia. Trzej policjanci, z nosami przy ścianie, badali ją skrupulatnie, pomagając sobie dłońmi.

- Nigdzie śladu gwoźdźcia, nawet pineski - powiedział Belot. - Przyjrzyjmy się teraz tej teczce.

I nowa niespodzianka: żadnych rysunków, same barwne reprodukcje obrazów, a na marginesach - mnóstwo zapisków ołówkiem. Reprodukcje, oczywiście, Van Gogha. Belot pochylił się - nie musiał zresztą zbyt nisko, wszystko zostało zrobione z myślą o wygodzie - aby odcyfrować notatki. Rozpoznał pismo panny Sarrazin. Daty, nazwy krajów, kolekcje, numery, inicjały, formaty. Gdzieś tam nawet kreska, zaznaczająca jakiś szczegół obrazu. Przypatrując się temu wszystkiemu, Belot rzekł:

- Rozumiem, że kupcy namawiali ją do zredagowania katalogu. Wszystko to było może robione pod kątem tej pracy. Tylko dlaczego ukrywała się z tym tak starannie? A książki?

Blondel, usiadłszy na taboreciku przed niską półeczką, odczytywał grzbiety poszczególnych książek:

- Renoir. Monet. Manet. Picasso. Braque. A otóż i nasz przyjaciel Van Gogh... Van Gogh, Van Gogh, Van Gogh. Odtąd już tylko Van Gogh.

- Chciałbym wiedzieć - powiedział Belot zamykając teczkę z rysunkami - co w takim pokoju robi gobelin. Ma się on tak do Van Gogha i tej reszty, jak Wersal do domu towarowego Samaritaine!

- Wygląda na to, że tutaj cała jej uwaga skupiała się na czymś innym - powiedział Toussaint.

- Tak, na drzwiach. Chciałeś drugie - masz! Spójrz na te zawiaski po lewej stronie.

- Nie ma klamki - powiedział Blondel. - Drugie drzwi to drugi schowek.

- Być może, w każdym razie pociągając za ramę gobelinu...

Belot wykonał ten gest i drzwi ustąpiły. Prawdę mówiąc, były tak lekkie jak przepierzenia, którymi dzieli się czasem prowizorycznie jeden pokój na dwa mniejsze. Gobelin mógł znajdować się tu dlatego, że panna Sarrazin po prostu lubiła na niego patrzeć. Belot nie miał czasu ani zatrzymać się dłużej nad tym słusznym wnioskiem, ani zastanawiać się, na którą stronę wychodzi to nowe, piąte, okienko. Wszyscy trzej patrzyli na obraz spustoszenia, jaki ukazał się ich oczom, co chwila wykrzykując:

- Wszystkie tuby z farbami wdeptane w ziemię...
- A ta paleta roztrzaskana na pół, jakby kopnięciem buta...
- To potworne! - (Toussaint).
- Niezwykłe! - (Blondel, który był wrażliwy na kolory).
- A to płótno podarte w strzępy!
- Chciałeś powiedzieć te płótna. Jest ich bardzo dużo. Jedne na drugich.

Belot zabrał się do liczenia.

- Na pierwszym nie ma nic” to jednak daje do myślenia! Rozedrzeć puste płótno!

- Ani na drugim, ani na trzecim - powiedział Belot. Naliczył ich dziewięć. - Zniszczone są tylko cztery, ale czyste są wszystkie! Ktoś musiał wpaść w szal, że podarł te płótna, podeptał tuby i pędzle. Zabłoconymi butami. I to również miało miejsce w niedzielę. A jednak wychodząc zamknął za sobą drzwi...

- Albo popchnął je machinalnie - powiedział Blondel. - I tak samo zatrzaskał tamte. Zatrzask zamyka się sam, klucz potrzebny jest tylko do otwierania.

- Niezależnie od tego zablokowano je skrzyniami.
- To mógł zrobić ktoś inny - powiedział Blondel.
- Racja. Toussaint, idź zobaczyć, czy przyjechali już z Kryminalistyki.

- Tak jest, szefie. - Przeszedł przez pierwszy pokój, po czym nagle skręcił. - O! - Belot i Blondel podeszli do niego. - Kominiek! I w jego sklepienie również ktoś kopnął. Miedź jest umazana błotem.

Blondel owinął rękę chusteczką i uniół palenisko.

- Pokażcie mi to, moje dzieci - powiedział Belot ze skwapliwością w głosie. - To kupka popiołu... Wszystko, co tam spalono... Nie wszystko zresztą się spaliło, widzę kawałki płótna...

Toussaint, leżąc na brzuchu, zawołał:

- Te nie są czyste! Usiłowano spalić prawdziwy obraz!
- Komuś musiało się śpieszyć - powiedział Belot. - Zabezpieczmy ten skarb.

Teraz oba pokoje wzięli w posiadanie pracownicy Zakładu Kryminalistyki, którzy od dziesięciu minut byli już na miejscu. Belot dał nurka na parter, do kuchni, gdzie Gisele, robiąc na drutach, słuchała piosenki Marleny Dietrich: „*Ich bin von Kopf zu Fuss*”... Kiedy wszedł, wstała i zgasiła radio. Tym razem Belot skończył już z uprzejmościami: miał podejrzliwy wyraz twarzy, którego nikt u niego nie lubił.

- Wiedziałaś, co znajduje się na strychu, prawda?

- Mówi pan o walizkach i skrzyniach? - odpowiedziała jak zahipnotyzowana zmarszczonymi brwiami Belota, machinalnie naśladowując ten mimiczny gest. - Panienska zabroniła mi samej tam wchodzić.

- Proszę dobrze mnie posłuchać, Gisele. Jestem skłonny uwierzyć, że jesteś wzorem doskonałości i nigdy nie dopuściłaś się nieposłuszeństwa wobec kogokolwiek. Ale nie w mówisz mi, że będąc tu prawie miesiąc, nie zauważyłaś niczego szczególnego w tym domu, gdzie działy się rzeczy co najmniej dziwne, które w końcu doprowadziły do jednej z najohydniejszych zbrodni. I że w ogóle nie wiedziałaś, że tam na górze są trzy urządzone pokoje.

- Trzy?

Belot uśmiechnął się, ale ten uśmiech był jeszcze straszniejszy niż to, co poprzednio malowało się na jego twarzy.

- Liczba cię zdziwiła? Nie sam fakt, tylko liczba? Próbowała się poprawić:

- Chciałam powiedzieć, że trzy pokoje to dużo.

- Masz rację, nawet za dużo. Toussaint! - Toussaint wszedł. - Muszę już iść, zostawiam ci Blondela. Wyjaśnijcie sobie, jak ktoś, kto w ogóle nie wiedział o istnieniu jakichś pokoi, może się dziwić, że jest ich trzy, kiedy w istocie nie ma trzech! Od tej chwili ta panienska jest podejrzana. Przeszukajcie jej pokój i rzeczy. Wargi Gisele drżały.

- Nie macie prawa.

- I to również wiesz! Ale policja ma słaby charakter i bierze zły przykład. Ty nie miałaś prawa kłamać.

## IX

### *Okazuje się, że wszystko to nie wszystko*

#### 1

Od trzydziestu godzin, odkąd na pierwszych stronach porannych gazet z dnia wczorajszego ukazała się sprawa „tajemnicy krwawej walizki”, bagażowy Lucien Girouard, lat czterdzieści dwa, urodzony w Paronie, żonaty, ojciec czworga dzieci, czuł się królem Dworca Liońskiego. On ją niósł, biegł z nią i rzucił do wagonu, jak pierwszy lepszy bagaż zapóźnionego pasażera - walizkę z obciętą ręką w środku! Od tego czasu nie mógł ani zmrużyć oka, ani nic przełknąć. Dziwne; było się przecież na wojnie i widziało się części ciała swoich kolegów zawieszane na drzewach. Ale właśnie na tym polega różnica między wojną a pokojem, że w czasie pokoju jedyną ozdobą drzew są liście i ptaki, a zresztą części ciała jego kolegów nie miały wówczas prawa do pierwszych stron gazet - komunikaty głosiły po prostu: na froncie bez zmian. Jego tutejsi koledzy rozumieją to doskonale - w ogóle trzeba

powiedzieć, że cała obecna ekipa jest „równa”. Kiedy wczoraj przyszedł pierwszy dziennikarz i zapytał: „Gdzie jest ten bagażowy, który niósł walizeczkę?”, Girouard był tu jeszcze, mimo że praca się już skończyła - kto by po przeczytaniu takiej wiadomości siedział w domu, nawet z rodziną. Wolał porozmawiać z kolegami, ale na widok przybyłego dał reszcie znak, że niby go tu nie ma, i wtedy Bespetro, kuty na cztery nogi, zrobił minę „och jaka szkoda!” i odpowiedział: „Niech pan sobie wyobrazi, że nie dalej jak dziś rano wyjechał na uroczystość pierwszej komunii do Landes! Ależ będzie żałował!” I przez cały dzień każdemu, kto przychodził z prasy, opowiadano tę samą bajeczkę. A na pytanie „Jak on się nazywa i jaki jest jego paryski adres?” wymyślili takie nazwisko i taki adres, jakiego z całą pewnością nie ma!

Girouard i Belot, trącąc się kieliszkami, zaśmiewali się z tego wspólnie.

- Pańskie zdrowie.

- I pańskie.

Siedzieli w małej, spokojnej kawiarence, położonej najbliżej dworca. Kiedy Belot zaproponował: „Wstąpimy na kieliszek?” Girouard odpowiedział: „Mniejsza o kieliszek, żeby tylko można było gdzieś przysiąść”.

Opowiadał. Stale miał przed oczyma oddalający się pociąg do Marsylii. Powiedział wówczas do siebie: „Jeszcze tak parę razy ktoś mnie wykiwa i będę musiał oddać dzieci do przytułku”. Potem przestał o tym myśleć. Może kiedyś jeszcze spotka tego młodego człowieka, ludzie kręcą się tam i z powrotem. Zdarzają się nawet tacy, którzy szukają zawsze tego samego bagażowego i wolą raczej sami nieść swoje walizki, niż oddać je komuś innemu. Ale ten jest pierwszym, o którym przeczytał w prasie. Taka walizeczka też pierwszy raz mu się trafiła. Kiedyś trzech policjantów zatrzymało jego wózek: dwóch schwyciło walizki, a trzeci za ramię ich właściciela, idącego obok. Tylko że tam chodziło o narkotyki, nic specjalnego. Tyle co fałszywe pieniądze. Co innego ręka... Po odjeździe pociągu nie mógł się uspokoić, wałęsał się do północy i powtarzał sobie: „Kierowca zauważy swoją pomyłkę, wróci, ja mu powiem, co i jak, może co z tego kapnie”... Niewiele. Była lekka.

Girouard przerwał i przeprosił komisarza. Kiedy coś leży człowiekowi na sercu, chciałoby się to wszystko wygadać. Belot doskonale to rozumiał. Ale jeśli chodzi o niego jako o świadka... Girouard był zakłopotany (nie jak Bedat, ale szczerze zakłopotany). Kiedy policjant zawołał: „Bagażowy!” i kiedy, klucząc między samochodami Girouard podszedł, młody człowiek stał całkiem ogłupiały w tym swoim ociekającym deszczem nieprzemakalnym płaszczu; jedna walizka stała na jezdni, a drugą, tę, trzymał w ręce. Patrzył na nią i powtarzał: „Walizka... walizka...” Girouard opisał szczegółowo swój maraton - facet miał szczęście, że trafił na niego, bo pomimo swoich czterdziestu dwu lat dobrze biega, z

każdym innym spóźniłby się na pociąg - i ich dialog, który Belot znał już na pamięć i z lionńskich raportów, i z opowiadania Jean-Marca. Jemu chodziło o jakiś szczegół dotyczący samochodu. A tego...

- Ale zaraz! - wykrzyknął nagle Girouard. - Jest przecież policjant, ten który mnie zawołał!

- Zna go pan?

- No chyba! Raoul. Powinien mieć dzisiaj nawet służbę. Pełni ją cały tydzień, chyba, że jakąś siła wyższa... W niedzielę zawsze jest tylko jeden.

Wrócili na dworzec.

- O, jest! Widzę go stąd.

Raoulowi Larrouy z okręgu dwunastego wydaje się, że widział tył samochodu. Przysiąc by nie mógł. Samochód odjechał szybko, tylne światła miał zalane deszczem. Może natomiast potwierdzić z całą stanowczością, że młody człowiek dawał znaki w tamtym kierunku i wołał: „Proszę pana! Proszę pana!”, tak jakby tamten mógł cokolwiek usłyszeć.

Wiedział, że to niemożliwe, nic nie ryzykował - pomyślał Belot idąc w kierunku samochodu policyjnego. Wierzył jednak w prawdziwość tego epizodu, zdając sobie jednocześnie sprawę, że jego wiara nie ma dla sądu nie tylko żadnej wartości, ale nawet przekonywującej siły.

Picard z Truflotem przygotowali dla niego obiad składający się z kanapek, piwa i kawy. Tak zdecydował Picard, nie zważając na stosunkowo wczesną godzinę: lepiej będzie wznowić przesłuchanie Jean-Marca w oparciu bodaj tylko o wnioski z laboratorium, dotyczące przynajmniej odcisków palców i popiołu znalezione w zakamuflowanej pracowni. A poza tym pierwsze przykazanie policjanta brzmi: „Podejrzany się trzyma, gdy w twym brzuchu nic nima”.. Autorem tego wierszyka był olbrzymi Chicambaut, który od rana do wieczora coś podjadał. Na ten temat inny jego kolega ułożył następującą złotą myśl: „Zapomnisz o swoim żołądku pod warunkiem, że będziesz o nim pamiętał”.

Jedząc Belot zdawał sprawozdanie ze swojej misji, Truflot notował, a Picard słuchał, zakomunikowawszy przedtem, co następuje: primo sekcja zwłok Augusty potwierdziła zatrucie, secundo jej ojciec przyjeżdża do Paryża jutro rano i prosi, aby go oczekiwać na dworcu, tertio szef Malebranche chce zrobić dziś wieczór naradę całego wydziału, godzina obojętna.

Zapukano do drzwi. Wszedł Cavaglioli. Niemy i chmurny Cava, najsprawniejsza głowa w całym Zakładzie Kryminalistyki. Położył przed Picardem kartkę papieru.

- Pierwsze rezultaty.

Rozmawiając z nim, Picard przejmował jego sposób wysławiania się.

- Odciski?

- Sarrazin, Berger.

- Żadnych innych?

- Żadnych.

- Popiół?

- Malowane płótno i ramy. - Co na płótnach: Van Gogh?

- Oryginał albo falsyfikat. To już eksperci. W każdym razie podpisane. Picard zawołał:

- Podpisane?

Belota ubawiły słowa: „oryginał albo falsyfikat”.

- Kto pali oryginalnego Van Gogha, zastanówcie się! Do tego w domu znawczyni!

Cavaglioli zrobił gest mający oznaczać: „To przekracza moje kompetencje, nie moja sprawa”. Picard zwrócił się do Belota:

- Dla pewności trzeba będzie jednak zobaczyć się jutro rano z jakimś ekspertem.

Dziękuję, Cava, możesz odejść.

- Reszta później - rzekł Cava wychodząc. Picard z rozpadu powiedział do Truflota:

- Przyprowadzić. - I zaraz się poprawił. - Może pan wprowadzić świadka.

Mimo spalonych płócien nazwał go świadkiem.

### 3

Belot lubił zakładać się sam ze sobą. Zrobił to i teraz. Zakładam się, że jak go tu wprowadzą, będzie błdził wzrokiem po wszystkich krzesłach, szukając August5. Picard nie mógł tego pojąć. Założ się ze mną czy z kim chcesz, ale nie z sobą! Co to za sens! Ktokolwiek wygra, wygrasz ty! Logicznie rzecz biorąc, jest to oczywiste. Ale w istocie całkowicie mylne. Belot zawsze utożsamiał się z tym, który proponował zakład - nie lubił przegrywać. Nie zakładał się zresztą o fakty namacalne, gdzie ryzyko byłoby zbyt duże.

Wygrał, gdy tylko drzwi się otworzyły. Po czym Jean-Marc spuściwszy oczy skierował się do krzesła, które uprzednio zajmował.

- Niech pan usiądzie, panie Berger - powiedział Picard, którego głos nie stracił swojej oschłości, mimo iż usiłował nadać mu uprzejme zabarwienie. - Jestem zmuszony zakomunikować panu nowinę, która może sprawić panu ból. Muszę przy tym zaznaczyć, że nie pogarsza to pańskiej sytuacji. Przeciwnie.

Twarz Jean-Marca rozjaśniła się.

- Amerykanin się odnalazł!

- Nie. Dziś po południu panna Augusta Chenelong odebrała sobie życie.

Jean-Marc spojrział najpierw wzrokiem zbitego psa na Belota, a nie mogąc nic wyczytać z jego twarzy, odwrócił się do Picarda. Czekał na dalszy ciąg. Nie było dalszego ciągu. Oni też czekali. W grę wchodziły tylko dwie reakcje: rozpacz lub zaskoczenie. Patrzyli na niego z zainteresowaniem. Tymczasem Jean-Marc zapytał:

- W jaki sposób?

Picard, wskazując palcem leżącą przed nim kartkę papieru, powiedział:

- Otruła się.

Zaskoczenie może mimo wszystko przyjąć różne formy i przyjść z zupełnie innej strony, niż się to na pierwszy rzut oka wydaje. Jean-Marc stał się nagle jakby nieobecny. Szepnął z niedowierzaniem:

- Augusta...

Picard stuknął trzykrotnie w kartkę papieru.

- Zostawiła te parę słów.

No cóż, ciekawość okazała się silniejsza od wszystkich innych uczuć. Jean-Marc wyciągnął głowę do przodu, jak mógł najdalej, w nadziei, że uda mu się coś odczytać. Picard, który nie musiał czytać, powiedział patrząc mu w twarz:



- „Przepraszam za wszystko. Przepraszam Jean-Marca”.

Zapanowała głęboka cisza, którą zakłócił uliczny hałas, dając o sobie znać ze zdwojoną siłą. Po chwili, z jeszcze większym niedowierzaniem w głosie, Jean-Marc powtórzył:

- Za wszystko?

Picard pokazał mu kartkę, nie wypuszczając jej z ręki.

- Poznaje pan jej pismo?

Chłopak odpowiedział szeptem:

- Tak.

- Co ona takiego zrobiła, co takiego zrobiła panu, co by usprawiedliwiało to zdanie, a zwłaszcza ten czyn?

Nadał pochylony do przodu Jean-Marc patrzył na Picarda niewidzącymi oczyma. Było oczywiste, że zaświtała mu w głowie jakaś myśl. Oczy mu zablęsnęły i zawołał:

- Był jej kochankiem!

Teraz z kolei Belot i Picard pochylili się do przodu, zdumieni.

- Kto taki?

Jean-Marca najwyraźniej poniosła fantazja.

- Amerykanin! Ten niby Amerykanin! Panowie! Przecież to jasne, to jest absolutnie jasne! Kiedy dowiedziała się o tej historii z kocim oczkiem, poczuła się urażona i upokorzona. Postanowiła zobaczyć się z panną Sarrazin - Huguette mi o tym mówiła, powiedziała, że nie chciała jej wpuścić w tym stanie, w jakim ta mała była. Augusta jej oświadczyła, że zrobi coś złego. Panna Sarrazin jej nie uwierzyła, bo to rzeczywiście niemożliwe, ona nie byłaby do niczego takiego zdolna... Ale tamten, tamten mógł być w takiej samej sytuacji wobec Huguette, jak Augusta wobec mnie. Zaczął podrywać Augustę - a musicie panowie wiedzieć, że jest bardzo przystojny - no i dziewczyna dała się złapać i on wciągnął ją w swój plan, w swoje machinacje, pewnie nie musiał sobie nawet zadawać wiele trudu, nad zazdrością ciężko zapanować, zwłaszcza dziewczynie. Nie chcę przez to powiedzieć, że morderstwa dokonano za jej zgodą - nic o tym nie wiem - ale ponieważ nie żyje i prosiła mnie o przebaczenie, więc myślę, że po prostu chciała się na mnie zemścić. Chciała, żeby mnie oskarżono, obrzucono błotem, żeby mnie wsadzono do więzienia!

Picard, bardzo spokojnie, jakby to była rzeczowa dyskusja, zauważył:

- Nikt nie odbiera sobie życia, kiedy jego życzenie się spełnia.

Jean-Marc gorączkował się nadal.

- To zależy, w jaki sposób, panie komisarzu. Czyż mogła to wszystko przewidzieć - niech pan sam powie. Ta cała historia z obciętą ręką i walizką! Przeczytała o tym w gazecie i ogarnęło ją przerażenie. Każdego by ogarnęło! Czy to pan ją wzywał, panie komisarzu? - Jean-Marc nie dał mu nawet czasu na odpowiedź. - A może to ona sama do pana zatelefonowała, bo poczuła wstręt do tego potwora, któremu zaufała? Ale w miarę jak zbliżała się godzina wyznaczona przez pana, zaczęła wpadać w panikę, zażyła narkotyk, nigdy przedtem nie zażywała narkotyków, panie komisarzu, to była dziewczyna zdrowa i silna, w życiu bym z nią nie zerwał, gdybym nie miał pewności, że jest osobą silną! Zresztą oboje byliśmy zwolennikami absolutnej wolności, lubiliśmy się, było nam ze sobą przyjemnie, ale nigdy nie było między nami wielkiego uczucia, nie! I ona doskonale zdawała sobie z tego sprawę. Zdawała sobie też sprawę, że pozwoliła się ponieść zazdrości, której podłożem wcale nie była głęboka miłość! A poza tym - Jean-Marc nie mógł już nadażyć za swoimi pomysłami, które mnożyły mu się w głowie - po zamianie walizek on już się więcej pewnie u niej nie pojawił. Pomyślał sobie, że ja to wszystko opowiem, i nikt nie będzie miał powodu mi nie wierzyć. Nawet wiedząc, że ja nic nie wiem, uważał, że lepiej będzie nie ryzykować i że już nie powinien się z nią widywać. A ona nie miała pojęcia ani gdzie go szukać, ani kiedy go znowu zobaczy! Nie tylko zrozumiała, że jest podły i nikczemny, ale w dodatku poczuła się całkowicie osamotniona, porzucona, opuszczona! A może... - Jean-Marc z trudem przełknął ślinę.:- A może...

- Truflot - powiedział Picard - proszę podać panu szklanekę wody.

Jean-Marc wypił zaledwie łyk i oddychając przez usta, jak podczas badania u lekarza, usiłował nabrać powietrza. Picard powtórzył zachęcającym tonem:

- A może...

Jean-Marc zamknął oczy i wyrzucił z siebie jednym tchem:

- A może to on zmusił ją do zażycia narkotyku i przyznania się do winy?

W pokoju znowu zapanowała cisza, po czym Picard zwrócił się do Belota: - Masz jakieś dodatkowe pytania?

- Nie - odpowiedział Belot.

Z zamkniętymi oczyma i z ulgą malującą się na twarzy, Jean-Marc wyglądał jak ktoś cudem uratowany z nieuleczalnej choroby. Nagle Picard zaczął się śmiać. Odchylił się do tyłu i klaszcząc w dłonie śmiał się! Był to śmiech suchy, niesamowity. Po czym oznajmił tonem obietnicy, jakby zwiastował przyjemną niespodziankę:

- No dobra! A teraz porozmawiamy sobie o malarstwie!

- O malarstwie? - spytał Jean-Marc spoglądając na Belota.

Belot, który nie wyglądał na tak rozbawionego jak Picard, uśmiechnął się.

- Tak, o malarstwie.

-Zna pan doskonale mieszkanie panny Sarrazin - powiedział Picard, uszczęśliwiony, że udało mu się zakończyć niejasną, przynajmniej jak dotąd, stronę przesłuchania. - Strychy pan zna? Proszę odpowiadać!

- Tak - odparł Jean-Marc zbity z tropu. Picard był pewien, że chłopak wołałby wrócić do tragedii Augusty i dalej snuć domysły. - Tak, znam...

- Te pokoje na górze?

- Tak, pokoje na górze...

- To było pańskie mieszkanie u panny Sarrazin?

- O, nie, panie komisarzu.

- Nie mam na myśli miejsca do spania, tego pan nie potrzebował oczywiście... Jean-Marc przerwał mu.

- Nigdy tarninie spałem, ani jednej nocy, przysięgam panu!

- Czy przysięga pan również, że nie spędził pan ani dnia w pokojach na górze?

- Oczywiście, że spędzałem.

- Czy urządzono je dla pana?

- Nie.

- Z pewnością tak - powiedział Belot - to zostało urządzone jakieś pół roku temu.

- To znaczy... panna Sarrazin chciała, żebym tam pracował.

- No widzi pan! - rzekł Picard. - Doszliśmy w końcu do tego.

- Mówiła: „Tracisz czas nad - cudzymi dziełami. Uprawiasz artystyczne rzemiosło, podczas gdy w tobie samym są zadatki na artystę, i to wielkiego artystę. Tylko że to też jest rzemiosło i trzeba się go nauczyć, jak każdego innego. Urządzą ci w domu jakiś kącik”. Przecież ten dom miał być naszym wspólnym domem, panie komisarzu, i to był jeszcze jeden powód, dla którego chciałem zarobić dużo pieniędzy - żeby nie zawdzięczać wszystkiego żonie - a u Pauguina nie mógłbym tyle zarobić, co jako artysta malarz! W dodatku przy jej stosunkach! Mówiła: „Ambicją każdego kolekcjonera jest nie poprzestać na znanych mistrzach, dawnych czy współczesnych, bo to jest tylko kwestia pieniędzy! Ale odkryć prawdziwy talent! Chcę zrobić dla ciebie to, co doktor Gachet zrobił dla Van Gogha.

- Taaak, tak - powiedział Picard. - Właśnie, Van Gogh. Na górze znajduje się dokumentacja dotycząca wyłącznie Van Gogha, prawda, panie komisarzu?

- Nie - powiedział Belot pojednawczo - wiele książek dotyczy innych malarzy. Ale w istocie, jest duża teka, w której znajdują się wyłącznie reprodukcje Van Gogha. Z olbrzymią ilością adnotacji. Pan Berger chyba nam to wyjaśni.

Jean-Marc, naśladując Picarda, roześmiał się sucho:

- Nigdy się tym nie zajmowałem! Niezależnie od tego, czy te pokoje były urządzone dla mnie, czy nie, używała ich panna Sarrazin. Przeniosła tam swoje archiwum, zawsze skarżyła się, że ma za mało miejsca!

- Z takich strychów jak te mogła zrobić nie dwa, ale sześć pokoi - zauważył Belot.

- Chciała być blisko mnie, panie komisarzu. Czasami patrzyła, jak pracuję, czasami przeglądała swoje książki, a czasami notowała coś na reprodukcjach.

- A na czym polegała pańska „praca”? - spytał Picard. - Jak się zdobywa zawód malarza?

Jean-Marc powoli odzyskiwał grunt pod nogami. Już miał zrobić rzeczowy wykład, kiedy nagle młodzieńczy brak opanowania i dziecinne rozżalenie wzięły górę.

- Daleki jestem od potępiania dzisiejszego malarstwa, panie komisarzu. Ale nie wymaga ono wielkiego nakładu pracy. Młodzi ludzie w moim wieku zadowolają się po prostu talentem. Ale ci, którzy podchodzą do tego poważnie, to słowa panny Sarrazin, ci muszą, jak muzycy, przejść przez etiudy. U malarzy te ćwiczenia to kopiowanie. Wszyscy wielcy zaczęli od kopiowania mistrzów, wszyscy! Na koniec robi się wystawę kopii i oryginałów. A poza tym to takie pasjonujące patrzeć, jak kopia powoli dorównuje oryginałowi! To wszystko, panie komisarzu!

- Nie, nie wszystko - powiedział Picard. - Wziął się więc pan do kopiowania. Do kopiowania czego?

Jean-Marc odpowiedział, jakby to była rzecz oczywista.

- Van Gogha! Jej to sprawiało taką przyjemność... Belot przerwał mu:

- Czy wolno mi zrobić jedną uwagę, panie komisarzu? - I nie czekając na odpowiedź, mówił dalej. - Pan Berger dostarczył nam nader ciekawych informacji „na temat studiów malarza. Ale - zwrócił się do Jean-Marca - czy nie wydaje się panu dziwne, że akurat w pana przypadku było to jak musztarda po obiedzie? Czy panna Sarrazin naprawdę uznawała za nieodzowne poddawanie pana tym ćwiczeniom? Pana, genialnego kopistę? Specjalistę pierwszej klasy? Chlubę Panguina? Czy nie lepiej było, wręcz odwrotnie, namawiać pana do własnych poszukiwań?

Jean-Marc podniósł głowę z wyzywającą miną.

- Robiła to, panie komisarzu! Malowałem również, co chciałem i jak chciałem. A jeśli wybrała - Van Gogha, to zrobiła to nie tylko z myślą o swojej przyjemności, ale dlatego, że uważała moją technikę za zbyt doskonałą... moje upodobanie do szczegółów za duże! Od Van Gogha malarz może nauczyć się swobody!

- Musi się więc pan jeszcze sporo uczyć - powiedział Be-lot. - Pańskie upodobanie do szczegółów i pańska drobiazgowość doprowadziły pana do skopiowania nawet podpisu! - To było ćwiczenie, panie komisarzu. Belot skinął głową.

- Dziękuję za informację. Jean-Marc nie zrozumiał.

- Za jaką informację?

- Upewnił mnie pan, że pańskie kopie nosiły podpis Van Gogha.

Picard spuentował:

- Iw ten sposób przestały być kopiami, a stały się falsyfikatami.

Jean-Marc znów się spieszył.

- Ależ, panie komisarzu, to nie miało żadnego znaczenia! Ja je przecież potem paliłem! Na pewno znaleziono w kominku popiół, prawda?

- Tym razem pan nie kłamie - rzekł Picard - to jest prawda.

Belot spytał:

- Spalił pan wszystkie?

- Tak! Przysięgam panu!

- Dlaczego? Dlaczego nie zachował pan najlepszych?

Mówił pan o wystawach, na których pokazuje się kopie i oryginały. Czemu nie zostawił pan sobie możliwości urządzenia czegoś takiego w przyszłości, kiedy zdobędzie pan już sławę?

- To panna Sarrazin kazała mi je spalić... Słuchałem jej we wszystkim!

Belot nie dał mu wytchnąć.

- A pańskie własne obrazy, czy też je pan spalił? Jean-Marc poczerwieniał, prawdopodobnie ze złości.

- O nie! Zabrałem je do siebie, do hotelu!

- Tak, widziałem. Pan Bedat mi je pokazywał. Oczekuje pochwały - pomyślał Picard.

Belot odpowiedział zresztą na tę niemą prośbę:

- Nie potrafię ich ocenić, nie znam się na tym, ale są przyjemne dla oka. Co panna Sarrazin o nich sądziła?

Jean-Marc odzyskał dawną żarliwość.

- Ogromnie je lubiła, panie komisarzu. Nie zrobiłaby dla mnie tego wszystkiego, gdyby ich nie lubiła! Mówiła mi zawsze „Zobaczysz! Zobaczysz!”

- Jeśli tak było, to dlaczego nie wisały nigdzie, na żadnej ścianie?

Jean-Marc przygryzł dłoń, ale zaraz potem odpowiedział:

- Przecież obejrzał pan sobie dobrze te ściany! Widział pan, że wszędzie wiszą same arcydzieła! Nie mogła zdjąć Sisleya czy Renoira, żeby zrobić miejsce dla mnie!

- Byłaby to niezła zachęta i piękny dowód zaufania. A na górze, u pana? Tam gdzie były gołe ściany? Mogła tam chyba zawiesić swoje ulubione obrazy? Czy bodaj ustawić na sztalugach ten najświeższej daty?

Jean-Marc wyszeptał:

- Nigdy tego nie zrobiła.

- Nawet na sztalugach? Miejsce na ścianie to już coś zobowiązującego, sztalugi to za ledwie próba, propozycja. Nawet na sztalugach? - Jean-Marc milczał. - A na ziemi, tyłem do ściany, czy nawet w jakimś nie wykorzystanym kącie strychu, czy tam też nie mógł ich pan postawić, choćby tylko po to, żeby nie taskać ich do pana Bedat? Wrzucił je wszystkie na antresolę, a i tak uskarża się, że zabierają mu za dużo miejsca.

Jean-Marc podniósł rękę do czoła. Dawne przerażenie wróciło. Belot dał znak Picardowi, który uderzył pięścią w stół i powiedział podniesionym głosem:

- Słuchaj, Berger. Wniosek jest prosty: te dwa zakamuflowane pokoje służyły ci do fabrykowania falsyfikatów. Twoje własne dzieła były tylko pretekstem, pozorem, alibi. I nie przysięgaj, że spaliłeś wszystkie, jesteś nędznym kłamcą! Coś z nimi zrobił? Gdzie one są? Pamiętaj, że jutro rano najwięksi eksperci Paryża zabiorą się do badania kolekcji panny Sarrazin. I jeśli nie znajdą tam żadnego falsyfikatu, nietrudno będzie zgadnąć, że zostały one ukryte gdzie indziej! A gdzie? Powiesz czy nie? Tak czy inaczej, będziesz oskarżony o fałszerstwo. I nie tylko eksperci znajdą się jutro w Neuilly, ale również przedstawiciele prasy z całego świata. Zawsze znajdzie się ktoś, kto wyniucha, gdzieś je upłynnił! Jean-Marc zaczął popłakiwać.

- Nie spaliłem ich wszystkich, bo panna Sarrazin powiedziała: „Możesz spokojnie wyjechać i je zostawić, ja się nimi zajmę, już ja się nimi zajmę...”

Picard chwycił swoją niezniszczalną linijkę. Był w pasji.

- A to pobojuwisko? A pomażdżone tuby z farbami? A połamana paleta? A podarte płótna? To nie twoje dzieło?

- Nie! Przysięgam panu!

Picard spojrział na Belota, który wzruszył ramionami, po czym zwrócił się do Truflota:

- Proszę zostawić mi tu gdzieś pod ręką tego młodzieniaszka, spotkamy się z nim wkrótce. - A pod adresem Jean-Marca rzucił jeszcze: - „Przepraszam za wszystko”. Okazuje się, że wszystko to nie wszystko.



## X

### *Dwie nieprzeciętne kobiety*

#### 1

Strażnik wyprowadził Jean-Marca.

- Truflot - mówił dalej Picard, zbierając ze stołu papiery dotyczące sprawy - niech pan zadzwoni do kilku dziennikarzy. I niech jutro rano na pierwszych stronach wszystkich pism ukaze się wiadomość o fałszerstwie. Ja nic o tym nie wiem. Idę do szefa.

Ich gabinety były połączone drzwiami. Belot udał się do biura brygady śledczej. Musiał jak najszybciej zobaczyć się z Simonem w sprawie Augusty i z Blondelem albo Toussaintem w sprawie Gisele. Zastał wszystkich trzech. Toussainta zmienił przy ulicy de la Ferme Malicorne. Wszyscy trzej trwali w oczekiwaniu, a ponieważ Simon - jak wskazywała jego mina - był raczej przygaszony, Belot zaczął od tamtych dwóch. W dodatku temat do rozmowy z Simonem był delikatniejszy.

- Wydaje mi się, że nic nie znaleźliście. Czyżbym się mylił? Blondel zawołał:

- Pan nigdy, szefie, nigdy!

- Głuptas - ciepło powiedział Belot.

- Pan się nie myli, ale chociaż nasze poszukiwania były bezowocne, to kochanej Gisele też się nie udało nas zmylić. Wszystkie nasze poczynania śledziła tymi swoimi wielkimi, wylupiastymi oczami, wyobrażając sobie, że ma przy tym szalenie pogardliwy wyraz twarzy, a potem, w miarę jak widziała, że niczego nie znajdujemy, odprężyła się w sposób tak widoczny, że obaj z Toussaintem doszliśmy do tego samego wniosku: z pewnością ukryła swój łup gdzie indziej. Zapytaliśmy, czy nie ma własnego mieszkania. Odpowiedziała: „Nie. Zawsze byłam na stałe”. Tak jakby to przeszkadzało mieć jakiś kątek dla siebie - żeby przyjmować gości czy mieszkać tam po przejściu na emeryturę. Toussaint, teraz ty mów.

- Wobec tego, wracając z boczylem z drogi - powiedział Toussaint - i poszedłem do Biura Pośrednictwa Pracy Le Bellec. Sekretarka wyciągnęła z rejestru jej kartę i powiedziała coś wręcz odwrotnego; „Tak, tak! Panna Gisele Charpentier mieszka przy ulicy Fondary 37, okręg XV”. Było już zbyt późno na złożenie tam wizyty, ale jeśli pan wyda zezwolenie, możemy tam iść z Blondelem jutro skoro świt.

- Oczywiście - rzekł Belot. - Jesteście pewni, że nie wymknie się z Neuilly?

- Malicorne przymknał ją w jej pokoju, a sam śpi przy telefonie.

- Idźcie zaraz po nakaz rewizji na jutro. A potem spać i przyjemnych snów!

Kiedy został sam z Simonem, zapytał:

- A co u ciebie?.

Simon nie pozbiarał się jeszcze po dwóch wstrząsach, jakimi były dla niego najpierw widok nieprzytomnej Augusty, a potem jej śmierć. Silił się na swobodę.

- Dozorczyńni, która czasem u niej sprzątała, jest drobna, młodzianka, zadbana, urocza i niezmiernie poruszona tą tragedią. Pech w tym, że nigdy nawet okiem nie rzuciła na listy i papiery, które wszędzie się wałyły u Augusty. Jestem przekonany, że mówi prawdę. Augusta płaciła jej dobrze, ba, nawet ją psuła: to bluzka, to szaliczek. Rozmawiały często, ale nigdy o sprawach osobistych. Znała Jean-Marca Berger, mimo, że nigdy nie zamieniła z nim ani słowa. Wiedziała, jak się nazywa, bo Augusta mówiła do niej nieraz: „Pan Berger przyjdzie dziś wieczór przede mną”, albo „Zostanie u mnie na weekend”, tak mimochodem, nie w formie zwierzeń. Zauważyła, że w okresie Bożego Narodzenia i Nowego Roku często płakała, właśnie wtedy, kiedy młody człowiek znikł jej z oczu. Potem jakby wszystko przycichło. Augusta wróciła do formy, inni chłopcy, składali jej wizyty, ale żaden „nie zagrzeł miejsca”, ich nazwisk też nie zna. Jeden przechodził często koło stróżówki; wysoki brunet, bardzo grzecznie się kłaniał. Nie umie powiedzieć, czy ma na imię Francois. Spytałem jej, czy widziała go może wczoraj, po moim wyjściu. Najpierw zaczęła przeproszać, że mnie jakoś nie zauważyła, bo jego z całą pewnością widziała, kiedy wychodzili razem w porze obiadowej. Nie widziała również powrotu Augusty. Tego ranka weszła na górę, żeby jak zwykle posprzątać, i również jak zwykle Augusty nie było. Gdyby nie te zakichane ferie świąteczne, poszukałbym go na uniwersytecie. A może pan Chenelong zna tego Francois?

- Mało prawdopodobne - powiedział Belot. - Liczymy raczej na prasę.

Simon wymamrotał pod nosem to, co od wielu godzin powtarzał w myślach:

- Niezrozumiałe. A co na to Berger? Dowiedział się już?

- Tak. O n to rozumie.

Belot streścił początek przesłuchania. Simon hamował się, jak mógł - regulamin zabrania przerywać zwierzchnikowi - ale sądząc po gestach, nie ulegało wątpliwości, że wybuch nastąpi.

- Co za łajdak! I pomyśleć, że on miał szczęście spać z tą dziewczyną i mógł być z nią przez całe życie, a jedyne wyjaśnienie jej słów i samobójstwa, jakie mu przychodzi do głowy, to że była współniczką i kochanką mordercy! Trzeba mu było jeszcze podsunąć to „A więc...” Uczepiłby się tego jak rzep psiego ogona!

- Uspokój się, jeśli łaska. Po co „A więc...” Wystarczyło „Przepraszam za wszystko”. W imieniu tej biedaczki dziękuję ci za twoje święte oburzenie, ale jeśli chcesz obalić jakąkolwiek hipotezę, musisz najpierw wykazać jej błędy, a potem wysunąć inną, bardziej przekonującą. Dopóki nie wypełnimy stronicy zaczynającej się od „A więc...”, a kończącej

się na „Przepraszam za wszystko”, dopóty każdy domysł - jeśli nawet jest najbardziej nieprawdopodobny - może być prawdziwy, a ten, kto go wygłasza, wydaje ci się daleki od ideału.

- Przepraszam - rzekł Simon. Belot odprężył się.

- Ale powiem ci coś na otarcie łez. U panny Sarrazin na strychu kopiował obrazy i podpis Van Gogha.

Zadzwoił telefon. Simon odebrał i podał Belotowi słuchawkę.

- Dzwoni Truflot - zameldował.

- Pan Picard wzywa pana natychmiast do pana Malebranche'a.

Jeśli Picard wzywa kogoś natychmiast, to nie znaczy zaraz czy jak najszybciej, czy jak tylko będziesz mógł. To znaczy za sekundę z zegarkiem w ręku.

**2**

- Dzień dobry, Belot - powiedział Malebranche.

- Dzień dobry panu.

Picard i Malebranche wyglądali na uradowanych niespodzianką, którą dla niego przygotowali. Malebranche podsunął Belotowi jeden z formularzy; na których pisze się tłumaczenia kablogramów międzynarodowych.

Niech pan usiądzie, to pasjonująca lektura. „F. B. I. WYDZIAŁ KRYMINALNY WASZYNGTON DO KOMENDY POLICJI ŚLEDCZEJ PREFEKTURA POLICJI QUAI DES ORFEVRES PARYŻ FRANCJA

Wielki przemysłowiec, debiutujący kolekcjoner, Springfield, Illinois, zaniepokojony artykułami o zabójstwie panny Huguette Sarrazin w Neuilly, sławnej znawczynie malarstwa Van Gogha oddał do ekspertyzy obraz tego artysty zakupiony na początku bieżącego roku od francuskiego arystokraty wygnanego z kraju (?), który utrzymywał, że pozbawiono go całej olbrzymiej kolekcji i zmuszony jest sprzedać jedyny ocalony z tej klęski obraz (?) STOP Ekspert stwierdza autorytatywnie falsyfikat STOP To samo zaniepokojenie u kolekcjonera laryngologa, Richmond, Wirginia, ten sam artysta, to samo źródło, ten sam wniosek, mimo że inny ekspert STOP Autentyki tych dwóch różnych płócien są własnością muzeów w Amsterdamie, Holandia, i w Paryżu, Francja. Wysyłamy fotografie STOP Obaj poszkodowani wnoszą skargę przeciwko BARONOWI RAYMONDOWI DE LUZARCHE, na jego wizytówkach liternictwo francuskie, bez adresu i telefonu STOP Zgodny rysopis: wzrost około 185 cm, waga 80 kg, wiek 40- 43 lat, sylwetka wysportowana, czarne włosy, bardzo czarne oczy, nos prosty, cera ogorziała, europejska elegancja, kawaler Legii Honorowej STOP Żadnych dowodów: książeczki wojskowej, dowodu osobistego, paszportu i tak dalej. Prosimy

powiadomić nas, czy zachodzi jakiś związek między tą aferą a zabójstwem Sarrazin STOP  
Czekamy na waszą odpowiedź, zanim podamy do wiadomości publicznej dane konieczne dla  
uzyskania dalszych ewentualnych zazaleń”. Belot oddał Malebranche’owi depeszę. -  
Wiadomości napływają do nas, zanim o nie poprosimy.

To rozumiem, to jest robota! Oczywiście nie znajdziemy Luzarche’a ani tu, ani tam.  
Ten baron, który równie dobrze może nazywać się Dupont, wyjeżdżając ze Stanów  
Zjednoczonych posługiwał się już swoim prawdziwym paszportem. A może w ogóle nie  
okazywał fałszywego, a zadowolano się tylko jego wizytówkami?

- Musiał mieć paszporty - powiedział Malebranche - potrzebne mu były w hotelach  
podczas różnych etapów podróży, na wypadek gdyby jego przyszłe ofiary do niego  
telefonowały czy chciały się z nim widzieć.

Picard mruknął pod nosem:

- Prawdziwy paszport, fałszywy paszport... Nawet ten, który wy nazywacie  
prawdziwym; może być fałszywy. Dopóki w paszportach nie będzie danych  
antropometrycznych, i to przygotowanych w naszych laboratoriach, tak długo nie będę  
dowierzał żadnemu paszportowi - wystarczy przecież zmienić jakiś szczegół w rysach twarzy!  
Trzeba zacząć szukać nieboraczka. No więc odciski, tak, ale przedtem...

- A kto nam zareczy, że on ma drugi paszport? - powiedział Malebranche. - Że to  
Francuz a nie Amerykanin? Jeśli jego klienci znają się tak na akcencie, jak na malarstwie...

- Ale ci nasi korespondenci też są dobrzy! - powiedział Picard. - Podawać w rysopisie  
Legię Honorową, tak jakby nie można jej było zdobyć na zawołanie! Szkoda jeszcze, że nie  
podali nam koloru skarpetek, jakie wtedy ncsił! I co właściwie nie-Europejczyk rozumie  
przez europejską elegancję?

Malebranche spojrział na depeszę.

- W każdym razie nasza pierwsza odpowiedź brzmi: związki między zabójstwem a  
fałszerstwem murowane.

Picard i Belot wstali.

- To później. Najpierw pociągniemy Jean-Marca za język. Dobrze byłoby od razu  
ustalić, ile obrazów znajduje się w obiegu. Obojętne, czy w Stanach, czy gdzie indziej.

- Zgoda - odpowiedział Malebranche. - Ja tymczasem wydam polecenie, żeby poszperali w rejestrach ekstradycji. Wiem, Belot, że nie należy do tego przywiązywać zbyt wielkiej wagi, ale... Luzarche! I podajcie rysopis wszystkim posterunkom.

### 3

- Ile falsyfikatów Van Gogha namalowałeś? - Ile czasu potrzeba ci było na każdy? - Jakie były ich wymiary? - Co przedstawiały? - Kto decydował o wyborze? - Gdzie znajdują się oryginały? - Ile były warte? - Ile falsyfikatów sprzedaliście? - W jakich krajach, nie licząc tych dwóch płócien w Springfield i Richmond? - W jakich mia- Stach? - Daty? - Nazwiska i adresy nabywców? - Jakich jeszcze mieliście wspólników, poza Francuzem, który dokonał tych dwóch sprzedaży w Ameryce? - Jakiej są narodowości? (- Nazwiska i rysopisy? - Gdzie się spotykaliście? - Jak przedstawiały się wasze zyski? - Kto wyznaczył procenty? - Czy panna Sarrazin miała wspólnika? - Wspólników? Ile ty osobiście dostawałeś? - Gdzie ukryłeś pieniądze? - Jak skończyły się wasze machlojki? - Jak doszło do zerwania? - Czy zabójstwo było pośrednią, czy bezpośrednią jego konsekwencją? - Czy Augusta wiedziała, że zajmujesz się fałszerstwem? - Czy uprawiałeś je jeszcze będąc jej kochankiem? - Czy groziła, że cię wyda? - Czy powodem tych gróźb była jej panika?...

Pytania padały jedno po drugim, nakładały się na siebie, przeczyły sobie nawzajem. Głosy Picarda i Belota miały ten sam ton, zlewały się w jeden dźwięk - nagłący, zaczepny, napastliwy dźwięk, który nawet na chwilę nie ustawał i nie pozwalał Jean-Marcowi ani się zastanowić, ani wytchnąć. Czuł się jak te stateczki z papieru, które jako pięcioletni chłopiec puszczał w ryszotoku na Croix-Rousse, a które wywracały koziołki, zanim w końcu zatoneły. Przysięga, że mówi wszystko, co wie, przysięga, że nie wie o tym, o czym nie mówi, chciałby prosić, błagać, płakać, ale gdy tylko przestaje opowiadać, słowna chłosta ciągnie się dalej. Nie zazdroścę ci, mój chłopcze, jeśli będziesz musiał spędzić tu jeszcze noc! My pójdziemy odpocząć, kiedy nam się spodoba - na nasze miejsce przyjdą inni - natomiast ty pozostaniesz tutaj bez wytchnienia, bez jedzenia, bez picia, bez spania. Jest nas tu dosyć, aby zabawiać cię całymi dniami i tygodniami, jeśli zajdzie potrzeba. Nie będzie trzymał sprawiedliwości w szachu taki nędzny łotrzyk jak ty! Te zdania, gwałtowne jak burza, pochodziły od Picarda; słowa Belota były ciche jak szmer deszczu w ową niedzielę wieczorem pod daszkiem hotelu pana Bedat.

- Ile? Mogłem namalować najwyżej dziesięć, może dziewięć, tak dziewięć; na każdy potrzebowałem około tygodnia. Wymiary? Duże, panna Sarrazin wybierała duże formaty, ponieważ w malarstwie obowiązuje wycena w zależności od punktów: tyle a tyle tysięcy franków za jeden punkt. Wzory? Wyliczał je, a Picard obliczał na palcach. To na razie sześć,

a powiedziałeś dziewięć, siódmy, dobrze... Warianty? Panna Sarrazin sama je ustalała, czasem on miał jakiś pomysł i wtedy ona uznawała to jako ideę artysty, jak mówiła. Ale reszta? Ile sprzedano? W jakich krajach? Komu? Przez kogo? Kiedy? Jaki to miało związek z zabójstwem? Skąd mam wiedzieć, skoro nigdy nikogo u niej nie widziałem, przysięgami Augusta? Nie, nie miała z tym nic wspólnego, nigdy jej o niczym nie mówiłem. Zyski? Roześmiał się drwiąco. Nigdy nie dostałem od Huguette ani centyma. Owszem, pomagała mi opłacać hotel i dawała mi skromne kieszonkowe - jakże inaczej mógłbym się utrzymać. Przecież zarabiałeś u Pauguina, i to nieźle. Wszystko wydałem, przysięgam panom, wszystko wydałem!

Belot przerwał.

- Nigdy nie wypłaciła ci ani centyma? Wyplata! W tym momencie nastąpił u Jean-Marca jeden z nagłych zwrotów, których przykłady dawał już podczas poprzednich przesłuchań. Potwierdzając fakty, którym do tej pory zaprzeczał, z buntownika zmienił się w mazgaja.

- Nie wiem, o czym panowie mówicie. Wiem natomiast, że panna Sarrazin nigdy nie przyznała mi wynagrodzenia za moją pracę! Przysięgam, że nie wiedziałem, dokąd idą moja kopie - aż do dziś wieczór nie słyszałem o transakcjach w Stanach Zjednoczonych - ale też nie miałem wątpliwości, że] moje obrazy gdzieś wędrują! Pytałem ją „Dlaczego urobisz na tym pieniądze?”, a ona odpowiadała: „Żeby nie musiała sprzedawać tego, co mam”. Sprzedawała falsyfikaty, żeby za trzymać oryginały. Mogłem to zrozumieć. Ale co ja z tego wszystkiego miałem?

- Ja za żonę - rzucił Picard.

- Tak, właśnie, panie komisarzu, powiedziała mi, że to się wszystko zmieni. Powiedziała: „Masz rację, już dość tego. To haniebne tak wartościowego chłopca jak ty wciągać w takiej sprawie. Żadnych kopii, wszystko się teraz zmieni. Najpierw weźmiemy ślub, a potem pojedziemy w podróż do Holandii.! Pokażę ci Holandię! Przebacz mi!”

- No cóż, wszystkie kobiety proszą cię o przebaczenie. A... kiedy ci to powiedziała?

- Tydzień przed tym wszystkim. W poprzednią niedzielę. Kiedy telefonowałem do moich rodziców.

- A czy w ciągu tego tygodnia nie zaszło nic nowego, żadna zmiana w jej planach?

Jean-Marc odpowiedział bardzo szybko:

- Nie, absolutnie nie! Przysięgam panom!

- Za często przysięgasz - powiedział Belot - to odruch kłamców. Kiedy właściwie należy ci wierzyć?

- Ja nie kłamię, panie komisarzu, przysię... Jean-Marc pohamował się, po czym szepnął:

- Boję się. Chcecie mnie zgubić. Belot odwrócił się do Picarda:

- Czy nie uważa pan, panie komisarzu, że dobrze byłoby podać Bergerowi rysopis handlarza ze Stanów Zjednoczonych? Chociaż zaprzecza, jakoby znał kogokolwiek...

Picard wziął do ręki kablogram: „Wzrost około 185 cm, waga 80 kg...” Kiedy doszedł do miejsca „bardzo czarne oczy, nos prosty, cera - ogorzała”, Jean-Marc - jak się tego Belot spodziewał - zerwał się z krzesła i krzyknął:

- Amerykanin!

Ledwo strażnik zdążył zamknąć drzwi za Jean-Markiem, Belot - wyjątkowo jak na siebie poirytowany - oświadczył:

- Jutro od samego rana przetrząsnę całą willę tej Sarrazin od piwnicy aż po dach. Niemożliwe, żeby taka organizacja nie miała żadnych papierów, żadnych notatników, list czy diabli wiedzą czego!

- Słusznie - powiedział Picard.

Ale ani jeden, ani drugi nie zdążyli wyciągnąć dalszych wniosków. W drzwiach pojawił się woźny z kartką w ręku.

- Nie chciałem wchodzić w czasie przesłuchania, panie komisarzu. Ten człowiek powiedział mi, że to nic pilnego.

„Nazwisko: Francois Bocheny. Sprawa: Zgon panny Ché-nelong”. Picard zatarł ręce z zadowolenia.

- To Francois! „A więc...” Wprowadzić.

Wszedł Francois. Wyglądał żałośnie, mimo uśmiechu, który blizna biegnąca z lewej strony od ust ku środkowi policzka zamieniała raczej w wyraz przerażenia. Mimo to był pięknym chłopcem, choć w sposób widoczny nie przywiązywał do tego wagi. Był w wieku Jean-Marca i tej samej co on budowy. Wyrażał się starannie, a w głosie jego wyczuwało się wzruszenie.

- Nie wiem, czy dobrze postąpiłem przychodząc do pana. Na dole zapewniono mnie, że tak. Poza tym jest już późno. Jeśli pan sobie życzy, mogę przyjść kiedy indziej.

- U nas pora nie gra roli, panie Bocheny. Ma pan akurat szczęście, że jest tu pan komisarz Beiot, który zajmuje się sprawą mającą ścisły związek ze śmiercią panny Chenelong.

Młody człowiek uklonił się Belotowi, który w ostatniej chwili powstrzymał się, żeby mu nie odpowiedzieć takim samym krzywym uśmiechem.

- Jej śmierć to moja wina, proszę panów. Jestem za nią odpowiedzialny. Ani przez sekundę nie pomyślałem, że w stanie, w jakim się znajdowała, proponowanie jej tego lekarstwa jest czystym szaleństwem. W każdym razie nie powinienem był zostawiać jej całej fiolki - prawie pełnej!

- A może rzuciłaby się przez okno - powiedział Picard, by go uspokoić. - Mimo że oplakujemy ją razem z panem, to ani jej śmierć, ani pańskie skrupuły nas w tej chwili nie interesują. Interesuje nas to, co się zdarzyło przed tym. Najpierw proszę nam powiedzieć, z jakiego źródła dowiedział się pan o jej śmierci?



- Przed chwilą do niej zaszedłem. Chciałem zobaczyć, jak przeżyła wizytę... tutaj, i zabrać ją znów na obiad. Przed domem natknąłem się na policjanta, ale nie przywiązywałem do tego żadnej wagi, dopóki nie zobaczyłem pieczęci na drzwiach. Podeszedłem do dozorczyńi, powiedziała mi, że odwieziono ją do Cochin - nazwy szpitala dowiedziała się od noszowego z karetki. Pojechałem tam. Mój wuj jest w tym szpitalu chirurgiem, stąd znam jednego internistę, który akurat miał dyżur i poszedł się o nią dowiedzieć. Otruła się moim lekarstwem! Pomyślałem więc, że muszę natychmiast tu przyjść, wszystko wyjaśnić, wziąć winę na siebie...

- Więc dzisiaj jej pan nie widział?

- Nie. To przeze mnie, tak, przeze mnie!

- Najlepiej, jeśli powie pan wszystko po kolei - rzekł Picard.

- Nie mogę się pozbierać, taki jestem nieszczęśliwy... - Zupełnie jak Simon, pomyślał Belot. - Bardzo kochałem pannę Chenelong. Ona traktowała mnie jak przyjaciela, nie darzyła mnie uczuciem, ale nie traciłem nadziei, że kiedyś je zdobędę. Jeszcze do wczoraj myślałem, że to przez tę bliznę - wypadek w dzieciństwie - uważałem to za całkiem naturalne, trudno zapanować nad tego rodzaju reakcjami. Ale wczoraj zrozumiałem, że chodzi o coś zupełnie innego. Nie miałem do niej żalu. To i tak cudowne, że byłem u niej na wyjątkowych prawach. Miała wspaniały stosunek do świata, ludzi, wydarzeń i niezwykle sposób myślenia. I poczucie humoru... Poznałem ją na uniwersytecie. Wygłaszałem referat i kiedy skończyłem, podeszła do mnie. Zaprosiłem ją do kawiarni, gdzie odbyliśmy namiętną dyskusję; patrzyłem w jej błyszczące oczy i od tej chwili wiedziałem, że...

Przerwał i przygryzł policzek, ten z blizną - nie dodawało mu to urody, ale pomagało się opanować.

- Wczoraj rano, przeglądając gazetę, nie zwróciłem uwagi na zabójstwo w Neuilly, sprawy kryminalne w ogóle mnie nie interesują - powiedział przeproszającym tonem. - Zresztą nigdy nie słyszałem, żeby mówiła o tym Jean-Marcu. Czy to jemu, zanim tu wszedłem, strażnik zakładał przed drzwiami kajdanki?

- Tak - odpowiedział Picard.

- Ale dlaczego? On jest niewinny! Mogę tego dowieść!

- Jest aresztowany pod zarzutem fałszowania obrazów. Ta nieoczekiwana informacja pozwoliła mu nabrać pewnego dystansu do własnego nieszczęścia.

- Ja mówiłem o zabójstwie.

- Rozumiemy. Proszę mówić.

- Więc wczoraj po południu miałem się z nią spotkać. Przyszedłem trochę później, niż było umówione. Właśnie wyszedł od niej jeden z inspektorów. Wyglądała strasznie. Była blada, trupio blada i jakby nieobecna. Siedziała w kącie tapczanu. Powiedziała: „To ty, Francois”, tak jak stwierdza się coś całkiem oczywistego, ale co w danym momencie nie ma żadnego znaczenia. Wstała, zaczęła chodzić tam i z powrotem, przyciskając ręce do piersi, potem mówiła, mówiła, mówiła. Nie zwracała się przy tym ani do mnie, ani do siebie, ani właściwie do nikogo, po prostu mówiła. Zastanawiałem się nawet, czy nie można od tego umrzeć - kiedy słowa wylewają się z człowieka jak krwotok. Nie od razu zrozumiałem, do kogo ma pretensje: „Śmiał powiedzieć, że przychodzi w imieniu Jean-Marca Berger! Jean-Marca!” To chodziło o inspektora. Powtarzała w kółko całą ich rozmowę. Znaście ją, panowie, z pewnością.

- To nieważne - powiedział Picard. - Chcielibyśmy ją poznać również w wersji panny Chenelong.

Pamięć Francois Bocheny była równie precyzyjna, jak pamięć Simona Riiere. Picard i Beiot mieli okazję przekonać się o dokładności jego raportu, jak i - mimo jej wzburzenia - o uczciwości dziewczyny. Obecny narrator nic od siebie nie dodał, ani nie zrobił żadnej uwagi, dorzucił tylko:

- Dowiedziałem się jednocześnie: o zbrodni, o obciętej ręce, o walizce, o stosunku Augusty z tym Jean-Markiem, którego nie przestała dotąd kochać... Nie powiedziała tego, ale było to aż nazbyt widoczne...

Francois podjął opowiadanie. Augusta dostała list od babci. Śledziła Jean-Marca. Zatelefonowała do Huguette Sarrazin. Pojechała do niej. Stały naprzeciw siebie. W tym momencie Belot wyteżył całą uwagę łączywie chłonąc każde słowo. Huguette na koniec zagroziła Augustcie: „Proszę stąd wyjść! Jeśli Jean-Markowi przytrafi się coś złego, będę wiedziała, czyja to sprawa!” Belot i Picard ledwo się powstrzymali, aby nie powiedzieć razem: „A więc...” Niech już to powie, na litość boską! Skoro doszedł do tego miejsca, niech już wykrztusi! Nie.

- Augusta stanęła przede mną. Położyła mi ręce na ramionach, spojrzała mi prosto w oczy tym swoim niewidzącym wzrokiem i pozostała tak przez chwilę, jakby chcąc podkreślić

wagę tego, co nastąpi. Powiedziała: „Naturalnie nie mogłam sobie nawet wyobrazić, że coś może się przydarzyć Jean-Markowi. Była to nienawiść do mnie, w której jednak kryło się coś niezwykłego. A więc...”

Picard i Belot doznali jednocześnie tej samej dojmującej rozkoszy - dowiedzą się wreszcie, Francois, niczego nie podejrzewając, cytował dalej:

- ...”zrozumiałam, jak bardzo go kochała i że może dla niego zrobić wszystko to, czego nie jest w stanie dokonać żadna prowincjuszka ze względu na brak środków i stosunków. Nie zdawałam sobie nawet sprawy, czy on jeszcze tak bardzo mnie obchodzi. Jednego byłam pewna; ja zniknęłam z jego życia raz na zawsze”.

I to wszystko? Belot i Picard, unikając wzajemnie swego wzroku, czekali końca opowiadania bez najmniejszej nadziei na coś zaskakującego... I rzeczywiście. Pod koniec Augusta wpadła w rozpacz. „Powinnam była ich uprzedzić, że mnie więcej nie zobaczą, że mogą żyć ze sobą spokojnie i szczęśliwie, jak długo zechcą! A tymczasem ktoś, kto usłyszał, jak o tym rozmawiali, ktoś z jej otoczenia, tak samo zdradzony jak ja, kto jednak nie zrezygnował jak ja, ten ktoś to wszystko uknuł. I z tą ręką, z tą ręką... A teraz Jean-Marc może myśleć, że za to wszystko odpowiedzialna jestem ja!”

- Jak miałem ją uspokoić? - powiedział Francois. - Próbowałem ją namówić, żeby usiadła, zarzuciłem jej na ramiona kurtkę. Nie mogłem znaleźć żadnego słowa, które by jakoś dobrze na nią podziało. Powtarzała dzwoniąc zębami: „Jutro nas skonfrontują. Już jutro? Oskarży mnie, on mnie oskarży i będzie miał rację!” Dosłownie odchodziła od zmysłów. Zrobiłem coś, czego nigdy sobie nie wybaczę. Wyjąłem tubkę z lekarstwem, żeby dać jej jedną pastylkę. Nagle uspokoiła się i powiedziała: „Nie, zostaw mi je, zażyję przed snem”. Zaproponowałem jej, żebyśmy poszli na obiad. Zgodziła się i powiedziała nawet, że pójdzie się umalować i przebrać. Zapewniam panów, że w restauracji robiła wrażenie zupełnie spokojnej. Nie miała wprawdzie apetytu, ledwie coś tam dziobnęła, ale rozmawiała normalnie o wszystkim, jak zawsze. Chciała tylko jak najwcześniej wracać. Przed drzwiami swego domu powiedziała: „Dziękuję Francois. Bardzo ci dziękuję”. Zaproponowałem jej, że z nią tu dziś przyjdę. Powiedziała: „Nie, to nie będzie konieczne”. Kiedy ją pożegnałem, byłem z siebie dumny, wierzyłem, że udało mi się dokonać cudu. To straszne.

- Zdradziła pańskie zaufanie - powiedział Picard.

- O, nie, proszę pana. Zdradzić można tylko tego, kogo się kocha. Najważniejsze jest teraz co innego. Czy miała rację uważając się za winną?

- Absolutnie nie. - Picard zwrócił się do Belota: - Ma, pan jakieś pytania?

- Żadnych.

Francois odruchowo wstał z krzesła. Miał jeszcze bardziej bezradny wyraz twarzy, niż kiedy tu wchodził. Picard wskazał na Truflota.

- Czy zechciałby pan pójść z tym panem i podać mu dokładne dane personalne? Może jeszcze będzie nam pan potrzebny jako świadek. Dziękujemy, że pan przyszedł z własnej inicjatywy.

- Podczas naszych międzynarodowych konferencji - rzekł Picard do Belota, kiedy zostali sami - często spotykałem jednego kolegę z Włoch, który zawsze kiedy miał do czynienia z przykładem szczególnej głupoty ze strony przestępcy, ofiary czy policjanta, mawiał: „Od takiej głupoty się umiera”. Biedna Augusta potwierdziła to w całej rozciągłości. Kiedy sobie pomyślę, że poruszylibym niebo i ziemię, żeby wyjaśnić to „A więc...” - diabli mnie biorą! Tyle czasu poszło na marne.

- Mam na to odmienny pogląd - powiedział Belot. - Jestem pod silnym wrażeniem uczucia, jakie ten chłopak wzbudził w tych obu nie żyjących kobietach. Jest kłamcą, egoistą, mięczakiem, to prawda; ale jednocześnie jest w nim jakaś prostolinijność. Niezłe były te jego kobiety.

- Zwłaszcza panna Sarrazin! Inspiratorka fałszerstw! Oszustka najwyższej klasy! To mi przypomniało, że lada chwila zjawi się tu - prasa.

- Jestem pewien, że Jean-Marc mówi prawdę twierdząc, że Huguette Sarrazin miała już dość tych falsyfikatów, bez względu na to, czym kierowała się na początku nawiązując z nim romans. I to było przyczyną jej śmierci.

Picard z przesadnym szacunkiem skłonił głowę.

- Twoja intuicja budzi podziw w całej naszej „wielkiej rodzinie”. Ale w tej sprawie przydałby się jeden maleńki dowodzik natury czysto materialnej.

Belot powiedział do siebie:

- Dwie nieprzeciętne kobiety. - I dodał: - Nie licząc babci.

## XI

### *Lion wkracza do Paryża, a Paryż na Montmartre*

#### 1

...I nie licząc niejakej pani B., nad którą zastanawiała się babcia wsiadłszy do paryskiego pociągu, tego, który poprzedniej nocy wioził Jean-Marca pod eskortą dwóch aniołów-stróżów. Udawała, że śpi, chcąc uniknąć spojrzeń dwojga wielkich, przerażonych oczu pana Chenelonga, który w mętym świetle lampy nocnej nie odrywał od niej wzroku. Kilka godzin temu, bez płaszcza i bez kapelusza, wpadł na ulicę Dumont i zadzwoniwszy uprzednio hałaśliwie do drzwi, ryknął jak dzikie zwierzę: „Pani Berger! Pani Berger! To Augusta zamordowała tę kobietę w Neuilly! I sama też się zabiła!” Za nim, na progu, stał komisarz Thevenet, ten sam, który nie pozwolił jej skomunikować się z wnukiem, a za to teraz uważał za swój obowiązek przyprowadzić jej tego nieszczęsnego ojca. Powtarzał w kółko: „Niech pan tak nie mówi, panie Chenelong! Słowa tego nieszczęśliwego dziecka nic nie znaczą! Niech mu pani to powie, proszę mu powiedzieć!”

Ależ oczywiście! Augusta nie może być przestępczynią! Mogła co najwyżej popełnić jakąś nieostrożność, która źle się skończyła. Ale to nie było to, co on chciałby usłyszeć. A co miałam powiedzieć? Że to nie może być ona? Dlatego, że co? Uwzięły się na Jean-Marca te łobuzy z policji! A jeszcze ta uprzedzająco grzeczna obłuda ich paryskich koleżków! Belot! Fryderyk Belot. Wykorzystuje nawet swój czas osobisty okazując względy takiej starej kobiecie jak ja! Biedny ten Chenelong. Do czego to człowiek może się doprowadzić... Tak nisko upaść. Człowiek o takiej pozycji, taka gruba ryba. Gryzł pięści, nie słuchał niczego ani nikogo. „Moja żona tego nie przeżyje!” Przeżyje, przeżyje, ma brata lekarza. Może to nieładnie tak myśleć, ale Emilii to dobrze zrobiło. Nikt nie lubi, gdy tylko na niego wałą się nieszczęścia. Oplakując śmierć Augusty porównywała nasz los z losem jeszcze bardziej od nas doświadczonej rodziny. My nie jesteśmy w żałobie nawet po synowej. Ktoś uprzedził wypadki.

Babcia uniosła powieki zaledwie na tyle, aby stwierdzić, że jej towarzysz podróży się nie poruszył, po czym na nowo pogrzyżyła się w rozmyślaniach. „Pani Berger! Pani Berger! Proszę mnie nie opuszczać, proszę pojechać ze mną do Paryża! Przecież to Jean-Marca ona prosiła o przebaczenie, proszę jechać ze mną, razem pójdziemy się z nim zobaczyć”! Czy będzie na dworcu? Dlaczegoż by nie? A z drugiej strony, jeśli przypuszczenia tego Fryderyka są trafne? Jeśli zbrodniarz czy zbrodniarze zechcą pozbyć się teraz Jean-Marca? W jakie on wlaź środowisko? Po co te rachunki, ten notatnik? W poniedziałek na Ulicy Vauban na pewno kazano mu opróżnić kieszenie. Musiał go mocno zdziwić brak notesu. Czy myśli, że

go zgubił? Chyba raczej że ktoś z nas przetrząsnął mu kieszenie, kiedy zemdlał. Na przykład babcia. Nie jechałabym przecież, gdybym nie znalazła tego notesu. Muszę pokazać go Fryderykowi, to mój obowiązek. „Złożone u pani B.” Kto to jest ta pani B.? Czemu nie panna S.? Czy te pieniądze były od niej? Czyżby był na jej utrzymaniu? Jean-Marc to piękny chłopiec i trzydziestoparoletnia milionerka z Paryża uważała pewnie, że to całkiem naturalne, jeśli mu coś niecoś odpali! Czyżby W takim razie pani B. była powierniczką, pośredniczką, a może prawdziwą damą serca? Nie, po tym, co nam mówił o swoim przyszłym małżeństwie, to chyba nie. Pani B. - to może być bank! On kłamie często, ale nigdy chytrze. Kłamie, żeby się obronić. Nie szuka natomiast oparcia w rodzinie, zanadto nami pogardza.

Pociąg mknął dalej. Chenelong z pewnością chciałby umrzeć; zastanawiała się, jakby zareagował, gdyby teraz wstała, zamknęła mu oczy i usiadła z powrotem. Ostatnie godziny wywołały u niej obsesję. Chwilami potrafiła się od niej wyzwolić - na przykład przed chwilą - ale całkiem już się chyba nie wyzwoli, mimo że ktoś poinformowany (Fryderyk) zapewniał ją, że to przejdzie. Ten jej list. Jej list do Augusty. Gdyby Chenelong o nim wiedział, nigdy by nie zaproponował, żeby z nim jechała. Jej list o kocim oczku. „Mam nadzieję, że spodobał ci się pierścionek od Jean-Marca...” Może jeszcze wtedy między Jean-Markiem a tą Sarrazin nie było nic poważnego; po prostu jakiś kaprys, przygoda, która nie przeszkodziłaby mu wrócić do Augusty, może zresztą ycale nie odszedł, dzisiejsi młodzi ludzie nie mają tego rodzaju skrupułów - dawniej też nie mieli, ale przynajmniej stwarzali pozory. Czyżby list wszystko przyspieszył? Nie! Nie chcę; w to wierzyć! Tak się tylko zastanawia!

Jean-Marc nami wszystkimi gardzi. Nawet mną. Ale mnie się przynajmniej boi, bo trzymam go krótko, jak całą resztę, a on jest tchórzem jak cała reszta. Tylko, że on jest tchórzem, który się buntuje, a reszta to tchórze szczęśliwi, ulegli. Zdolni do odwagi tylko wobec wroga na froncie - dali tego dowody - ale matka, szef, firma, pan Couzon, Zakłady Jedwabnicze Saint-Polycarpe! O... to całkiem co innego, co to, to nie! Lubią czuć się niewolnikami, za kostkę cukru gotowi się czołgać. I Jean-Marc gardzi mną dlatego, że nie zrobiłam nic, żeby stali się inni. Myli się, zrobiłam wszystko, co było w mojej mocy. Ale oni nie są wyłącznie moim dziełem. Całe moje nadzieje pokładam we wnukach. Z Marii-Luizy będzie pociecha - z dziewczyną jest łatwiej. Ale z Jean-Markiem to całkiem inna para kaloszy. On też lubi dostać kostkę cukru, i to nie jedną, ale bez dziękowania; uważa, że mu się należy od tych, co mają za dużo. Trzymam go krótko, ale inaczej niż resztę. Niech się broni, niech wierzga. Jego prawo, ma talent. A może on te pieniądze po prostu zarobił? Obrazy można dobrze sprzedać, kiedy się ma już nazwisko. A ta Sarrazin mogła mu to ułatwić. Lubię jego malarstwo. Gdyby nie ja, nie byłby w Paryżu.

Około drugiej nad ranem spytała Chenelonga głosem cichym i współczującym, na wypadek, gdyby chciał jej odmówić:

- Zje pan kanapkę z szynką czy z anchois?

Jak biegacz na finiszu musi zaczerpnąć powietrza, tak on po swoim bezruchu odetchnął najpierw głęboko, potem spokojniej. Wyraz jego oczu nie wskazywał na to, że powrócił do rzeczywistości.

- Wolałbym coś słodkiego.

On też chciałby kostkę cukru, biedaczek - powiedziała do siebie - on też. Położyła na kolanach torbę, całkiem nową, którą kupiła po stracie swojej walizeczki, i wyjęła z niej kawałek piernika upieczonego wczoraj przez Emilię z myślą o Jean-Marku.

## 2

We wtorek, wczesnym rankiem, Blondel i Tou-ssaint przyjechali służbowym wozem po Gisele na ulicę de la Ferme. Przy okazji przekazali Malicorne'owi rozkazy - rano zapowiadał się ciężki: o dziewiątej pan Malebranche przybędzie osobiście w towarzystwie Belota, aby przyjąć ekspertów, o dziewiątej trzydzieści Malicorne ma puścić w ruch ekipę „przetrasaczy”. Gisele, uprzedzona telefonicznie, była już gotowa, ale nadęta. W samochodzie powiedziała:

- Mimo wszystko moglibyście dać mi się wyspać.

- Nawzajem - odparł Blondel.

- I dokąd to mnie wieziecie?

- Do pani, ślicznotko.

- Do mnie? do Coulommiers?

- Do pani na Fondary. Jeśli nie ma pani klucza, jakoś sobie damy radę.

Nie zmieniając tonu, powiedziała:

- Na szczęście mam! Wszystko wyniuchacie!

- Mamy dobry węch.

- Nie mam nic do ukrywania, zresztą to moja osobista sprawa. Nic nie znajdziecie. Zamiast męczyć uczciwą, niewinną dziewczynę, lepiej poszukalibyście mordercy panienki.

- A może jest u pani?

Gisele zrobiła się czerwona jak burak.

- To szkaradnie tak mówić.

Wcisnęła się w kąt, zdecydowana nie odezwać się już ani słowem. Wszystkim było to na rękę. Toussaint i kierowca Lacroix rozmawiali o nadchodzących Świętach Wielkanocnych.

W starej kamienicy na Fondary okna dozorczyńni były jeszcze zasłonięte kotarą. Klatka schodowa lśniła czystością. Mieszkanie Gisele znajdowało się na trzecim piętrze. Zaświecili światło: dwa pokoje i kuchnia wychodzące na podwórze, dobrze utrzymane, urządzone masywnymi, jak ich właścicielka, meblami, zakupionymi na raty z wieloletnią gwarancją. Unosił się tu zapach politory, a w toalecie środka odwaniającego w dobrym gatunku. Na półce kilka książek i liczne ozdóbki. Całość robiła wrażenie niezamieszkanego.

- No dobrze - powiedział Blondel - bierzemy się do roboty.

- Do jakiej roboty? - spytała Gisele. - Przecież nie ma tu waszego mordercy!

Blondel otworzył drzwi największej szafy. Toussaint spostrzegł, że wytrzeszczone oczy Gisele nabierają tego samego wyrazu co podczas ich wczorajszej wizyty w jej pokoju w Neuilly. I od razu, po lewej stronie, między dwoma ręcznikami, na wysokości swojej twarzy Blondel zauważył małe kwadratowe puzderko, szwedzkie rękawiczki, prawie nowe, oraz posrebrzaną pozytywkę - dziecinną zabawkę w kształcie miniaturowego kubelka od szampana.

Gisele opadła na krzesło i powiedziała:

- No tak...

- Właśnie - rzekł Blondel, wyjmując swój lup - samo to tu nie przywędrowało!

Położył na stole rękawiczki i pozytywkę, aby otworzyć puzderko. Sądząc po rozmiarze, mógł się tam znajdować tylko jeden pierścionek, i to skromny. Ale nie był to skromny pierścionek. Mimo że światło u sufitu było raczej nikle, diament pokazał swoje możliwości. Toussaint powiedział:

- Panno Gisele, czy taki wielki diament nie nazywa się przypadkiem soliter?

Uniosła brwi, a kąciki jej ust opadły.

- To jeszcze nie w porównaniu z tym, który panienka często nosiła... Ja... ja jeszcze u nikogo nic nie ukradłam!

- W takim razie zrobiła pani dobry początek - powiedział Blondel, zamykając pudełeczko i chowając je do kieszeni. - Zapewne i to... - nie wiedział, jak nazwać pozostałe przedmioty - również jest własnością panny Sarrazin?

- Och, tak, tak - powiedziała Gisele. - Tak byłam skołowana, że zabrałam to, sama nie wiedząc, co robię. Niech pan patrzy na te rękawiczki! Mogą mieć rozmiar najwyżej sześć i pół, a ja noszę prawie osiem. Dla mnie one są na nic!

- Mniejsza o rękawiczki - powiedział Blondel. - Ale taki pierścionek może pani zapewnić długi pobyt z dala od ludzi. Miałem, rzecz jasna, na myśli podróż.

Toussaint, chcąc zbadać pozytywkę, spytał Blondeła:



- Jak z odciskami palców?
- Jest ich pewnie na tym tyle, że możemy dołożyć i swoje.
- Widzę tu napis - rzekł Toussaint - „Kaczka Dziwaczka”.

Pokręcił wolno korbką. Trzy nutki zadźwięczały z początku nieśmiało, a kiedy pokręcił szybciej, zabrzmiały skocznie. I znów wolno, nieśmiało, melancholijnie. Gisele nie wytrzymała nerwowo i wybuchnęła płaczem.

- Wszystkie te cudeńka wały się po ziemi! W ostatni poniedziałek, zaraz po przyjeździe pana Belota i tamtych panów. Kiedy oni zajęli się panienką, poszłam na górę. Chciałam przekonać się, czy na pierwszym piętrze jest wszystko w porządku, a potem zesłam, żeby powiedzieć, w jakim stanie znajduje się pokój. I chyba wtedy wzięłam to razem z rękawiczkami.

- Co? - spytał Blondel - zabawkę?

- Nie, pudełeczko. Źle zrobiłam! Umarli to rzecz święta! Chciałam mieć po niej jakąś pamiątkę - spojrzała na inspektora błagalnym wzrokiem. - Czy nie mogę tego oddać?

- Spyta pani o to naszych przełożonych. Jeszcze może tu pani mieć niejedną pamiątkę z tej czy z innych posad. Przy tym pani zamiłowaniu do myszkowania... Później to sprawdzimy.

Gisele przerwała mu:

- Przysięgam na głowę mojej matki! Oprócz kilku ręczników...

Blondel usiadł i wziął do ręki zabaweczkę.

- Powiedziałem: później. Teraz chciałbym dowiedzieć się czegoś więcej o tym instrumenciku. Czy znajdował się pomiędzy rzeczami wyrzuconymi z szafy?

Toussaint zaglądał mu przez ramię. Była to imitacja wytłaczanego srebra, pomyślana w ten sposób, że tło robiło wrażenie, jakby było usiane bąbelkami. Pośrodku znajdowała się tarcza z napisem.

- To reklamówka - powiedział Toussaint. Blondel zabrał się do przesłuchania.

- Czy panna Sarrazin przechowywała to... wśród pamiątek?

- Nie, panie inspektorze - odpowiedziała Gisele dając do zrozumienia, że zrobiłaby teraz wszystko, żeby dopomóc sprawiedliwości. - To leżało w innym miejscu. W niedzielę rano zaniósłam panience śniadanie. Zazwyczaj natychmiast się budziła i patrzyła na zegarek. Nie widziałam nikogo tak dokładnego jak ona. Ale w niedzielę nie mogła się rozbudzić...

- Była chora?

- Nie. Tylko musiała wrócić chyba późno w nocy, nawet nie słyszałam, spałam już. W sobotę wyszła po kolacji w jednej ze swoich najbardziej wydekoltowanych sukienek. Po

powrocie rozbierała się pewnie na chybcika, byle jak, bo wszystko było porzucane: sukienka, pończochy, koszula, nawet pantofel znalazłam pod komodą - i to ona, taka akuratna! Wszędzie poniewierały się balowe drobiazgi, torebka z kulkami w różnych kolorach, rulonik serpentyny i takie tam różności!

- Czy mówiła pani, dokąd się wybiera?

- Nigdy mi nie mówiła.

- Wyszła sama?

- Tak, panie inspektorze, pojechała swoim małym samochodem.

- I wróciła też sama?

- Mogę tylko powiedzieć, że rano była sama, jak zwykle.

- A co się stało z tymi kotylionami?

- Kazała mi je spalić.

- Gdzie?

- W kuchence!

- Zrobiła to pani?

- Oczywiście! Wszystko, oprócz tej pozytywki. Znalazłam ją później, kiedy już wstała. Pod komodą. To by się źle paliło. A poza tym było ładne.

- Reklamówka nocnego lokalu - powiedział Toussaint. Blondel zagrał na instrumencie skoczne nutki.

- Ma pani ekscentryczny gust, panno Gisele. - Nie zrozumiała i spuściła głowę. - W tym szczególnym wypadku należą się pani, być może, gratulacje.

### 3

Mimo że przesłuchanie na Quai des Orfevres odbywało się w obecności Belota, nie przyniosło ono żadnych szczególnych rezultatów. Chociaż dwaj młodzi inspektorzy zapewniali, że ta kradzież nie była jedyną - aczkolwiek poprzednie mogły nie być tak owocne - mimo to jednak Gisele nie wzbudziła w komisarzu żadnego zainteresowania. Pasjonował go instrumencie i sobotni wieczór. Połączył się z obyczajówką. Kwadrans później pojawił się Vavasseur. Był w obyczajówce od wielu lat. Specjalność: sfery wyższe. Rzec można dyplomata; dano mu nawet przydomek Cygaro.

- Chciałby pan usłyszeć coś o „Kacze Dziwacze”. Nic prostszego, byłem na otwarciu. Prywatnie. Szef lokalu przysłał do Wydziału dwa zaproszenia. Kosztowny gest, biorąc pod uwagę ceny kolacji. Losowaliśmy, wypadło na mnie, więc poszedłem z jedną znajomą, która uwielbia eleganckie lokale. Była mi bardzo wdzięczna. Lokal mieści się na rogu ulic: des Martyrs i Condorcet.

- A jakim to dziwactwem odznacza się ten lokal? Coś dla pań, panów czy narkomanów? Co pan tam widział?

- Znakomity spektakl. Gwóźdź programu: Giną Hermann - to jest coś! Moja żona ma wszystkie jej płyty. - Za to nie ma dość eleganckiej sukni wieczorowej, żeby pokazać się w takim lokalu, pomyślał Belot. - Około pierwszej nad ranem dostaliśmy kwiaty, prezenty, kotyliony. Tańczyło się przy orkiestrze jazzowej z Londynu. Goście: same wyższe sfery.

- Kto jest właścicielem?

- To spółka handlowa. Na jej czele stoi taki jeden facet. Nazywa się Mercier. Prowadził już przedtem podobne lokale, zawsze bardzo wykwintne, bardzo drogie i właśnie bez żadnych dziwactw. W sobotę był przegląd wielkiego Paryża: gwiazdy, artyści, światowcy, dwóch członków Akademii.

- Jacy artyści? Malarze?

- A pisarze to nie artyści? Jednego rozpoznałem.

- A tę osobę widział pan? - spytał Belot, pokazując mu fotografię Huguette Sarrazin w kostiumie kąpielowym.

- To nawet niegłupie: pokazać człowiekowi fotografię kobiety w stroju kąpielowym, żeby się dowiedzieć, czy ją widział prawie naga... O, przepraszam, panie komisarzu! Tak, widziałem ją. Nie znam jej, ale ją widziałem. Czy może pan uchylić rąbka tajemnicy?

- Huguette Sarrazin, zamordowana nazajutrz po tym w swojej willi w Neuilly.

- Żarty na bok! - zawołał Vavasseur. - Ręka w walizce? Nigdy bym jej nie poznał ze zdjęć, które zamieściły gazety. Przyszła sama, zaraz po nas. Siadła przy zarezerwowanym stoliku, gdzie było tylko jedno nakrycie. To zwraca uwagę. Moja znajoma zachwycała się nią. Kłaniały jej się różne osobistości. Potem przysiadła się do dużego stołu, gdzie było liczne towarzystwo. Mercier zajmował się nią, ale nie więcej niż innymi. Piła sporo i robiła wrażenie trochę podnieconej i niespokojnej. Wyszliśmy przed nią.

- Trzeba mieć chyba jakieś stosunki z właścicielem, żeby móc sobie pozwolić na zarezerwowanie stolika tylko dla siebie w lokalu tej kategorii. - Belot spojrział na zegarek. - Muszą teraz jechać na Dworzec Lioński po ojca tej małej, co to wczoraj odebrała sobie życie.

- Czytałem o tym - rzekł Vavasieur.

- Simon odprowadzi go zaraz do Cochina, a ja... o której godzinie zamykają ten lokal?

- O siódmej rano, po wyjściu wszystkich klientów. Mercier chyba zostaje trochę dłużej, żeby sprawdzić rachunki i wydać polecenia. Zastanawiam się, czy nie urządził sobie na górze jakiegoś mieszkanca.

- Kawaler?

- Tak.

- Będę chyba musiał tam skoczyć przed rozpoczęciem posiedzenia ekspertów na ulicy de la Ferme.

- Tym razem beze mnie - rzekł Vavasieur.

- Nie ma pan czego żałować - powiedział Belot. - Błądzą zupełnie po omacku.

#### 4

Belot, w oczekiwaniu nieszczęśliwego Chenelonga, stał przy lokomotywie, która zatrzymała się z tak kolosalnym wysiłkiem, jakby to nie wynikało z jej rozkładu jazdy, lecz z utraty sił. Tłum był dość gęsty, a Chenelong niewysoki.

- Ten cały w czerni, to on - powiedział Belot do Simona. Zrobił krok naprzód.

- O, pan Belot! - zawołał Chenelong, wyciągając ku niemu ręce. Można by pomyśleć, że to podróżnik, który odnalazł utraconego przed laty przyjaciela. - Sam się pan pofatygował! Niech mi pan powie: przecież to niemożliwa, żeby w mojej rodzinie był morderca, prawda? Żeby moja córka zabiła? Coś ją chyba tylko opętało?!

Ludzie zwalniali-kroku i patrzyli na nich ciekawie.

- Ależ oczywiście - powiedział Belot z przekonaniem - naturalnie. To wielkie nieszczęście, ale tylko nieszczęście.

Ktoś stojący za Chenelongiem, ktoś jeszcze od niego niższy, dołączył do nich, aby nie pozostać w tyle. - Dzień dobry, panie komisarzu.

- Pani Berger!

Belot był szczerze zaskoczony. Po liście do Augusty... Oby tylko Chenelong nie znalazł go w papierach swojej córki! Nie, przecież go spaliła. Simon na pewno w tej chwili pomyślał o tym samym. Trzeba go przedstawić. Nie zdążył jednak, gdyż babcia nie wyjaśniając bynajmniej swojej obecności, zapytała:

- Nie ma Jean-Marca? Wciąż go pan trzyma jeszcze pod kluczem jak jakiś skarb?

Co za uparta diablica. Niech więc ma za swoje!

- Jest w areszcie, proszę pani. Pod zarzutem fałszerstwa obrazów.

I nie czekając na efekt swoich słów, zwrócił się do Chene-longa:

- To jest inspektor Riviere, oddaję go do pańskiej dyspozycji. Odwiezie pana...

Nagle, po raz pierwszy, odczuł potrzebę wyjścia poza ramy urzędowych stosunków.

Powiedział.

- Simon Riviere jest moim chrześniakiem, traktuję go jak syna. Trochę znał pańską córkę i miał dla niej wiele podziwu.

Chenelong jęknął, nie śmiał podnieść oczu. Ruszył uwieszony ramienia Belota. Babcia szła za nimi, obok Simona. Wytrzymała cios, uznając, że wymagają tego okoliczności. Za chwilę, kiedy ci dwaj odjadą, rozprawię się z tym brutalem.

Od pewnego czasu przypatrywała się swemu towarzyszowi, bynajmniej nie ukradkiem, i wreszcie zapytała go na tyle cicho, aby zmusić go do pochylenia się.

- Czy z Augustą widział się pan w tej sprawie?

- Tak, proszę pani.

- A czy typowa dla pańskiego zawodu subtelność nie przyczyniła się do jej ostatecznej decyzji?

Nie wolno mi zaczerwienić się - powiedział sobie w duchu Simon - pomyśli, że to ze wstydu. Zaczerwienił się jednak, a ona pomyślała, że to ze złości, i pogratulowała sobie zemsty. A to było ze wstydu.

- Czy chce pani towarzyszyć panu Chenelongowi?

- Nie proszę pana. On już ma opiekę.

- Proszę mi wybaczyć, że nie mogę jechać z panem, ale dziś rano nie mam ani chwili wolnej. - Aluzja do mnie, pomyślała babcia, ale nic z tego, nie wymknie mi się. - Możemy spotkać się po południu, gdzie i kiedy pan zechce.

- Odwrotnie, gdzie i kiedy pan zechce - powiedział Chenelong. - Nie powinien pan tracić ani sekundy w poszukiwaniu zbrodniarza, który - jeśli to nie ona zrobiła - zabił również moją córkę. Ode mnie, niestety, niczego się pan nie dowie.

Chenelong wsiadł z Simonem do auta. Belot stał obok babci Zwiewam - pomyślał. Babcia odezwała się:

- A ode mnie tak. Spojrzał na nią.

- Co tak?

- Ode mnie się pan czegoś dowie. Tylko po to przyjechałam do Paryża - i posyłając mu zimne spojrzenie dodała: - Fryderyku.

Belot ani drgnął, ale nie zdołał zachować całkowitej obojętności.

- Pięć minut - powiedział.

- Wystarczy.

- Poprosimy o gościnę na posterunku dworcowym. Przyjęli ich, dali im miejsce i zostawili samych. Babcia wyjęła z torebki notes i otworzyła na odpowiedniej stronie.

- Rachunki mego wnuka.

Ogarnął wzrokiem ogólną sumę i zawołał:

- A to szelma! Kto to jest pani B.?

- Właśnie chciałam pana o to spytać.

- Oczywiście ktoś, kto mieszka w Paryżu, a komu mógł oddać każdą sumę bez pośredników i bez pokwitowania. Nie zna tu pani nikogo, czyje nazwisko zaczyna się na B?

- Nikogo. Poza panem.

Belot nie mógł powstrzymać uśmiechu: Babcia odpowiedziała mu tym samym.

- Spytamy go o to. Wykręca się cały czas, kłamie jak z nut, ale kiedy widzi, że coś wiemy, daje za wygraną.

- Zdziwi się, kiedy zobaczy ten notes w pańskim ręku. Niech mu pan powie, że dostał go pan ode mnie. Że dałam go panu sama.

- Może będzie uważał to za zdradę?

- Proszę opowiedzieć mi tę historię z fałszerstwem.

- Nie będzie to miłe.

Babcia nic nie odrzekła, słuchała z właściwym sobie niewzruszonym wyrazem twarzy. Po nocy spędzonej w pociągu, bez sleepingu, wyglądała równie świeżo, jak po porannym prysznicu we własnym domu. Belot zakończył:

- Sądzę, że pierwsze sumy, te prawie jednakowe, to jego miesięczne zarobki u Pauguina, natomiast te ostatnie to wprost królewskie wynagrodzenie za kopie z podpisem.

- Jaki on zdolny, ten mały - odpowiedziała babcia. - Niech mu pan to powie ode mnie, panie komisarzu, jako wyraz moich najgłębszych uczuć. Wolalabym oczywiście, aby zarabiał te pieniądze na obrazach podpisanych własnym nazwiskiem - mało jest chyba młodych ludzi, którzy mają podobną szansę. Ale jednocześnie jestem szczęśliwa, że nie otrzymał ich za. - Rozumie mnie pan. Odpowiedział z szacunkiem:

- Bardzo dobrze panią rozumiem. Patrzyła mu w twarz prawie obraźliwie.

- Nie znoszę mężczyzn, którzy wykorzystują swoje wdzięki. Skłonił się.

- Może pani być spokojna, powiem mu to.

## **XII**

### ***Niespodzianka w „Kaczce Dziwacze”***

#### **1**

Pan Chenelong uprosił Simona, żeby pojechał razem z nim na ulicę d'Assas do mieszkania jego córki. Choć Augusta była niewinna, mogła przecież coś przemilczeć, mogły zostać jakieś ślady. Belot, już bez chrześniaka, pojechał po Blondela, który kręcił się po ulicy des Martyrs, w pobliżu lokalu. Zauważywszy go z taksówki, kazał kierowcy zatrzymać się trochę wcześniej i po uregulowaniu rachunku wyszedł mu na spotkanie.

- Z zewnątrz prezentuje się to wspaniale - powiedział Blondel. - Wewnątrz także. Rzuciłem okiem przez otwarte drzwi. Ktoś tam sprząta.

- Wejźmy - powiedział Belot.



Oświetlenie, ograniczone do minimum, ukazywało olbrzymie pomieszczenie wyłożone boazerią, co nadawało mu wygląd komnaty jakiegoś szkockiego zamku. Wszystkie stoły zsunięto w jeden róg. Pośrodku parkiet do tańca błyszczał, jakby był zrobiony z jakiejś czarodziejskiej materii.

- Blask tego parkietu przypomina diament panny Sarrazin - powiedział Belot.

Odkurzaczy, którym z niebywałą zręcznością posługiwał się jakiś chudy starzec, robił tak piekielny hałas, że z pewnością zagłuszył wejście Belota i Blondela.

- Momencik, już wyłączam - zawołał pracownik. - Czego panowie sobie życzą?

Belot odezwał się: - Czy zastaliśmy pana Mercier? - A w jakiej sprawie?

- Osobistej.

Pracownik miał widać smutne doświadczenia, bo odpowiedział:

- Wszyscy mówią to samo, a potem ja dostaję za swoje. Godziny przyjęć są od czwartej. Po południu, ma się rozumieć.

- Nie jesteśmy interesantami i obiecuję, że pan nie będzie miał nieprzyjemności. A poza tym obejdziemy się bez pańskiego zezwolenia.

- No cóż - rzekł stary - jeszcze byście mi wpakowali parę kul. Proszę iść za mną. Biuro pana Mercier mieści się w korytarzu, za orkiestrą. Jeśli tam go nie będzie, to jest na górze, u siebie w mieszkaniu.

- Interes idzie dobrze? - spytał Belot obchodząc estradę, na której były ustawione instrumenty-widma.

Stary odpowiedział z dumą:

- Brak miejsc; większość gości odchodzi z kwitkiem.

Zapukał do pierwszych drzwi w korytarzu. Barytonowy głos odpowiedział:

- Proszę wejść.

- Ci dwaj panowie pytali o pana, panie Mercier. Sprawa osobista.

- Doprawdy?

Mercier stanął w drzwiach. Belot i Blondel spojrzeli na niego. Belot machinalnie zapytał:

- Pan Mercier?

We własnej osobie. A z kim mam przyjemność?... - Belot wskazał na pracownika. - Dziękuję, Jean, możecie odejść.

Jean wyszedł ze spokojnym sumieniem. Belot powiedział:

- Proszę nam wybaczyć, że nachodzimy pana o tej porze. Jestem komisarzem policji z Wydziału Kryminalnego. A to inspektor Blondel, jeden z moich współpracowników.

- Wejdźcie, panowie, proszę. Nie mam zastrzeżeń do tej godziny, tyle że zwykle o tej porze kończę moją pisaninę i kładę się spać. - Usiadł za biurkiem pełnym porządnie poukładanych papierów. - Panowie nie jesteście na szczęście z tego wydziału, z którego zazwyczaj do nas przychodzą. W czym mogę być panom użyteczny?

- Musiał pan chyba czytać we wtorkowych gazetach o zbrodni, jaka zdarzyła się ostatniej niedzieli w Neuilly?

Mercier zrobił stosowną do okoliczności minę.

- No, myślę! Jedna z moich klientek. Panna Sarrazin. Potworna zbrodnia.

Belot wyciągnął małą torebkę.

- U służącej znaleźliśmy to - wyjął z torebki pozytywkę. - Panna Sarrazin wzięła to stąd w nocy z soboty na niedzielę.

Mercier rozpoznał pozytywkę na pierwszy rzut oka. Belot włożył instrumencik z powrotem do torebki, a torebkę do kieszeni.

- Panna Sarrazin rzeczywiście była obecna podczas sobotniej inauguracji.

- Znał ją pan dobrze?

- To za dużo powiedziane. Nigdy nie należała do stałych klientów moich lokali, przychodziła tylko od czasu do czasu. Ale w naszym zawodzie musimy mieć pamięć do nazwisk i twarzy. Jeśli chodzi o nazwiska, to nie takie brudne. Klient rezerwuje zwykle stolik na nazwisko, które zapisujemy. - Jego podniesiony chwilowo głos przycichł. - Jeśli chodzi o twarze, to w przypadku osoby tak pięknej, jak nieszczęsna panna Sarrazin... Pan, panie komisarzu, widział ją po śmierci;

nie poznał pan jej wdzięku, jej błyskotliwości. Mówi się, że kobiety nie muszą być inteligentne, ona dowiodła że jest wręcz przeciwnie.

Belot ocenił te wyrazy hołdu.

- Darzył ją pan wielkim podziwem.

- Zdałem sobie z tego sprawę dopiero na wiadomość o tym nieszczęściu. Na myśl, że jej nigdy więcej nie zobaczę...

- Czy miał pan kiedyś okazję być u niej?

- Nigdy. Miałem w rejestrze jej adres. To wszystko.

- Ale zna pan ludzi, w towarzystwie których tu bywała? Mercier odpowiedział stanowczo:

- Zawsze przychodziła sama.

- Czy to nie dziwne?

- Panie komisarzu, prowadząc taki lokal. Mercier uznał, że szkoda słów. Belot powiedział:

- Myślałem, że może miała jakiś udział w pańskich interesach i że czuła się tu jak u siebie?

- Nic podobnego. Postawmy sprawę jasno: właściwie nie mam współników. Jedynymi cichymi współnikami są moi dostawcy; ich udział jest minimalny.

Belot odpowiedział kurtuazyjnym tonem:

- W granicach ustalonych przez prawo jest pan panem w rozdzielaniu swoich dóbr. Ale wróćmy do panny Sarrazm: chciałbym poruszyć sprawę, w świetle której jej upodobanie, do samotności staje się problematyczne. Ona miała narzeczonego, młodego chłopca...

W czarnym oku pana Mercier pojawił się ognik.

- Zdaje się.

- Nigdy nie widział ich pan razem?

- Nikt nie widział ich razem. Ci spośród moich klientów, którzy byli z nią jakoś związani, od dwóch dni o niczym innym nie mówią. Zaskoczyło ich to na równi z zabójstwem! Należałoby się więc zastanowić, czy ten „narzeczony” nie jest, najłagodniej mówiąc, zwyczajnym mitomanem. Wspomniał pan o jej upodobaniu do samotności, ale równocześnie panna Sarrazin nie kryła się z upodobaniem do nawiązywania nowych kontaktów.

- W sobotę dała tego dowód, opuszczając po jakimś czasie swój stolik, aby dosiąść się do innego, i wydawało się, że jest bardzo ożywiona.

- Wśród moich gości był jeden z pańskich kolegów - rzekł Mercier.

- Mimo to nie wiemy, do kogo panna Sarrazin się dosiadła.

- Niestety ja też nie wiem. Z racji swoich obowiązków więcej czasu spędzam na zapleczu i w garderobach moich artystów niż na sali. Zapytam o to mojego maitre d'hotel. Mając numer stolika, będę mógł przynajmniej odnaleźć nazwisko tego, kto go zarezerwował. Ale musimy z tym poczekać do ósmej wieczór. Ernest mieszka na Vaucresson i nie ma telefonu. Pozwolę sobie zadzwonić do panów i przekazać tę informację.

- Proszę się nie trudzić, przyjdę o tej godzinie - powiedział Belot wstając. Blondel wstał również. - Może mimochodem wymknie mu się jeszcze jakieś słówko, które dla nas okaże się użyteczne. A czy tymczasem mógłby nam pan dać listę gości z sobotniego wieczoru?

- Z chęcią.

Leżała na biurku, Belot podziękował.

- Ostatnie pytanie - powiedział. - Czy owego wieczoru panna Sarrazin nie wydawała się panu czymś zaabsorbowana lub markotna?

- Z pewnością nie, panie komisarzy.

Marcier uparł się, aby ich odprowadzić aż do progu restauracji. Jean kończył ustawianie stołów z łatwością, o którą trudno było podejrzewać człowieka tak chudego i w tym wieku.

Mercier, żegnając się z Belotem, przedłużył energiczny uścisk dłoni na tyle, by w tym czasie powiedzieć:

- Pozostaję całkowicie do pańskiej dyspozycji. Będę szczerze szczęśliwy, jeśli zbrodniarz zapłaci za nią swoim życiem.

2

- Nie oglądaj się - powiedział Belot do Blondela. - Może jeszcze stać przy drzwiach i patrzeć za nami.

- Zupełnie mnie zatkało - rzekł Blondel - o ile nie mamy do czynienia z niesamowitym zbiegiem okoliczności...

- Oczywiście. Nawet Chrystus mógłby mieć brata bliźniaka! Idźmy powoli, i tak tu wrócisz... Gdyby nie wąsik, byłby z niego wykapany baron ze Springfield, Richmond itd. Na domiar wszystkiego facet jest wyszczekany.

- To Amerykanin!

- Sugestia Jean-Marca. Blondela zatkało po raz drugi.

- Jak to, szefie? Od początku wyglądało na to, że pan mu wierzy...

- Zastanawiam się... tak... A cóż mu szkodziło uczeplić się rysopisu, któryśmy mu wczoraj podali? Wierzę w istnienie osoby, która zamieniła walizki. Ale pozwala to również przypuszczać, że skoro Mercier przebywał w Ameryce, może mieć akcent amerykański, taką samą budowę, te same rysy i ten sam wygląd, wobec czego nasz młody fałszerz, chcąc zemścić się na swoim wspólniku, którego uważa za przyczynę własnych nieszczęść, wskazuje na niego jako na tajemniczego osobnika, który chce zemścić się na nim. Nie kłamałby wówczas, mówiąc, że nie zna tamtego, ale kłamałby mówiąc, że nie zna Merciera.

- Czyli trio fałszerzy Van Gogha - Sarrazin, Jean-Marc i Mercier - musiałyby w istocie być kwartetem? - zapytał Blondel zbity z tropu.

- Albo też Amerykanin działając na innym terenie nie wiedział nic o sprawach łączących tamtych dwoje z Mercie-rem i miał do czynienia tylko z Sarrazin i Jean-Markiem.

- Pan naprawdę myśli...?

- Uczę się twego zawodu, starając się przy okazji samemu nie zasklepić się w rutynie. Wracaj teraz tam, skąd przyszedliśmy, i miej w miarę możliwości całą kamienicę na oku: wejście do restauracji i drugie, służbowe, od Condorcet. Ja pójdę zadzwonić do najbliższego telefonu, żeby cię jak najszybciej zlurowali. Jeśli on wyjdzie, udasz się za nim, rzecz jasna. Kiedy cię zmienią, poniuchaj trochę po okolicy. Przyjrzyj się jego samochodowi - to ważne. Ja skontaktuję się z biurem paszportowym, żeby tam sprawdzili naszego ptaszka, a potem na jednej nodze do Neuilly, szef na pewno już tam jest.

- Nie możemy go od razu aresztować? Artysta siedzi, doszedłby handlarz i mielibyśmy komplet.

- Muszę najpierw zebrać więcej informacji o inicjatorce spisku.

Wszyscy ci panowie, zgromadzeni w obydwóch salonach przy ulicy de la Ferme, mogliby śmiało uchodzić za najbliższych krewnych ofiary. Ubrani na czarno, o posepnych twarzach i spojrzeniach nacechowanych wzajemną nieżyczliwością, jak to często bywa wśród spadkobierców przed btwarciem testamentu. A Malebranche śmiało mógł uchodzić za notariusza. Rzeczywistość nie była wiele weselsza: każdy z tych mistrzów rzeczoznawstwa zastanawiał się, czy nie usłyszy tu marsza żałobnego dla swojej reputacji. Z porannych gazet dowiedzieli się o istnieniu falsyfikatów Van Gogha pędzla - trudno wprost uwierzyć własnym oczom i uszom! - narzeczonego panny. Sarrazin, które zostały

rozpowszechnione po całym świecie! A certyfikaty autentyczności? Wydane pewnie przez któregoś z nich. Jeśli słynna kolekcjonerka ważyła się na takie przestępstwo, to czy zawahałaby się przed nadużyciem ich zaufania? Każdy z nich starał się odświeżyć swoje wspomnienia, a nie znajdując w nich nic, popadał znowu w niepokój, marząc tylko, aby ten fałszerz podrabiał nie tylko Van Gogha, ale i Cezanne'a, Renoira, Moneta czy kogokolwiek innego, pod warunkiem, że podpis był opłacany tak, jak na to zasługuje.. Belot wszedł akurat w momencie, kiedy Malebranche pytał, ile według fachowej oceny może być wart piękny obraz Van Gogha o takim to a takim formacie. Wszyscy byli zgodni, że dwa miliony. Dziesięć, to dwadzieścia milionów - pomyślał Belot - a jeśli Jean-Marc przekroczył liczbę, którą podał, to jeszcze więcej. Do czyjej kieszeni powędrowały te pieniądze?

- Prosiłmy panów o przybycie, abyście, panowie, nam potwierdzili autentyczność wszystkich, bez wyjątku, płócien, jakie tu widzimy - powiedział Malebranche. - Do współpracującej z nami policji w różnych krajach nadchodzą od wczoraj skargi podobne do tych, które podała poranna prasa. Musimy mieć całkowitą pewność, że ta słynna kolekcja nie zawiera płócien sfabrykowanych na miejscu. Dziś nie mam panom nic więcej do zakomunikowania.

Nic więcej? W jednej sekundzie całe zgromadzenie poruszyło się; wszyscy szczęśliwi, gotowi uwierzyć, że parę minut temu ktoś rzucił na nich złośliwy urok, zabrali się do wnikliwych badań, których rezultat nie budził niczyich wątpliwości: wszystkie zgromadzone tu przez pannę Sarrazin dzieła były arcyznane. Belot przypomniał sobie słowa Jean-Marca... Sprzedawała falsyfikaty, żeby móc zatrzymać oryginały...” Czyżby Mercier był do tego stopnia w niej zakochany, że robił to wszystko, aby ona mogła zaspokoić swoje pragnienie? Całkiem bezinteresownie?

Po podpisaniu protokołu z posiedzenia szanowni eksperci przedelfilowali gęsiego przez hall w kierunku wyjścia nie podnosząc wzroku na ekipę z Zakładu Kryminalistyki, która czekała na ich odejście, aby - zgodnie z poleceniem Malicorne'a - „przewrócić cały dom do góry nogami”.

- Podwieźć pana? - spytał Malebranche Belota.

- Do Saint-Germain-des-Pres, jeśli pan łaskaw. Chciałbym tam rozpocząć swoje poszukiwania pani B.

### 3

- A, pan komisarz! - zawołał Bedat, którego twarz z podniecenia nabrała szkarłatnego koloru. - Co za nowiny! Co za nowiny! Można powiedzieć, że każdy dzień przynosi nowe żniwo! Czy zechce pan szepnąć słówko więcej-Myśle, że teraz... w świetle nowych faktów...



- Chciałbym, jeśli to możliwe, odbyć małą rozmowę z panią Bedat - rzekł Belot.

Bedat odpowiedział z ironią.

- Możliwe? Dla mnie byłoby to niemożliwe! I zdziwiłbym się, gdyby się okazało możliwe dla pana. Powiem panu całkiem szczerze: moja żona to nie jest normalna kobieta, to istna płaczka, fontanna, ulewa! Od tamtego ranka obrzuca mnie wyzwiskami, że niby coś w tej sprawie musiałem przemilczeć: „Ten cudowny chłopiec, najniewinniejszy pod słońcem... przeżyć podobny koszmar... Nie dosyć, że jeszcze przed ślubem został wdowcem, to w dodatku poćwiartowano mu narzeczoną! A ty niegodziwcze chcesz mu jeszcze dołożyć!” Ja uważam, że w takich wypadkach rozsądek nakazuje milczeć. Ale odkąd dziś rano przeczytała o przyznaniu się do fałszerstwa...

- Milcz! Sam jesteś fałszerz! - odezwał się za plecami Belota głos czysty, prawie dziecinny, i tym bardziej zaskakująca wydawała, się jego gwałtowność. - Jesteś najpodlejszym człowiekiem na tym świecie!

Belot odwrócił się i zdjął kapelusz. Ten dziewczęcy głosik należał do osoby posuniętej w latach, korpulentnej, o biuście głęboko ukrytym pod wieloma warstwami odzieży, oczy kobiety miały kolor lawendy, której zapach roztaczał się dokoła. Już po pierwszym kroku widać było, że chodzenie sprawia jej trudność. Nie ulegało wątpliwości, że płakała, nie starała się tego ukryć. Miętosila chusteczkę w taki sposób, jakby dusiła za gardło swego męża. Ludzi w takim stanie Belot określał jako „przestępców z bezsilności”. Wolał ich od innych.

- A pan - ciągnęła dalej - pan jest pewnie z policji? Nie wiem, czego pan tu szuka, ale powiem, kogo pan tu znalazł: matkę. Prawdziwą matkę. Nigdy nie miałam maleństwa, dzięki niebiosom, które obdarzyły mnie tym oto małżonkiem, ale gdybym miała, chciałabym, aby było takie jak ten chłopiec. Mimo że jest lionczykiem! Fałszerz? A dlaczego nie zbrodniarz?! Znamy wasze sposoby na wymuszanie przyznania się do winy! Tylko tak nikczemna istota, jak Bedat może pomyśleć, że płacze dlatego, że uwierzyłam w jego winę! Płacze, kiedy sobie uświadomię, do jakiego stanu doprowadziliście go w tym więzieniu! Kaci!

Bedat ulotnił się. Belot doznał niemal złudzenia, że na jego miejscu pojawiło się widmo babci: urok, jaki Jean-Marc wywierał nie na kobiety, ale na Kobiety, był rzeczywiście niezwykły. Przynal do siebie jedno z krzeseł stojących przy małym biurczku.

- Nie będę zabierał pani czasu. Jakkolwiek niesprawiedliwie by nas pani osądzała - westchnął i pokręciwszy z ubolewaniem głową pomyślał: trochę się zgrywam, ale nigdzie nie jest powiedziane, że to wyłączny przywilej przestępców - nie chcemy niczyjej zguby. Przyszedłem, żeby posłuchać pani zdania. To pani Jean-Marc ufał. I to w pani ręku leżą jego losy.

Pani Bedat, słuchając w milczeniu, zwała się ciężko na krzesło.

- Skąd pan wie, że miał do mnie zaufanie? - spytała. - Mówił panu? Rozmowa z panem nie należy chyba do najłatwiejszych. Wzbudza pan lęk. A ten mały jest bojaźliwy, jak każda wrażliwa i zamknięta w sobie istota. Kiedy się ktoś z nim szorstko obchodzi, może naopowiadać nie wiadomo co. Nawet przyznać się do winy, nie mając nic na sumieniu!

Belot zaciągnąwszy się lawendą mruknął pod nosem:

- Powierzył pani swoje pieniądze. - Tak, proszę pana.

- Wiemy, ile.

- W takim razie wie pan więcej niż ja. Ja znam tylko ilość kopert. Jest ich trzy. Na każdej napisał swoim pięknym pismem - zupełnie jak rysunek - „własność Jean-Marca”.

- Czy może mi je pani łaskawie pokazać?

- Nie, proszę pana. I nikt na świecie nie byłby w stanie zmusić mnie do tego. Zresztą cierpię na zanik pamięci i nie wiem już, gdzie one się znajdują. Proszę mi wierzyć.

- Nie wierzę - odpowiedział Belot.:- Ponieważ jednak są w pani posiadaniu, jestem o nie spokojny i to mi wystarczy. Obroni je pani przed wszystkimi, tak jak obroniła je pani przede mną.

W jej niebieskich oczach, do których tak pasował ten infantylny głos, odmalowało się zaskoczenie, a nawet pewne zakłopotanie.

- Mówi pan jak adwokat. U policjanta to nie jest normalne.

- A pani jak anioł-stróż, co też jest dość niezwykle u właścicielki hotelu. Pan Bedat oczywiście nie ma pojęcia, że jest pani w posiadaniu majątku Bergera?

- Nie mam zaufania do złodziei.

- Zdaje sobie pani sprawę, że to ładny grosz?

- Tym lepiej dla tego biedaka. Przynajmniej to mu zostanie, kiedy ta obrzydliwa historia się skończy. Był taki szczęśliwy! Jak tylko zostaliśmy sami, mówił o tym cały czas: o willi w Neuilly, o kolekcji, o niej!

- W niedzielę wieczór przed odjazdem...

- Tak, właśnie jechał, żeby przypieczętować sprawę swojego małżeństwa!

- ...złożył jej wizytę. Pani Bedat przytaknęła.

- Zadzwoiła późnym rankiem. Odebrałam telefon ja, bo w niedzielę Bedat włóczy się po barach z takimi jak on nicponiami. I po raz pierwszy - niech pan sobie wyobrazi - powiedziała swoje nazwisko. Zawsze poznawałam ją po głosie, ale do tej pory mówiła tylko: „Czy mogę prosić pana Bergera, tu znajoma”. A w niedzielę ni z tego, ni z owego powiedziała: „Tutaj Sarrazin, chciałabym mówić z Jean-Markiem Berger. Mam nadzieję, że jest w domu?” Odpowiedziałam jej z całego serca: „Oczywiście, proszę pani, ale może jest w kąpieli, bo to niedziela, a w dodatku dziś wieczór wyjeżdża!” Odpowiedziała: „Tak, wiem, i właśnie dlatego chciałabym, żeby się przed wyjazdem ze mną zobaczył. Prosiłabym, żeby przyszedł niepóźno, na przykład po południu”. Powiedziałam jej, żeby zaczekała. Nie był zresztą w wannie z powodu przeziębienia. Zszedł natychmiast, rozmawiali jakiś czas, a na koniec powiedział: „Tak, dobrze, zgoda”.

- Czy po powrocie od niej mówił coś?

- Nie, ale ja już byłam w łóżku. Przy takiej pogodzie cierpię jak męczennica. Wsunął tylko głowę w drzwi i powiedział: „Do zobaczenia, moja biedna pani Bedat, życzę zdrowia!” A ja mu odpowiedziałam: „I ja panu również, panie Jean-Marc, kiepsko pan wygląda, proszę na siebie uważać, synu, i niech pan szybko wraca!”

Z zamkniętych oczu popłynęły na policzki dwie duże łzy. Belot podziękował i wyszedł.

#### 4

Kiedy nadejdzie wieczór, aktualne wyniki śledztwa będą się przedstawiały, jak następuje:

Samochód Merciera - jeśli dać wiarę opisowi podanemu przez Jean-Marca, bagażowego Girouarda Lucien i policjanta Larrouy Raoula - odpowiada dokładnie temu, który owej niedzieli odwoził Jean-Marca, a który, jak utrzymywał Amerykanin, został wypożyczony.

Natomiast ani w Prefekturze, ani w konsulacie Stanów Zjednoczonych nie słyszano nawet o paszporcie zarówno na nazwisko Luzarche, jak i Mercier w przeciągu dziesięciu lat.

To by potwierdzało hipotezę Picarda, że jeśli Mercier i Luzarche to ten sam człowiek, to potrzebne mu były wówczas dwa fałszywe paszporty - jeden do meldowania się w hotelach, a drugi na wjazd i wyjazd ze Stanów Zjednoczonych.

Pan Chenelong i Simon Riviere nie znaleźli w papierach Augusty nic godnego uwagi. W ciągu tych kilku godzin pan Chenelong bardzo się postarzał. Załatwił formalności związane z transportem zwłok, które miały zostać przewiezione do Lionu nazajutrz, a następnie poszedł do hotelu. Babcia zdecydowała się dotrzymywać mu towarzystwa do końca. Podczas drugiego spotkania z Belotem w policji oświadczyła:

- Zdaje się, że w tych wozach pogrzebowych są bardzo wygodne siedzenia. Samochód to bardzo dobra rzecz, ale takie niedorajdy jak moi synowie nigdy się go nie dochrapia.

Belot nie wtajemniczył jej w zidentyfikowanie pani B. Nie prosiła go zresztą o to, zapytała tylko:

- Czy sądzi pan, że zaczyna się przejaśniać? - Chciała dodać: „Fryderyku”, ale powstrzymała ją od tego obecność Simona. Bel ot odpowiedział:

- Myślę, że tak, łaskawa pani. Zagryzła wargi, po czym powiedziała:

- To dobrze. Umie spojrzeć prawdzie w oczy: wolę to od niepewności.

Z Waszyngtonu nadeszły dwie nowe skargi. Potem z Montrealu, a następnie z Mediolanu.

Cały ranek, starając się nie tracić głowy, Belot czytał na jakikolwiek znak z Neuilly. Pod wieczór zniecierpliwienie zaczęło przybierać na sile. Stał się małomówny, prawie opryskliwy. Godzina dziewiętnasta, dwudziesta.

O dwudziestej przyszedł Malicorne, zmachany, ale zadowolony. Wywijał białą kopertą zwykłego formatu. Była dość wypchana. Potrząsnął nią przy uchu.

- To nie są pieniądze - powiedział - raczej papiery.

Znaleziono ją w starym wydaniu opowieści Voltaire'a między stronicą dwieście siedemdziesiąt sześć a dwieście siedemdziesiąt siedem, na jednej z najwyższych półek biblioteki. Belot wziął kopertę do ręki, popatrzył, odwrócił i jeszcze raz odwrócił. Malicorne powiedział:

- Nie. Nie ma nic.

### **XIII**

#### ***„Obeszło się bez prezentacji”***

#### **1**

Belot i Simon, obaj w kapeluszach na głowie, stali o północy w gabinecie Picarda. Belot powiedział:

- Idziemy tam. Blondel i Toussaint są już w okolicy. Picard mruknął zza swego biurka:

- Wolałbym, żeby się to odbyło gdzie indziej.
- Dlaczego? Muzyka uprzyjemni moment aresztowania.
- Zwłaszcza przy akompaniamencie kul; dziękuję za taką przyjemność.

Belot potrząsnął głową.

- Bądź spokojny, w tym lokalu będą dziś strzelać najwyżej korki od szampana.  
- Niech Allah ma cię w swojej opiece. Pójdziemy coś przekąsić za wasze zdrowie i żeby czekanie na was nie nadwątlilo naszych sił, prawda, Truflot?

- Tak jest. Kto zje, ten śpi.

Był to jeszcze jeden z aksjomatów Chicambauta, na podstawie którego utarła się o nim opinia, że nawet we śnie jada.

Samochód prowadził Lacroix. Po drodze Simon spytał Belot a:

- Czy jest pan przesądny?
- Tak jak wszyscy. A czemu pytasz?
- Bo pomyślałem sobie: nie pada, więc powinno pójść gładko.

- A gdyby padało, toby oznaczało według ciebie, że pójdzie nam źle?

Simon zastanowił się przez chwilę.

- Myślę, że nie. Uczepiłbym się pewnie czegoś innego.

- To wygodne - powiedział Lacroix - ale...

- Nie ma żadnego „ale” - przerwał mu Belot - przesady są po to, żeby nas podtrzymywać na duchu, a nie zniechęcać.

- Ja jestem protestantem - oznajmił Lacroix. Po tym oświadczeniu zapadła cisza. Kiedy dojechali do Grands Boulevards, Belot rzekł:

Dojeżdżając do ulicy des Martyrs wyrzucisz nas kawałek przed Tour d’Auvergne. Potem pojedziesz na Condorcet. Jeszcze kawałeczek i pierwsze drzwi na lewo to służbowe wejście. Ustaw się możliwie najbliżej, bo stamtąd będziemy wychodzić. Znajdziesz tam Blondela albo Beauchampa, a może obu.

Zatrzasnąwszy drzwiczki, już z daleka zobaczyli sznur samochodów przed lokalem, co świadczyło o jego powodzeniu. Na chodniku kręciło się dwóch żebraków - jednym z nich był Toussaint. Obaj trzymali się w rozsądnej odległości od portiera w galowym stroju. Toussaint, na widok przechodzących koło niego Belota i Simona, nie zdradził się najmniejszym gestem. Znaczyło to, że nie ma im nic do zakomunikowania. Znakomicie! W przeciwnym razie wszystko mogłoby wziąć w łeb. Portier mógł mieć pod ręką jakiś dzwonek w ścianie i zaalarmować kogoś wewnątrz. Simon szepnął:

- Sądząc po medalach, facet chyba nie unika draki.

- Ani napiwków - powiedział Belot.

- Dzień dobry panom - rzekł ów bohater, unosząc brwi na widok ich bynajmniej nie wieczorowego stroju i braku samochodu. - Wolno zapytać, czy panowie mają zarezerwowany stół? Bo u nas komplet.

Belot odpowiedział:

- Czekają na nas przyjaciele.

Brwi zajęły wyznaczone przez naturę miejsce. Mimo to olbrzym odruchowo nadal śledził wzrokiem nowych gości. W małej szatni, do której mimo masywnych drzwi i ciężkiej portiery przedostawała się muzyka, młoda szatniarka o nagich i ładnych jak zresztą i ona sama ramionach, chciała zdjąć im palta.

- Nie, dziękuję - powiedział Belot.

- Ależ... - zdziwiła się.

- Ci panowie rozbiorą się przy stoliku - rzekł olbrzym, a jego brwi znowu poszły w ruch.

- Ach tak? - powiedziała - to ja panów zaprowadzę. Belot odsłonił portierę. Ogłuszyło ich od razu i oślepiło wszystko naraz: dźwięki jazzu pomieszane z wrzawą rozmów, światła, ruch na parkiecie. Belotowi, który pamiętał panującą tu rano pustkę, stanął przed oczami jeden z wieczorów minionych, jak w filmie, gdzie na skutek retrospekcji zmartwychwstają zmarli bohaterowie. Ale nie przyszedł tu po to, aby wywoływać wspomnienia: na to będzie czas później. Szybkim krokiem zbliżał się do nich między stolikami jakiś facet. Musiał to być „ktoś”: świadczył o tym smoking, gdyż kelnerzy byli w białych marynarkach ze złożonymi epoletami. Jego twarz i postawa wyrażały dwie nader rzadko występujące razem cechy: skwapliwość i godność.

- Pan Ernest? - spytał Belot.

Do poprzednich cech doszły jeszcze dwie: jasnowidzenie i przenikliwość. Ernest nie taił swego zażenowania:

- Panowie byli rano? Ach, jakże mi przykro, oczekiwałem panów o ósmej. Teraz ja...

Przerwał mu w pół słowa gwałtowny dźwięk cymbałów, ucichła muzyka i wrzawa, światło na sali przygasło, tańczące pary prawie po omacku zaczęły wracać na swoje miejsca, a na estradę jarzącą się w świetle reflektorów wkroczyła postać z małym ręcznym mikrofonem.

- Szanowni państwo, choć wam przeszkadzam w tańcu,” sędzę, że mi darujecie...

- Wyobrażam sobie, że jest pan bardzo zajęty - szepnął Belot - ale...

- Ciiicho - odezwał się ktoś od sąsiedniego stolika. Mikrofon mówił dalej:

- Druga część naszego przedstawienia rozpocznie się od punktu kulminacyjnego. Widzieliście już atrakcje ze wszystkich czterech stron świata (uderzenie cymbałów), a nawet z jego centrum, którym jest Paryż (dwa uderzenia cymbałów) i te z centrum jego centrum, którym jest Montmartre! (cymbały). Oklaskując je wyraziliście aprobatę dla naszej propozycji, do was bowiem należy przyjąć ją albo odrzucić (cymbały).

Belot usiłował dokończyć rozpoczęte zdanie:

- ...to nie ma żadnego znaczenia, chcemy widzieć się z panem...

- Ciszej! - skarcono ich od kilku stolików.

- Ale to, co teraz usłyszycie - mówił głos z mikrofonu, to już nie propozycja. To piękna, boska, niezrównana Ginę Hermann!

Wybuchły oklaski, orkiestra zagrała tusz. Co to za cud telepatii między konferansjerem a Ernestem, że Ginę Hermann, która zawsze na dźwięk swego nazwiska ukazywała się w całym swoim blasku, nie pojawiła się teraz? Ta nieprzewidziana przerwa

dała możliwość Ernestowi i niefortunnym gościom przemknąć się przez salę, obejść estradę i zniknąć w korytarzu, za wahadłowymi drzwiami. Głos z mikrofonu zawołał po raz drugi:

- Giną Hermann!

Oklaski wybuchły ze zdwojoną siłą, a orkiestra przyszła im w sukurs.

- Jeśli panowie pozwolą, to ja udzielę wszelkich potrzebnych informacji - powiedział Ernest.

- Później, później - odpowiedział Belot - czekał pan na nas o ósmej. Teraz może pan iść, wiemy, gdzie jest biuro pana Merciera.

Czując ciężar ręki Simona na swoim ramieniu Ernest zrobił zwrot. Belot stanął przed drzwiami. Zapukał i nie czekając na zaproszenie, wszedł.

2.

- Cóż znowu? - zapytał Mercier, kierując się ku wyjściu. - Co to ma znaczyć?

Miał na sobie biały smoking - wzór elegancji kategorii wagi średniej.

- Nic, panie Mercier, zupełnie nic! - powiedział Belot rzucając kapelusz na krzesło.

Do pokoju wszedł Simon, zamknął za sobą drzwi i oparł się o nie. Mercier obrzucił go wściekłym spojrzeniem.

- Muszę iść na salę!

- Giną Hermann nie zaczęła jeszcze śpiewać - rzekł Belot, stwierdzając w duchu z zadowoleniem, że stąd nic nie słyhać.

Mercier opanował się.

- Czego pan sobie życzy? Rano powiedziałem już wszystko, co miałem do powiedzenia.

- A może ja wieczorem chcę się dowiedzieć to, czego pan jeszcze nie powiedział? Zresztą to nieważne. Czy pan był w Stanach Zjednoczonych?

Mercier robił wrażenie zdziwionego.

- W Stanach Zjednoczonych? Bywałem często.

- A kiedy ostatnio?



- Bardzo dawno, co najmniej dziesięć lat temu! Przed otwarciem mego pierwszego lokalu, „Czwórka Treffl”. Angażowałem tam ludzi do spektakli. Zresztą nie tylko w Stanach!

- Ciekawe. I jest pan pewien, że w ciągu ostatnich dziesięciu lat pan tam nie był?

- Pańscy ludzie mogą to sprawdzić - Belot milczał. - Panie komisarzu, znam swoje obowiązki wobec policji. Ale wiem również, jakie są jej obowiązki wobec obywateli, i uważam za grubą przesadę, aby nachodzić mój lokal w środku nocy i zadawać mi dziwne pytania!

Belot obojętnym tonem odpowiedział:

- Dla pana to jest dzień, bo właśnie w nocy pan pracuje, czego nie mogę powiedzieć o sobie i moim koledze. Czy interesuje się pan malarstwem?

Mercier zmrużył oczy - miało to wyrażać coś na kształt uśmiechu - i w napięciu oczekiwał dalszego ciągu. Nie czekał długo.

- Dla dokładności malarstwem Van Gogha. Uśmiech znikł, pewność siebie została.

- Van Gogh? Dlaczego akurat Van Gogh? Zaraz, zaraz... coś mi to przypomina... Ależ to ciągle ta sama sprawa... Zabójstwo panny Sarrazin... Tak, gazety narobiły - dużo szumu wokół jej kolekcji!

- Mamy podstawy sądzić, że oprócz autentyków, była również w posiadaniu, fałszyfikatów Van Gogha i że pan, posługując się fałszywym paszportem, był łaskaw upłynniać je w Stanach Zjednoczonych.

Twarz Merciera wyrażała szczere zainteresowanie.

- Czy poczyta mi pan za niedyskrecję, jeśli zapytam, które to były obrazy? A może najpierw wolałby pan zrobić rewizję. Tu czy w moim mieszkaniu na pierwszym piętrze spodziewa się pan znaleźć dowody mojej winy?

- Byłbym szczerze zdziwiony - powiedział Belot - gdyby pan po niedzielnej tragedii nie postarał się ich stąd usunąć. Mamy lepsze dowody.

Tym razem Mercier roześmiał się szeroko, ale w oczach pozostał wyraz czujności.

- Świadkowie! Żeby mnie pograżyć, sprowadził pan świadków aż z Ameryki! Niech wejda, panie komisarzu! Postawię im i panu szampana! Im to osłodzi niepotrzebną podróż, a panu porażkę.

- Niech się pan nie naraża na wydatki - rzekł Belot biorąc kapelusz. - Spotkanie odbędzie się gdzie indziej.

Mercier przestał się śmiać. Teraz nastąpi scena filmowa - pomyślał Belot - w której szef bandy wymyka się z najlepiej strzeżonego zamknięcia, zabijając przy tym dziesięciu napastników. A nas jest tylko dwóch.

- Chce pan wywołać skandal, po którym będę zmuszony zamknąć lokal? Chce mnie pan zrujnować?

- Tylko od pana zależy, żeby do tego nie doszło. Wyjdziemy na ulicę Condorcet, tam czeka wóz.

Mercier westchnął głęboko.

- Proszę przynajmniej pozwolić mi uprzedzić mego maitre d'hôtel.

- Zajmie się tym jeden z moich kolegów.

- Okazuje się, że przyszedł pan z posiłkami! A jak długo będzie trwała ta... konfrontacja?

- życzę panu, aby możliwie jak najkrócej.

Simon otworzył drzwi. Fala oklasków wylała się z sali na korytarz. Z lewej strony ukazała się Giną Hermann.

- I cóż to, mój drogi Mercier?! - rzuciła: Zatrzymali się. - Nie przyszedł mnie pan posłuchać? Już mnie pan nie kocha?... Wychodzi pan? Teraz? Przed moim następnym numerem?

- Miej pretensję do tych panów, Gino. Zabierają mnie.

Zaśmiała się. Co za śmiech! - pomyślał Belot. - Stowarzyszenie Żon Prawowitych powinno jej sprawić złoty kaganiec, aby udaremnić jej ten śmiech. Spojrzała na Simona. Spojrzała z szacunkiem.

- Patrzcie! - zatrzepotała rzęsami trochę przesadnie. -

Gangsterzy?

- Gorzej.

- Ależ, proszę pani - zawołał ojcowiskim tonem Belot - pan Mercier żartuje! Jesteśmy jego przyjaciółmi. Chodźmy.

### 3

Amerykanin. Od dwudziestu czterech godzin Jean-Marc, siedząc na brzegu swej pryczy - od poprzedniej nocy nawet nie wyprostował nóg - oczekuje momentu, w którym po niego przyjdą. Sama myśl o tym przejmuje go dreszczem. Amerykanin, domniemany Amerykanin, potwór, który obciął rękę Huguette, który ją zabił, a potem chwycił się wszelkich sposobów i zrobił wszystko, aby tę całą historię zwalić na niego, człowiek, który sprzedawał w Ameryce jego Van Goghi. Dlaczego policja nie pytała go dalej, kiedy po odczytaniu mu rysopisu rozpoznał go i zawołał: „To Amerykanin!” Zrzucili go potokiem słów - mieli, oczywiście, swoje powody, powinien był wcześniej przyznać się do fałszerstwa - ale przecież sprawa zabójstwa jest najważniejsza! Czemu zρέcznie wykręcili się od dalszego ciągu, kiedy wykazał im związek między tymi obiema sprawami? A im wystarczyło tylko: „To Amerykanin!” „Dziękujemy, dobranoc, niech straż go wyprowadzi!” Na domiar złego, o ile w Lionie czy nawet tu do tej pory wyprowadzali go dość często, o tyle teraz - jeśli nie liczyć tych, co przynosili mu rano kawę i blaszankę z jedzeniem w południe i wieczór - skazali go na całkowitą samotność, bezgraniczną ciszę i absolutny bezruch, nie dając mu nawet zaczerpnąć świeżego powietrza na podwórzu. Chcą, żebym się po trochu wykończył. Co ja zrobiłem, co ja takiego zrobiłem Huguette? Ma ją jeszcze przed oczyma wtedy, kiedy uciekł. Stała bez słowa, patrząc na niego z bezbrzeżnym zdumieniem. Nie postąpiłby tak, gdyby mógł przewidzieć, że los zrządzi coś takiego, że nigdy więcej jej nie zobaczy, że wszystko przybierze tak tragiczny obrót. Jak bardzo chciał zadeszować po przyjeździe do Lionu! Tylko co z tego - przecież jej ręka znajdowała się w walizce już od poprzedniego wieczoru... Nie, nie, ona go nie kochała, zastosowała tylko taki chwyt, aby go związać ze sobą w sposób bardziej subtelny, bardziej zwodniczy. Kiedy ją spotkał, myślał, że będzie mógł wymknąć się przeznaczeniu Bergerów. Berger! - nazwisko symbol, nazwisko jego dziadka, ojca, matki, wuja! Oni mają to, na co zasługują, bo nie zasługują na nic. Ale on! Artysta! On zasłużył na to, aby się na nim poznano, aby go otaczano szacunkiem, wyróżniano

i wystawiano w światowej sławy galeriach, gdzie ukuwa się opinie i nawiązuje stosunki, gdzie piękne jak Huguette damy mdlały przed jego „Ponts des Arts”, „Brzegami Saony” czy „Ogrodem Luksemburskim” i rozpływały się nad tymi wszystkimi szczegółami, które potrafił tak wiernie oddać. A właściwie na serio brała go tylko ta stara wariatka, jego babka! I co mu z tego przyszło? U Panguina podrabiał legalnie dzieła sztuki, a za to samo zajęcie u Huguette jest ścigany przez prawo! I jeszcze jedno: skoro postawiono go w stan oskarżenia, to czemu komisarz nie zaproponował mu, żeby sobie poszukał obrońcy? Wpatrując się w drzwi, oczekiwał również ukazania się adwokata, który mu powie: „Mam z Urzędu bronić pańskiej sprawy!” Po co mu to? Ci, co działają z urzędu - obojętnie jaki reprezentują zawód - nie wkładają w to serca. Nic nowego - jak się da, to się robi.

Już babcia wynajdzie mu jakiegoś dobrego adwokata i opłaci go ze swoich pieniędzy. Ze swoich, bo on nie ruszy tego, co zostawił u pani Bedat, mowy nie ma. Nikt nie wie o tych pieniądzach, a ona prędzej dałaby się porąbać w kawałki, niż by go wydała. Porąbać! Odrąbana ręka Huguette, odrąbana przez Amerykanina! Co między nimi było? To nie Augusta była jego kochanką, ma się rozumieć, tylko ona! A teraz, kiedy już odnaleziono tego łotra, kiedy go, być może, aresztowano, teraz nikt nie przyjdzie, aby go pocieszyć i przyznać mu rację w tym najważniejszym punkcie jego zeznań! Właśnie teraz, kiedy ciągle przyłapywano go na kłamstwie, a to jedno, co powiedział, było prawdą, najprawdziwszą prawdą.

Kroki. Stop. Zasuwa. Drzwi. Ukazał się strażnik, trochę zaspany, w ręku trzymał kajdanki. Jean-Marc wstał. Nie wiedząc, co powiedzieć, spytał: - Która godzina?

Strażnik wziął to za wyrzut. Kiedy otrzymał telefoniczne polecenie, zegar wskazywał pierwszą. Odpowiedział więc: - O tej porze to wyjątek.

Jean-Marc wyciągnął prawą rękę i jedna część kajdanek zatrzasnęła się - każdy dźwięk wydawał się błogi po tym niebycie, w jakim się znajdował - druga, z łańcuszkiem, posłużyła za smycz, jak u psa. Zagłębiając się w przepastny korytarz strażnik powiedział:

- Takie pustki podsuwają myśl o ucieczce. Jean-Marc nie słuchał. Analizował w myślach: „to wyjątek”. Nie wzywa się w środku nocy zwykłego fałszerza. Coś jeszcze musiało się wydarzyć. Pot spływał mu po plecach. Przed gabinetami szefów strażnik spytał dyżurnego policjanta:

- Gdzie mam go zaprowadzić?

Policjant wskazał na drzwi gabinetu Picarda. Coś jeszcze - powtarzał sobie - w duchu Jean-Marc - ale ponieważ już nieraz wzywano mnie do tego pokoju, każda zmiana powinna mi się rzucić w oczy. Strażnik ledwie dotknął palcem drzwi. Głos - z pewnością komisarza - odpowiedział mruknięciem. Jeśli można usłyszeć takie mruknięcie, to znaczy, że nie powinno być tam dużo ludzi, czyli nic szczególnego. Strażnik uchylił drzwi ze złodziejską ostrożnością.

#### 4

Jean-Marc mylił się, było pełno. Poza Picardem i tym łysym obok komisarza, bez przerwy piszącym, siedział Belot w nieprzemakalnym płaszczu, a w głębi dwóch młodszych mężczyzn, również w płaszczach. Nie znał ich, ale odgadł bez trudu, że też są z policji. Byli to Simon i BlondeL Nikt się nie ruszał i nikt nic nie mówił. Nikotyna, którą powietrze było przesycone, gryzła w oczy. Strażnik odpiął kajdanki, zsalutował i wyszedł. Picard rzekł szorstko:

- Siadaj.

Wskazał na jedno z krzeseł stojących naprzeciwko niego, rozstawionych w sporym oddaleniu. Simon i Blondel zajęli miejsca z tyłu. Jean-Marc miał uczucie, jakby siedli mu na barkach. Jedno krzesło pozostało puste.

- Truflot!.- rozkazującym tonem powiedział Picardl

- Tak jest proszę pana.

Truflot otworzył drzwi do małej salki, w której Jean-Marc spędził wczoraj wieczorem wiele godzin, zanim tu wszedł. Ukazało się trzech mężczyzn. Ale Jean-Marc widział tylko jednego: Tym razem Blondel i Simon musieli rzeczywiście nieomal sięść mu na ramionach, aby utrzymać go w miejscu. Ryknął:

- To on! To morderca!

Prawie jednocześnie Mercier, którego głos, z natury donośny, zabrzmiał teraz potężnie, krzyknął z jeszcze większą pasją:

- Ty draniu!

Toussaint i Beauchamp schwycili go za ramiona. Mimo to i mimo kajdanków, które założono mu przed wejściem, wydawało się, że nic nie zdoła go pohamować.

- No, tak... - powiedział Picard. - Niech pan siada, panie Mercier. I jeśli nie uspokoi się pan natychmiast, zmuszeni będziemy załatwić to inaczej.

Beauchamp i Toussaint mieli sprzeczne zadania: wpuścić bestię na arenę, a jednocześnie nie dać jej wejść. Mercier sapał, cały purpurowy, dyszał, a jego biała smokingowa koszula przypominała, dzięki kajdankom, kaftan bezpieczeństwa dla wytwornych wariatów. Krzyknął do Picarda:

- Ośłaniacie przede mną tego łobuza! Tego nikczemnego tchórza, tego drania!

Jean-Marc powtarzał teraz już całkiem cicho:

- To morderca... to morderca...

Mercier wyglądał na obłąkanego, a Jean-Marc czuł się jak obłąkany. W tym zatłoczonym, pełnym dymu, jasno oświetlonym gabinecie, siedząc twarzą w twarz z rozszalałą bestią, zobaczył oczyma wyobraźni katedrę Notre Dame, deszcz, noc: zadźwięczał mu w uszach tamten akcent, śmiech i serdeczność! Jego strach osiągnął niewspółmierne proporcje, nie było potrzeby go trzymać; Simon stał za nim. Blondel podszedł do Toussainta i Beauchampa. Merciera skrupowano. Picard znowu zabrał głos:

- Jest tak, jak myślałem: obeszło się bez prezentacji. I nawet jesteście na tyle mili, że oskarżacie się wzajemnie o popełnienie zbrodni, którą się zajmujemy. Przynajmniej Berger; pan, panie Mercier, ogranicza się do zniewag, wprawdzie mocnych, ale mało uzasadnionych.

Wywołał tym reakcję, której się spodziewał. Mercier, ledwie opanował zadyszkę, aby móc lepiej słyszeć, znowu wpadł w furję.

- To już szczyt wszystkiego! Mało uzasadnione? Zniewagi? Nawet najgorsze, najbardziej druzgocące, byłyby jeszcze za słabe! Morderca? Oczywiście, że to on jest mordercą! Ale dla mnie, który kochałem tę kobietę od najwcześniejszych młodzieńczych lat, skrycie oczywiście - byłem szczęśliwy, że traktowała mnie chociaż jak przyjaciela i że od czasu do czasu mnie potrzebowała - dla mnie znalezienie jej martwej było czymś znacznie potworniejszym od morderstwa, rozumiecie?! I to ten opryszek, ten mały, nędzny opryszek, który zabrał jej uczucia, całą jej miłość, wkradł się w jej łaski i wykorzystywał to na wszelkie sposoby, na wszelkie sposoby...

Zdawało się, że Mercier wybuchnie płaczem. Dzwoniąc zębami, Jean-Marc wyszeptał...

- To nieprawda... To nieprawda...

- Będiesz mówił, kiedy cię zapytam - rzekł Picard, nie spuszczać wzroku z Merciera. - Ach, więc teraz dla odmiany przyznaje się pan do swych stosunków z panną Sarrazin i do swojej obecności na miejscu zbrodni? Wrócimy do tego później.

Mercier odzyskał równowagę. Swoją postawą i zachowaniem przywodził na myśl wielkich śpiewaków neapolitańskich. Mówił jakby „na stronie”.

- Kiedy zobaczyłem ciało, pierwsza rzecz pomyślałem sobie, że koniecznie muszę złapać zabójcę ukochanej istoty, tak okrutnie ukaranej za jej złudzenia, by nie wymknął się sprawiedliwości ludzkiej, zanim dosięgnie go boska!

- Pan jest wierzący, Mercier? - spytał Picard sceptycznym tonem.

Mercier chciał «robić wymowny ruch ręką, ale przeszkodziły mu kajdanki, nadał więc głosowi odpowiednią tonację:

- W tej chwili prawdy zdałem sobie z tego sprawę. Po to zostałem tam posłany! Duch zemsty zamieszkał we mnie...

Picard dał znak, aby mu zdjęto kajdanki. Belot skorzystał z chwili przerwy, aby rozebrać się z płaszcza: złożył go starannie i wsunął pod krzesło. Wystarczyło, że się poruszył, a Jean-Marc, jak zwykle, utkwiał w nim swoje spojrzenie. Belot udał, że tego nie widzi. Mercier, rozcierając przeguby rąk, mówił dalej:

- Szedłem tam, gnany jakimś przecuciem. W dniu otwarcia „Kaczki Dziwaczki”, panna Sarrazin przed wyjściem z lokalu weszła na górę, żeby ze mną porozmawiać. Nareszcie postanowiła ostatecznie zakończyć swoją nielegalną działalność dotyczącą falsyfikatów Van Gogha. Błagałem ją o to od dłuższego czasu, chociaż sam udzielałem jej pomocy w tym

zakresie - nie potrafiłem jej niczego odmówić. Wciągnął ją w to ten nikczemny próżniak, bo ona z kolei nie potrafiła jemu niczego odmówić...

Wartki potok słów, które w słuchaczach wzbudzały coś więcej niż zawodową ciekawość, przerywał od czasu do czasu żalony refren Jean-Marca:

- To nieprawda... Kłamca, kłamca, ohydny kłamca... To nieprawda...

Mercier mówił dalej:

- Zawiadomiła go o swojej decyzji, ale jemu było to nie na rękę. Nie mógł pogodzić się z myślą, że nie będzie już sobie nabijał w ten sposób kabzy. Setki razy mi mówiła, że on kocha pieniądze, jak skąpiec, jak chciwiec, jak kutwa - odwrotnie niż my. Nam służyły one do wydawania: jej na kolekcję, mnie na kobiety! A on ciułał... - Mercier rzucił w twarz Jean-Marcowi: - Powiedziałeś jej: „Będę miał swoją skarbonkę!” Schowałeś gdzieś tę skarbonkę! Ale nie bój się, znajdą ją prędzej czy później!

- Już została znaleziona - informacyjnym tonem powiedział Belot.

- Jak to? - wyrwało się Jean-Markowi. Nikt nie zwrócił na to uwagi.

- Tym lepiej - powiedział Mercier. - O! to dla niego cios! Ale wróćmy do rzeczy: otóż wściekły z powodu takiego obrotu sprawy, posłużył się zwykłą bronią tchórzy: zagroził, że ją zadenuncjuje! Jeśli do jutra, to jest do niedzieli przed jego wyjazdem, nie zmieni decyzji i nie przypieczętuje tego gotówką, pójdzie ją natychmiast zadenuncjować!

Jean-Marc przymknął oczy. Jeszcze tylko jego wargi powtarzały: „To nieprawda... to nieprawda...”, ale już bezgłośnie. Mercier mówił dalej.

- Musiałem ją jakoś uspokoić. Znając nikczemność tego chłystka, poradziłem jej, żeby i ona mu zagroziła. Powiedziałem jej: „Daj mu do zrozumienia, że więcej osób jest w to zamieszanych i że jeżeli wszystko nam opowiesz, on nie wyjdzie z tego cało! Nie mogłem przewidzieć, że jego reakcja będzie aż tak potworna! A jednak podświadomie nurtowała mnie chyba jakaś obawa, bo nagle, w niedzielę około piątej, zdecydowałem się do niej iść. - Umilkł i zaczął ciężko oddychać. - Ale było już za późno.

- Kto panu otworzył?

- Drzwi od domu były uchylone. - A brama?

- Miałem klucz.

- A od tamtych?

- Też.

- Gdzie znalazł pan ofiarę?



- W dużym salonie, na tapczanie. Leżała na wznak, a w jej twardych oczach malowało się bezbrzeżne zdumienie. Nie widziałem, rany, ale plama krwi na wysokości szyi mówiła sama za siebie.

- Nie usiłował pan nic zrobić? Od razu wiedział pan, że nic nie pomoże?

- Oczywiście. Byłem na wojnie. Przynajmniej tego tam się nauczyłem.

- I nie uważał pan za stosowne nikogo zawiadomić?

- Już panu mówiłem i jeszcze raz powtarzam, że myślałem tylko o nim! Jej lewe ramię opadało na dywan - zobaczyłem, że wskazuje mordercę!

- Proszę wyrażać się jaśniej.

- Dostała od niego na Nowy Rok tandetny pierścionek, ale go lubiła - ot, fantazja kobiety bogatej! - i właśnie ten pierścionek, to „kocie oczko”, znikł z jej palca. Pomyślałem sobie: to niemożliwe, nie jest aż tak głupi, aby sądzić, że ściągając go jej z palca odwróci od siebie podejrzenia! Pierścionek musi gdzieś tu być... Co do jednego miałem pewność: ta j ręką go oskarża! Nie żądajcie ode mnie szczegółów - przynajmniej nie teraz! Musiałem odnaleźć pierścionek, j włożyć go jej na palec, a reszta wydawała mi się już drobnostką. Działalem jak we śnie. Wszedłem na pierwsze piętro...

Jean-Marc otworzył oczy i chłonał nimi słowa Merciera, z tym charakterystycznym tak dobrze znanym Belotowi wyrazem spłoszonego zwierzaka. Nie poruszał już wargami. Mercier mówił dalej:

- Przetrzęsnałem w pokoju wszystkie szuflady. Wreszcie odnalazłem go - nie w szkatułce z biżuterią, tylko pomiędzy bielizną, w fałdzie chińskiego szlafroka... I wówczas powstał w mojej głowie plan! Nie wolno mi dopuścić, aby morderca wymknął się i naopowiadał Bóg wie czego swojej rodzinie; są z pewnością niewiele więcej od niego warci, więc łatwo ich przerobi na swoje kopyto. Poszedłem na strych i spośród bagaży mojej nieszczęsnej przyjaciółki wybrałem niewielką walizeczkę. Ponieważ drzwi od atelier, gdzie on fabrykował swoje falsyfikaty, były otwarte, więc wszedłem do środka. Zobaczyłem to straszne spustoszenie. Wszystko potwierdzało moje domysły! By jednak nie odwrócić uwagi policji od najważniejszej sprawy, zamknąłem drzwi i postawiłem skrzynie na miejscu.

- Stokrotne dzięki za okazanie nam tyłu względów - rzekł Picard.

- Schodząc, wziąłem z pokoju chiński szlafroczek i dwa ręczniki z łazienki: musiałem czymś wypchać walizkę... Potem w salonie, uklękawszy, wsunąłem jej na palec oskarżycielski pierścionek, co wcale nie było łatwe. Siekierę wziąłem z kuchni. I... tak, jednym uderzeniem...

- Nie pozostawiając nigdzie odcisków palców.

- Pewnie miałem swoje samochodowe rękawice, już nie pamiętam. Potem odjechałem.

- Dokąd?

- Szukać go. Był to pomysł szalony, ale mimo to udało mi się. Dojechawszy do ulicy Bonapartego, krążyłem wokół hotelu. Zobaczyłem go około szóstej, kiedy wracał do siebie.

Szedł z tym swoim kretyńskim wyrazem twarzy; pewnie jak będą mu ścinać głowę, będzie miał taką samą minę!

- Och, nie, nie! - krzyknął Jean-Marc. - On kłamie, kłamie, kłamie!

Picard zwrócił się do Merciera:

- Rozpoznał go pan? Czyli znał go pan, sam nie będąc mu znanym?

- Panna Sarrazin pokazała mi go kiedyś przez okno, jak od niej wychodził.

- Proszę opowiadać dalej.

- Czekałem na niego w pewnej odległości od hotelu. Do dziesiątej piętnaście. W niedzielę była taka ulewa, że nie zwróciło to niczyjej uwagi. W końcu zobaczyłem go: wyszedł i stanął pod daszkiem hotelowym, najpierw z jakimś facetem, potem tamten schował się do budynku, a on został sam. Byłem jak pijany! Zacząłem igrać z nim tak, jak igra się ze zmiją, zanim się ją rozdepcze, zmiażdży! Udałem Amerykanina...

- Miewał pan okazje ich podpatrywać - rzekł Picard. Mercier nie przerywał sobie.

- W określonym czasie sfingowałem uszkodzenie samochodu. Na Dworcu Liońskim zamiast jego własnej - podrzuciłem mu tę walizkę. Zdobyłem się na tyle odwagi, nieomal bohaterstwa, żeby go nie udusić własnymi rękami. To byłby dla niego zbyt miły koniec.

- A jeśli by opuścił Paryż, zanimby go pan odnalazł?

- Nie wiem, co bym zrobił, ale i tak bym go dopadł! Największy i jedyny problem polegał na tym, żeby był zmuszony otworzyć walizkę publicznie! Mogło to mieć miejsce w pociągu albo na dworcu w Lionie, w taksówce; czy w obecności rodziny. Gdziekolwiek by się to stało, musiałby doznać wstrząsu, nad którym nie zdołałby zapanować.

Podczas tej oskarżycielskiej mowy Picard ani razu nie spojrzał na Jean-Marca. Dopiero teraz odwrócił nieznacznie swój fotel i popatrzył na niego tak, jakby byli sami. Nie powiedział ani słowa, ale ten gest wystarczył. Jean-Marc tylko na to czekał.

- To nieprawda... To wszystko nieprawda... To on ją zabił... Najpierw zabił, potem obciął jej rękę... Pokłóciłem się z nią, owszem, pogniewaliśmy się, o mało się nie pobiliśmy, zabrałem się i poszedłem, miałem dość takiego traktowania, ale nic więcej, przysięgam, panie komisarzu, przysięgam - jak kocham moją małą siostrzyczkę. Kiedy odchodziłem, Huguette stała! Nie leżała, ale stała przy tapczanie. Właśnie się podniosła, żeby dać mi klapsa, jak smarkaczowi, i dlatego natychmiast wyszedłem! Była tym tak zdziwiona, że nie powiedziała ani słowa. Kiedy, już przy drzwiach, odwróciłem się na sekundę, patrzyła na mnie i patrzyła...

#### **XIV**

##### ***Dwie strony medalu***

- O mało się nie pobiliście? - z zainteresowaniem spytał Picard.

- Jean-Marc - dla uspokojenia komisarza czy też siebie - usiłował się uśmiechnąć.

- Och nie, panie komisarzu, tak mi się tylko powiedziało, sam nie wiem czemu.

Wprost przeciwnie. Uciekłem stamtąd, -żeby do tego nie doszło! Zakochani miewają takie dni, kiedy wszystko układa się między nimi na opak. Od samego początku, od pierwszych słów...  
A jeszcze do tego byłem chory!

Mercier oddychał szybko, jakby znowu z trudem panował nad swoim wzburzeniem.

- „O mało się nie pobiliśmy” - powtórzył Picard, którego nic poza tym nie obchodziło.

- Wytłumacz to bliżej. Przez cały czas, wszędzie, czy to w Lionie, czy tutaj, utrzymywałeś, że wasze ostatnie spotkanie było jedną wielką sielanką, że poszedłeś do niej tylko po to, żeby pożegnać się przed wyjazdem do rodziny, którą miałeś zawiadomić o waszym ślubie.

- Sądziłem, że tak właśnie będzie, panie komisarzu! I mogło tak być! A stało się inaczej tylko z mojej winy! Bo jej nie rozumiałem i cały czas nie chciałem zrozumieć! Jeszcze do niedawna, jeszcze w celi! A rozumiałem dopiero teraz! Po tych wszystkich kłamliwych oskarżeniach!

Simon i Blondel położyli ręce na ramionach Merciera.

- Co rozumiałeś? - spytał Picard: - Że naprawdę chciała skończyć z fałszerstwami, że chciała to zrobić dla ciebie, z miłości?

Mercier wybuchnął:

- Ależ panie komisarzu...!

- Ani słowa, Mercier, albo natychmiast odeślę pana do celi.

Jean-Marc zaczął płakać.

- Tak, właśnie to zrozumiałem, właśnie to.

Belot podniósł do góry dwa palce. Picard skinął głową.

- Pan będzie łaskaw, panie komisarzu. Belot zwrócił się do Jean-Marca.

- A czy ta rozmowa, o której nam wczoraj mówiłeś, kiedy to prosiła cię o przebaczenie, kiedy zdecydowała się skończyć z fałszerstwem, rozmowa o przyspieszeniu daty ślubu, o podróży do Holandii - czy nie miała ona miejsca właśnie owej niedzieli, podczas waszego ostatniego spotkania, a nie, jak twierdziłeś, tydzień przedtem?

Jean-Marc spojrzał na niego z takim zdumieniem, jakby miał przed sobą czarodzieja.

- Tak, to prawda. A skąd pan to wiedział? Belot zwrócił się do Picarda.

- To wszystko.

- Dlaczego i w tym wypadku skłamałeś, tak idiotycznie przekręcając datę? - spytał Picard Jean-Marca.

- Tak jakoś... Poprzedniej niedzieli było tak przyjemnie... Wysłałem telegram do Lionu... Chyba chciałem jakoś wyrzucić z pamięci ten straszny dzień... ten ostatni dzień...

... - Kiedy to „o mało się nie pobiliście” - dokończył rozdrażnionym tonem Picard. - Jeśli nadal będziesz kręcił...

- Nie, panie komisarzu, nie! Zatelefonowała do mnie rano, żebyśmy nie przychodził wieczorem, tylko po południu. Brama była otwarta, zamknąłem ją za sobą, a drzwi otworzyła mi ona sama. Miała na sobie śliczny szlafroczek. Wzięła mnie za rękę i powiedziała: „Chodź”. Kiedy była na drugim stopniu schodów, odwróciła się - robiła to często, żeby zrównać się ze mną wzrostem i móc patrzeć mi prosto w oczy. I wtedy, trzymając mnie za klapę marynarki, powiedziała mi to, co już panom mówiłem. Nie czekając na moją odpowiedź, dodała prawie rozkazującym tonem: „Chodźmy natychmiast na górę”. Nie dowierzałem jej, idąc za nią zastanawiałem się: Co ona takiego wymyśliła? Po drodze powiedziała: „Pójdziemy na drugie piętro”. A tam, rozpromieniona, pokazała mi dopalającą się w kominku moją ostatnią kopię. Chciałem ją ratować, ale Huguette opuściła zapadowe drzwiczki, tak że o mały włos nie złamała mi palca. Wpadłem w szal i zacząłem krzyczeć:

„Dobra! Możemy zniszczyć wszystko!” Rzuciłem na ziemię paletę, tuby z farbami, podeptałem to, podarłem płótna i płacząc ze wściekłości krzychałem: „Nie chcesz ze mną pracować, traktujesz mnie tylko jak ślepe narzędzie, jak nędznego bubka!” A ona na to: „Czyś ty oszalał? Nie rozumiesz? Teraz mam ciebie, tylko ciebie! Jeśli nie będę miała ciebie, nie będę miała nic!”

Role odwróciły się, teraz Mercier krzychał:

- Kłamca! Kłamca! Każcie mu zamilknąć!

Ale obecnie nikt nie mógłby nakazać Jean-Marcowi milczenia, nawet Picard, gdyby sobie tego życzył. Ale nie życzył sobie. Tym bardziej że każde zdanie demaskowało poprzednie kłamstwa.

- Nie wierzyłem jej. Nie mogłem. Poszliśmy do jej pokoju. „Chodź do mnie”, powiedziała. Nie chciałem; w ogóle nie wiedziałem, co robię. Wyjąłem z portfela jej fotografię w kostiumie kąpielowym, którą od niej dostałem, i postawiłem na kominku. „Kochasz tylko siebie!”, powiedziałem. Na to ona zerwała z palca pierścionek z kocim oczkiem, wrzuciła go do szuflady w komodzie i zawołała: „Idź sobie stąd! Idź stąd” Ale jak byliśmy na dole w salonie, krzyknęła; „Nie odchodź, zabraniam ci!” Odpowiedziałem jej: „Zawdzięczam ci tyle, że masz prawo mnie siłą zatrzymać”. Jej twarz wykrzywiła się, przybrała lodowaty wyraz - potrafiła czasami być straszna! - i wycodziła przez zęby: „Dureń...” Odniosłem wrażenie, że chce mnie uderzyć, więc powiedziałem.: „Nie dotykaj mnie, bo”!” I żeby ją nastraszyć, wziąłem ze stolika rozcina cz...

Mercier wybuchnął:

- Bydlak! Ten rozcinaacz, który ja własnymi rękami zrobiłem dla niej z niemieckiego szrapnela i w tysiąc dziewięćset osiemnastym roku posłałem jej z frontu w dowód wdzięczności za opiekę nad takim prostym żołnierzem jak ja!

Odpowiedź Jean-Marea nie miała określonego adresata:

- Możliwe, ale to nie ma żadnego znaczenia! Nie zamierzałem się nim posłużyć! Kiedy zrobiła taki gest, jakby chciała mnie spoliczkować, zasłoniłem się od ciosu jedną ręką, a drugą wyciągnąłem, żeby ją odepchnąć. Odwróciła głowę. Jestem pewien, że jej nie dotknąłem! Zdziwiła się tylko, popatrzyła na mnie, a ja w tym momencie tak się zawstydyłem, że uciekłem, uciekłem na ulicę!

Jean-Marc zaczął jęczeć. Picard milczał przez chwilę. Mercier, po którym wszyscy spodziewali się nowego wybuchu, zaskoczony ciszą obserwował Piarda, który na koniec powiedział:

- Nie żyła już wtedy.

- Ależ nic podobnego! - odpowiedział Jean-Marc z najgłębszym przekonaniem.-  
Wracając piechotą do hotelu, zaszedłem do jakiejś kawiarni, już nawet nie wiem, do której,  
aby do niej zatelefonować, przeprosić za moją ucieczkę i powiedzieć jej, że mimo to pojedę  
do Lionu, że się pobierzemy, że nie ma co do tego dwóch zdań. Podniosła słuchawkę...

- Wykluczone - rzekł Picard.

- Ależ naprawdę, panie komisarzu! Ale nie odezwała się ani słowem. Mimo że ją  
błagałem!

Picard patrzył na Merciera, który dawał do zrozumienia, że to on był wtedy przy  
aparacie. Jean-Marc dostrzegł spojrzenie i gest.

- To on nie pozwolił jej mówić ze mną!? No widzi pani!?

- Nie - powiedział Picard, otwierając teczkę z dokumentami. - Ona już nie żyła.

- Więc on ją wtedy zabił?

- Nie. Ty.

- Jak to? Jeślibym nawet - przypuścimy” tylko przypuścimy - jeślibym nawet zadrasnął  
ją tym rozcinaczem, to i tak nie mogłem jej zrobić żadnej krzywdy, czułbym przecież! Ten,  
kto zadaje cios, musi to przecież czuć! A poza tym krzyknęłaby? Albo jęknęła...

- Nie żyła. Mam tutaj, orzeczenie lekarza sądowego. Urzędowe. Natrafiłeś tym  
narzędziem na szczególne miejsce: zadana tam rana, powoduje śmierć natychmiastową.

Jean-Marc szalał.

- Byłaby przecież krew, strumień krwi!

- Niekoniecznie. Nie od razu również upadła i kiedy wychodziłeś, miała wygląd osoby  
żywej. To też charakterystyczne.

Jean-Marc załamał ręce; przedstawiał sobą obraz nędzy i rozpacz, nie tylko ze  
strachu. Szlochał.

- - Panie komisarzu, a może ja ją tylko zraniłem:, tylko zraniłem? A dokończył on?  
Nie zawahał się przecież, obciąć jej ręki!

Mercier ani drgnął. Picard potrząsnął głową.

- Nie. Ty sam.

Chłopiec kołysał się - na krześle. Usłyszał jakby z oddali:.

- Co zrobiłeś z rozcinaczem?

Starczyło mu akurat tyle sił, żeby odpowiedzieć:

- ... Do pierwszego ścieku...

Podobnie jak w jadalni przy ulicy Dumont po otwarciu walizki, tak teraz Jean-Marc osunął się nieprzytomny na ziemię.

- Toussaint, Beauchamp - powiedział Picard - odnieście go do izby chorych. Za jakiś czas odstawi się go z powrotem do celi. Mnie on już jest niepotrzebny.

## 2

Wszystko odbyło się w milczeniu. Po ich wyjściu gabinet wydał się pusty, mimo że pozostało w nim jeszcze sześć osób. I chociaż ani światło nie straciło swego oślepiającego blasku, ani nie ubyło dymu, takie przynajmniej odniósł wrażenie Mercier - nie było już tego napięcia w powietrzu. Założył nogę na nogę, rozparł się wygodnie na krześle. Jego fircykowaty wyraz twarzy nie przypominał w niczym niedawnych ataków wściekłości, a wieczorowy strój kaftana bezpieczeństwa.

- Jestem panu nieskończenie wdzięczny, panie komisarzu, że pozwolił mi pan wysłuchać tej odrażającej spowiedzi. Wiele mi ona wyjaśniła.

Picard nie odpowiedział. Zamknął akta dotyczące sekcji. Siedział nieporuszony, jakby nieobecny. Tak samo Belot. Blondel i Riviere stanęli obok Truflota, - który odłożywszy pióro siedział podpartszy się ręką. Było w nich wszystkich coś nierealnego, jak w figurach woskowych z muzeum Grevin. Mercier wyprostował się i przybrał postawę wyczekującą. On jeden nie mógł sobie pozwolić na pozostanie w roli manekina.

- No tak... - powiedział - Byłoby naiwnością z mojej strony sądzić, że po tej historii z fałszerstwami wypuscicie mnie na wolność, prawda?

Picard podniósł, a następnie opuścił ręce, co miało oznaczać: „A jak pan sobie wyobraża?”

- Nawet jeślibym dowiedział, że działałem w dobrej wierze? Picard nie mógł powstrzymać uśmiešku i dodał sucho:

- Jest jeszcze obcięta ręka. To znieważenie zwłok w obliczu naszego prawa. Mercier strzelił:

- A jeśli i to zrobiłem tylko z miłości?

Odetchnął głęboko, aby odzyskać równowagę, po czym zrobił taki ruch, jakby chciał wstać.

- Niech pan siedzi - rzekł Picard - jeszcze z panem nie skończyliśmy. Komisarz Belot ma coś do zakomunikowania.



Belot wyjął ze swego portfela dość grubą kopertę, tę którą poprzedniego wieczoru dał mu Malicorne.

- Ten list - powiedział:- jeśli to w ogóle można nazwać listem, jest przeznaczony dla nas, mimo że nie ma na nim nazwiska adresata. Był pan na tyle związany z autorką, że z daleka powinien pan rozpoznać jej pismo.

Blondel i Riviere powrócili na swoje miejsca za plecami Merciera, który patrzył, jak Belot wyjmując z koperty kartkę i jak ją rozwija. Nie odezwał się ani słowem. Belot kończył:

- Data jest dokładna. „Niedziela Palmowa 1930”. Ubiegła niedziela. Dzień morderstwa.

Zaczął czytać niesłychanie dokładnie, ale bez najmniejszego efekciarstwa:

- „Ponieważ od chwili przebudzenia prześladują mnie niemiłe przeczucia, uważam, że powinnam napisać dziś rano, co następuje: Jeśli przyszłość to potwierdzi, nie wyobrażam sobie, aby ktokolwiek oprócz policji miał możliwość i czas przetrząsnąć dom, a zwłaszcza bibliotekę. Te notatki umieszczę więc w jednej z książek.

Wczoraj wieczorem wybrałam się na otwarcie „Kaczki Dziwaczki”, nowego lokalu Paula, mieszczącego się przy ulicy des Martyrs. Uważałam, że powinnam to zrobić. Zawsze byłam wobec niego całkowicie szczerą. On tego wymagał, a mnie wydawało się to całkiem naturalne. Jakże inaczej moglibyśmy się rozumieć? Im więcej ma się tajemnic, tym bardziej potrzebuje się kogoś, z kim można się nimi podzielić. Dziś doszłam do wniosku, że do tej zasady, którą we mnie wpoił już w chwili naszego poznania - właśnie minęło dwadzieścia lat! - zastosowałam się tylko ja; być może wynikało to z mojego temperamentu.

Kocham Jean-Marca. Piszę to dziś jako coś, co nie podlega dyskusji, jako prawdę absolutną, dniami i tygodniami analizowaną na wszystkie strony, przeczowaną od miesięcy, mimo iż sama przed sobą nie chciałam się do tego przyznać. Kocham go bez zastrzeżeń. Wszystko, co było przed nim, nie liczy się i nie może się z tym równać. Powiedziałam mu, że chcę za niego wyjść. Nie uwierzył mi. Dziś wieczór uwierzy, kiedy mu powiem, że chcę, aby zaprzestał kopiowania. Wstydzę się, że go w to wszystko wciągnęłam. Wstydzę się, że go trzymałam z dala od mego normalnego życia. Poproszę go o przebaczenie. Pobierzemy się natychmiast. Błogosławieństwa udzieli nam niebo Van Gogha. Pozwolę mu malować, co mu się żywnie spodoba: w całkiem nowym otoczeniu coś się może przecież narodzić - jest jeszcze taki młody! Muszę jak najprędzej wypłacić odszkodowanie nabywcom falsyfikatów. Kopie są tak znakomite, że nikt by się nigdy na nich nie poznał, ale za bardzo się boję donosu. Mógłby to zrobić oczywiście tylko Paul. Nikt oprócz nas trojga o tym nie wie.

To wszystko powiedziałam Paulowi tej nocy (z wyjątkiem tej ostatniej obawy) w jego apartamencie na pierwszym piętrze. Pod pretekstem, że już wychodzę, opuściłam salę i poprosiłam go, aby na kilka minut wszedł ze mną na górę. Przeczuwał prawdę. Z początkiem nowego roku nasze stosunki się popsuły. Nigdy nie-byłam zakochana w nikim innym poza nim.

Prawdę powiedziawszy, nie kochałam go już od dłuższego czasu i mógł mieć kobiety, jakie tylko chciał - nie przywiązywałam do tego najmniejszej wagi. Wiedział o tym, ale nic sobie z tego nie robił, bo nie kochałam nikogo innego. Na początku Jean-Marc wydawał mi się wcieleniem Opatrzności! Jego Opatrzności. Pomysł z kopiami wyszedł od niego. Świadomość, że już nie będzie mógł do woli czerpać z moich zasobów - przyznaję, że wyrażałam na to pełną zgodę - była ponad jego siły. Chciał sobie to jakoś wynagrodzić. Stąd ten pomysł. Zapewnił mnie, że ani ja, ani Jean-Marc nic nie ryzykujemy, gdyż on bierze na siebie wszelkie kontakty. Przystałam i na to dodam nawet - z pewnym uczuciem ulgi. Odkąd zaczęły się nasze trudności, zastanawiałam się, czy nie będzie naciskał, żebym sprzedawała swoje płótna. Zrobiłabym to; nie pozbyłabym się mego ulubionego mistrza, ale mam innych, do których też jestem w pewnym sensie przywiązana. Przystałam na jego pomysł. Nigdy nie wydawało mi się rzeczą gorsząca eksploatowanie domniemanych kolekcjonerów, którym obraz służy tylko i wyłącznie do zaspokajania próżności bogacza. Już przy pierwszej próbie zasmakowałam hazardu. Wciągnęłam się w to tak, jak Paul w ruletkę. Widziałam, jak się rodził Van Gogh! Mistrzostwo Jean-Marca polegało na tym, że malował według moich danych, tak jak twórca według swoich własnych. Ale nie piszę tego po to, żeby analizować uczucia. Reakcja Paula była przerażająca. Wiele razy podczas naszych poprzednich lat miałam możliwość poznać jego porywczosć i obawiałam się najgorszego. W głębi duszy nie był zaskoczony. Odgadł moje uczucie do Jean-Marca wcześniej niż ja sama.. Znał mnie dobrze. Ale żeby się posunąć aż do tego! Myślałam, że mnie zabije. To było głupie z mojej strony, ruletka to nie narkotyk, człowiek nie traci kontroli nad sobą, Paul nie mógł - mnie zabić u siebie. Ale tu? W tym domu, do którego on jedynie ma klucz?

Po przebudzeniu się uzmysłowiłam sobie, że on zamierza załatwić nas oboje za jednym zamachem: żeby podejrzenie o morderstwo padło na Jean-Marca. Kiedy go tej nocy opuszczałam, dał mi to do zrozumienia. Powiedział dosłownie tak: „Miej się na baczności! Jeśli będziesz przy tym obstawać, jeśli mnie wykiwasz i pozbawisz forsy, zapłacicie za to oboje!” Muszę jak najszybciej rozmówić się z Jean-Markiem, zobaczyć się z nim, nie chcę być sama, ja, która tak lubiłam samotność. Czyżby wszystko przyszło za późno? Posłuchałam więc rady Paula i mam się na baczności. Od dawna już zapisałam swój majątek i kolekcję muzeum narodowemu, zostało mi tylko życie. Jeśli umrę śmiercią gwałtowną, to niezależnie od poszlak, oświadczam temu, kto odnajdzie te kartki, że mordercą jest Paul Mercier”.

### 3

Belot położył ostatnią kartkę na miejsce i schował wszystko do koperty; wydawał się tym pochłonięty bez reszty. Picard obserwował Merciera, którego twarz stała się szkarłatna; przygryzł dolną wargę i ponieważ się nie odzywał, Belot rzekł:

- Słucham, panie Mercier.

Warga pozostała przygryziona, powieki Merciera drgały. Picard zastanawiał się, czy drgały również podczas lektury; wydawało mu się, że nie. Ale że oczy ani na chwilę nie oderwały się od kartek, tego był pewien. Mercier zaśmiał się ironicznie i odpowiedział.

- Byłbym teraz w niezłych tarapatach, gdyby pan komisarz nie doprowadził do tamtych bezspornych zeznań w mojej obecności!

- Pańska obecność nie była dziełem przypadku, panie Mercier. Pozwoli nam ona skonfrontować teraz pana z samym sobą. Jest pan w istocie w niezłych tarapatach!

Belot położył kopertę na brzegu biurka i powiedział spokojnym głosem:

- Przyszedł pan, żeby ją zabić, prawda? Och, niech się pan nie sili na demonstracje: już nie ma tu nikogo, kogo udałoby się panu zastraszyć, a lekki szok pomoże panu odzyskać przytomność umysłu, która zresztą ani na chwilę pana nie opuściła. Z wyjątkiem nocy z soboty na niedzielę, kiedy to panna Sarrazin powiedziała panu, że zobaczy się z młodym Bergerem w niedzielę wieczorem. Przyszedł pan do niej wprowadzić w czyn jej przepowiednię. Sama to sobie wywróżyła - to była bardzo inteligentna kobieta. Najpierw zabiłby pan ją, potem czekałby pan przy ulicy de la Ferme na przyjście chłopca, dokładnie tak samo, jak czekał pan na niego przy ulicy Bonapartego. Wszedłby pan za nim, złapałby go pan na „gorącym uczynku” i wezwałby pan nas.

- A panowie - odparował Mercier, który zdecydowanie wybrał bezkonfliktową wersję rozmowy - panowie nie znaleźlibyście tego listu? A chłopiec, zamiast się bronić, przyznałby się do winy? Musiałbym postradać rozum, żeby tak postąpić...

- Pan postradał rozum - powiedział Belot. - A poza tym przez myśl panu nawet nie przeszło, że może być jakiś list. Chyba... chyba, że ten cały bałagan w jej pokoju zrobił pan w poszukiwaniu listu, a nie pierścionka? Tak, postradał pan rozum i trudno się dziwić! Miał pan zamiar popełnić zbrodnię i obciążyć nią kogoś innego a tymczasem ten ktoś już ją popełnił i obciążył nią pana, posługując się narzędziem, które było pańskim dziełem!

- Pan mi chce wytoczyć proces o zamiar, opierając się jedynie na wyznaniu kobiety zaślepionej, która postanowiła mnie zgubić! Żaden sąd się tym nie zadowoli! Rację ma pan jedynie w tym, że musiałem odwrócić tę broń skierowaną przeciwko mnie! Czy uważa pan, że niewinni nie mają prawa bronić się przed winnymi? Czy gdyby nie ta ręka w walizce - powinienem był raczej obciążyć jej tę, którą pisała na mnie te wszystkie bezceństwa! - schwytałby pan w ogóle mordercę, jest pan tego pewien?

- Powiemy prefektowi policji o pańskiej wydatnej współpracy - rzekł Picard. - Przyśle panu do więzienia list dziękczynny.

Mercier odpowiedział:

- Jesteście wściekli, bo nie możecie oskarżyć mnie o morderstwo. Chwała J3ogu nie możecie!

- Tak - rzekł Picard - niezależnie od wszystkiego ma pan rzeczywiście powody dziękować Bogu. Truflot! Proszę wezwać dwóch strażników, żeby odprowadzili pana Mercier do jego najnowszego nocnego lokalu. Odpowiednie papiery przygotowujemy jutro rano. Dziś rano.

- Nie wzięłem nic z domu - rzekł Mercier - ani piżamy, ani zwykłego garnituru.

- Smoking jest pańskim roboczym ubraniem. A jeśli chodzi o piżamę... niewinnemu czyste sumienie zapewnia zdrowy sen.

Otworzyły się drzwi. Wstając Mercier, pewny swego zwycięstwa, spojrział na Picarda z nie ukrywaną nienawiścią. - By dać im przedsmak swego tryumfu, powiedział jeszcze:

- Nie zatrzymacie mnie na długo, panowie. Ten bezcenny dokument, do którego przywiązujecie taką wagę i z którego naturalnie zrobicie użytek, mówi o odszkodowaniu dla nabywców kopii. Już jutro mój adwokat poprosi pana Bravais, notariusza ofiary, aby tę szacowną ostatnią wolę jak najprędzej podpisał. A w tych warunkach dlaczego mieliby podtrzymywać swoje roszczenia?

W odpowiedzi Picard zwrócił się do strażników:

- Zaopiekujcie się tym panem. Starszy zasalutował i powiedział:

- Tak jest, panie komisarzu, i wyjął z kieszeni kajdanki.

Kilka minut później Picard powiedział do Blondela i Simona:

- Teraz jazda do łóżka, moje dzieci. Rozkazuję wam dobrze się wyspać, już prawie czwarta rano.

- Dziękujemy - rzekł Blondel. - Co za bydlak z tego Merciera!

- Co wcale nie oznacza, że Berger jest sympatyczniejszy - powiedział Simon, nie mogąc zapomnieć śmierci Augusty.

Blondel zastanowił się.

- Berger... Z takiej porządnej rodziny i taki zdolny... Czy sądzi pan, że ta kobieta go zdeprawowała?

- Jeśli już mówimy o wpływie kobiet na niego - powiedział Belot - to w jego życiu była kobieta, która mogła zrobić z niego wspaniałego człowieka. No i widzisz...

- Kto taki?

- Jego babka.

- Och, szefie - zawołał Blondel - babka!

Pośmiali się i uścisnęli sobie ręce, zaznaczając tym nieczęstym gestem zamknięcie sprawy. Belot i Picard mimo zmęczenia nie mogli się rozstać. Truflot porządkował swoje notatki. Picard zwrócił się do niego:

Drogi Truflot, może jakimś szczęśliwym trafem został gdzieś kufelek piwa? Jest nieznośnie duszno.

- Nie, proszę pana, niestety, ale czy można otworzyć okno?

- Można.

Belot zastanawiał się na głos:

- Niektórzy uważali go za niewinnego dlatego, że miał rękę swojej kochanki w walizce. Inni uważali go za winnego, dlatego że miał rękę swojej kochanki w walizce. On uważał Merciera za winnego, dlatego, że włożył tę rękę do walizki. A w rezultacie jest to zbrodnia bez premedytacji i premedytacja bez zbrodni... Truflot przed otwartym oknem wykonywał ćwiczenia oddechowe. Nie przerywając ich zapytał:

- Czy przypuszcza pan, że Mercier całkiem się z tego wy-karaska?

- Hazardowe gry i nocne lokale nie należą do okoliczności łagodzących - rzekł Belot. - Sędziowie nie są z tych, co puszczają tam pieniądze.

- Jeśli Bóg pozwoliłby mi zostać sędzią...

- Wyrażasz się jak Mercier - powiedział Belot.

- Stokrotne dzięki za komplement.

- Właśnie! Być sędzią w takiej sprawie...

- ... ukarałbym przede wszystkim za kłamstwa, co równałoby się jednakowej karze dla obydwóch!

Tym razem Truflot odwrócił się.

Jeśli panowie pozwolą mi wyrazić swoje zdanie, to są kłamstwa i kłamstwa. Młody Berger nie zawsze kłamał - on marzył. Marzył wstecz. Jakby pisał swoją historię na nowo.

- Dziwi mnie pańska wyrozumiałość, Truflot - poważnie powiedział Picard. - A mnie świeże powietrze rozbudziło, to niedobrze. Najwyższy czas, abyśmy już poszli.

- Chciałbym przedtem dać nauczkę jednemu z moich przełożonych - powiedział Belot.

- A co ja takiego zrobiłem? - spytał zaniepokojony Picard.

- Nie chodzi o ciebie, tylko o komisarza, Theveneta. We wtorek wieczorem...

Picard opadł na krzesło.

- Na śmierć zapomniałem, że mnie prosił, abym po zakończeniu sprawy zadzwonił do niego, bez względu na godzinę. Nie ma co, Truflot, proszę mnie połączyć z jego mieszkaniem. A potem oddam ci słuchawkę. Thevenet cię uwielbia.

Połączenie nie było łatwe do uzyskania ze względu na prywatny adres. W końcu Truflot powiedział:

- U pana Theveneta słyhać sygnał.

Picard i Belot podnieśli słuchawki. Sygnał. Sygnał.

- Halo - odezwał się Thevenet, wyrwany z głębokiego snu: - Tu Thevenet... Kto mówi?

- Bardzo przepraszam, tu Fryderyk Belot. Z inicjatywy komisarza Picarda, który też jest przy aparacie.

Picard szepnął, zasłaniając tubkę telefoniczną:

- Zapłacisz mi za to! Thevenet już się rozbudził.

- Jakie nowiny?

Belot bardzo poważnie odpowiedział:

- Musi pan prosić o przeniesienie na emeryturę, panie komisarzu.

- Co?!

- Zobowiązał się pan do tego po naszym znakomitym wtorkowym obiedzie.

- Ja? Zobowiązałem się?

- Powiedział pan: „Jeśli Amerykanin istnieje...” Thevenet z nieopisanym zdumieniem zapytał:

- A istnieje?

- Nie jest wprawdzie Amerykaninem, ale istnieje. Mamy go.

- Nie do wiary! Ale... mordercą jest chyba młody Berger?-
- Tak - trochę mniej pewnie powiedział Belot. - Tak.
- No - rzekł Thevenet - przywrócił mi pan wiarę w siebie!

„KB”